NAJWYŻSZA MATKA BOSKA W EUROPIE STANĘŁA W SERCU POLSKI

ZASKAKUJĄCY PORTRET POLAKÓW: WIĘCEJ NAS ŁĄCZY NIŻ DZIELI

POWRÓT CHAMA, CZYLI KOMPLEKSY „GAZETY WYBORCZEJ"

HISZPANIA: PAŃSTWO CHORE NA WSZYSTKO

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

33 (715) 2026
10–16 sierpnia 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

DUMA I WSTYD

PREZYDENT KAROL NAWROCKI POKAZAŁ, JAK NALEŻY PIELĘGNOWAĆ NARODOWĄ PAMIĘĆ. TUSK OD TEJ PAMIĘCI UCIEKA. DLACZEGO UNIKA POLSKICH ROCZNIC?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 17 VIII 2026 r.

sa.pl c25b34d838

FUNDACJA STEFCZYKA

Współczesna spółdzielczość w praktyce

Spółdzielczość to przyszłość budowana wspólnie, każdego dnia.

Wspieramy polski sport, kulturę, edukację i lokalne działania społeczne, bo siła wspólnoty tkwi w tym, jak potrafimy dzielić się dobrem.

www.fundacjastefczyka.pl

eprasa.pl c25b34d838

Odwaga i jednoznaczność

Po roku tej prezydentury nie ma już wątpliwości: na scenie politycznej pojawił się bardzo mocny zawodnik. Najpierw, bez wielkich pieniędzy i zasobów, w pięknym stylu wygrał z murowanym faworytem, a później, po objęciu urzędu, jeszcze zwiększył tempo.

Dziś Karol Nawrocki jest nie tylko popularnym prezydentem – jest także centralną postacią naszej debaty i naszego życia politycznego. Postacią, która może odgrywać wielką rolę nie tylko za 5, lecz także za 10, a może i 20 lat.

Nie można pominąć zasadniczego faktu: tę kandydaturę wskazał osobiście prezes PiS Jarosław Kaczyński. Zrobił to nie tylko wbrew większości ekspertów, lecz także wbrew najbliższym współpracownikom. Także w kampanii to pieniądze zebrane przez PiS oraz aktywność działaczy i sympatyków tej formacji umożliwiły ostateczny triumf. Triumf z ducha amerykański, oszałamiający, bezdyskusyjny. Pamiętajmy: na Karola Nawrockiego stawiało naprawdę niewielu, także w obozie prawicowym. Również w czasie kampanii nie brakowało kalkulacji na różne „podmianki". Obecny prezydent miał się szybko spalić i ustąpić pola komuś bardziej doświadczonemu. Ale były to czcze oczekiwania. W sumie okazało się to zwycięstwem Prawa i Sprawiedliwości. Trzeba o tym wspominać, zwłaszcza teraz, gdy tak wielu chce złożyć tę partię do grobu.

Gdzie są źródła sukcesu Karola Nawrockiego, zarówno jako kandydata, jak i prezydenta? Wielkie znaczenie ma osobowość, sposób komunikacji z Polakami, dobry, spójny i autentyczny wizerunek. Także jego ekipa działa sprawnie, unikając publicznych sporów, większych wpadek, skupiając się na sukcesie „szefa". Ale to tylko część odpowiedzi.

Najważniejsze są dwa elementy: odwaga i jednoznaczność. Odwaga w przeciwstawianiu się Donaldowi Tuskowi i jego fatalnej polityce oraz jednoznaczność w artykułowaniu polskich interesów, w przekładaniu postawy patriotycznej na język polityki. I właśnie tego bardzo potrzebowała dziś Polska, zagrożona pełnym domknięciem systemu lewicowego liberalizmu. Jest to system w istocie totalitarny: raz zamkniętych drzwi nie da się już otworzyć bez dużej ofiary. Te drzwi, prawie już zatrzaśnięte, Karol Nawrocki wyważył razem z futryną. I teraz to Donald Tusk jest w pułapce: tych drzwi nie zdoła już domknąć. Ani on, ani jego mocodawcy.

W sferze podejścia do polskich obowiązków prezydent Karol Nawrocki jest kontynuatorem polityki Lecha Kaczyńskiego. Ten wielki prezydent wykazywał się odwagą i jednoznacznością w czasach dużo trudniejszych, w czasach, w których sprawy dziś uważane za normalne – takie jak szczery patriotyzm, dostrzeganie zewnętrznych zagrożeń, brak kompleksów w relacjach międzynarodowych – były postawą mniejszościową i ostro je atakowano. Przyszłość miała należeć do Adama Michnika i Jerzego Owsiaka, przyszłość miała być obła, a Polska ostatecznie powinna – twierdzono – rozmyć się w europejskiej tożsamości.

Dziś jesteśmy w innym punkcie. Fundament, który położył prezydent Lech Kaczyński, ostał się, dał ramy nowej konstrukcji, w istocie nowej Polsce. Ciężka praca, prowadzona przez dekady, przyniosła efekty. Ale trzeba pamiętać, że wielu ludzi, którzy przyłożyli do tego rękę, dziś pozostaje w cieniu. Nie doczekali się uznania, zapłacili wysoką cenę w kwestii swoich karier, zostali wypchnięci z instytucji, często byli moralnie zabijani przez zakłamane media. Gdy widzimy Polskę triumfującą, powinniśmy pamiętać, że nie wzięła się z niczego. Polska może istnieć wyłącznie wtedy, gdy wystarczająco wielu Polaków bardzo chce, by istniała. Bo geopolityczna fizyka jest przeciwko nam.

Przed Polską wielkie boje: o suwerenność, o zatrzymanie islamskiej inwazji, o dzieci. Ta ostatnia bitwa jest najważniejsza. W czasie rocznicowych przemów wspomnieli o niej zarówno prezes PiS, jak i prezydent. To dobrze, ale to wciąż za mało. Wiem, że politycy mają poczucie, iż sprawa dzietności wykracza poza ich sprawczość. Jednak z naszej perspektywy tylko w świecie polityki możemy szukać wyjścia z tej spirali śmierci. W tygodniku „Sieci" konsekwentnie alarmujemy o tym fundamentalnym problemie. Bo bez dzieci Polski nie będzie.

Jacek Karnowski

Reklama | 08/1125/FZAL

SIECI spis treści

52 Nie tylko ambicje
Witold Waszczykowski

54 Japoński Niepokalanów
Andrzej Skwarczyński

61 Wolę grać w otwarte karty
Rozmowa Jolanty Gajdy-Zadwornej

NA POCZĄTEK

5 **MOKRA GRANICA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MIĘDZY PROPAGANDĄ SUKCESU A RZECZYWISTOŚCIĄ**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **EUROPA NIE MOŻE WYGRAĆ WYŚCIGU Z ZACIĄGNIĘTYM HAMULCEM**
Daniel Obajtek

13 **CEUTA: MIGRACJA W CIENIU ODMIENNYCH KULTUR**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MACIEJA PAWLICKIEGO**
Michał Korsun

16 **BOLESNA ABSENCJA PREMIERA**
Jan Pietrzak

16 **PREZYDENT ZNÓW IM PRZESZKADZA**
Samuel Pereira

17 **EUROPA ZNÓW TYLKO REAKTYWNA**
Arkadiusz Mularczyk

18 **CZAS PRÓBY**
Lech Makowiecki

19 **KŁAMSTWO HISTORYCZNE**
Grzegorz Górny

TEMAT TYGODNIA

20 **DUMA I WSTYD**
Piotr Gursztyn

KRAJ

24 **TRZECIA DROGA MORAWIECKIEGO**
Stanisław Janecki

27 **POLSKA POMIĘDZY POGLĄDAMI I EMOCJAMI**
Dorota Łosiewicz

30 **CHAM NA MAZURACH**
Konrad Kołodziejski

33 **ZNAK W SERCU POLSKI**
Marzena Nykiel

37 **ORLĘTA WARSZAWY ZATRZYMAŁY BOLSZEWIKÓW W SIERPNIU 1920 r.**
Z Marcinem Ołdakiem rozmawia Jerzy Szmit

ŚWIAT

40 **PAŃSTWO CHORE NA WSZYSTKO**
Dariusz Matuszak

43 **NIEMCY – ZMIERZCH GIGANTA**
Marek Budzisz

46 **GRANICA WOLNOŚCI SŁOWA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

49 **ROZWÓJ PLUS, CZYLI PiS MINUS REWOLUCJA**
Maciej Walaszczyk

52 **NIE TYLKO AMBICJE**
Witold Waszczykowski

HISTORIA

54 **JAPOŃSKI NIEPOKALANÓW**
Andrzej Skwarczyński

SPORT

58 **SUKCESY I TRAGEDIE. GORZKA CENA HIMALAIZMU**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **WOLĘ GRAĆ W OTWARTE KARTY**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: BERENIKA WYRZYKOWSKA-NOVI**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ŁOWCY WOLNOŚCI**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **INFANTINO WYCZYŚCI BUTY BLATTEROWI?**
Ryszard Czarnecki

74 **GOŹDZIKI DLA POETY**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl c25b34d838

BRONISŁAW WILDSTEIN

Mokra granica

Czy Agnieszka Holland nakręci „Mokrą granicę", sequel swojego poprzedniego filmu? Bohaterowie w składzie: małżeństwo gejów-antropologów z Afganistanu ze swoją małą córeczką; filozofka z Mali, która poczęła dziecko w drodze ku morzu i urodziła je na oceanie; psychoterapeuta z Syrii oraz niebinarne fizyczko-atomowe dziecko z Burundi odpędzeni od polskiej granicy przez zezwierzęcone straże, spłynęliby do Bałtyku, aby następnie przez Morze Północne, kanał La Manche i Atlantyk na pontonie dotrzeć do Ceuty. Musieliby stawiać czoła faszystowskim zbirom, a żywiliby się planktonem oraz deszczówką. Wymykając się zasadzkom frankistowskich bojówek, prowadzeni przez humanitarne organizacje (dawniej ISIS), zajmujące się transportem imigrantów z Afryki i Azji do Europy, wspierani przez aktywistów Podemosu, dotarliby wreszcie na gościnną ziemię hiszpańską, nad którą rozpościerałaby się tęcza.

Śmieszność to kwestia dystansu. Groteska jest śmieszna, co nie znaczy wesoła. Czy kard. Ryś w odniesieniu do wydarzeń w Ceucie przekaże władzom Hiszpanii swój list pasterski z zeszłego roku, w którym apelował: „KAŻDY CZŁOWIEK ma prawo wybrać sobie miejsce do życia; i ma prawo w tym miejscu być uszanowanym w swoich przekonaniach, kulturze, języku i wierze"? Czy lewicowi humanitaryści współpracujący z najbardziej przerażającymi gangami handlarzy ludźmi i pomagający im przerzucać migrantów do Europu nie są śmieszni? Dziesiątki tysięcy ofiar tego procederu i jego destrukcyjne konsekwencje śmieszne już nie są.

Krzysztof Śmiszek, który do polskiej polityki został wprowadzony przez swojego „partnera", napisał: „Widzę, że skrajne prawactwo w furii, bo Hiszpania uregulowała status 500 tys. migrantów. Boją się jakiejś wyimaginowanej »Wielkiej Podmiany«. Ciągle się czegoś boją. W Polsce też przyszedł już czas na poważną rozmowę o szerszym włączeniu migrantów w życie społeczne i polityczne". Śmieszek boi się tylko prawactwa.

W tym samym czasie Irene Montero z Podemos, koalicjanta rządzących w Hiszpanii socjalistów, wykrzykiwała: „Chcę prosić osoby imigranckie i należące do mniejszości etnicznych: nie zostawiajcie nas samych z tyloma faszystami. Oczywiście, że chcemy, żeby głosowali. Zdobyliśmy dla nich papiery, daliśmy im legalizację, a teraz idziemy po obywatelstwo lub zmianę prawa, żeby mogli głosować. Oby teoria podmiany populacji się ziściła! Obyśmy mogli pozbyć się faszystów i rasistów z tego kraju dzięki imigrantom!".

„Wielka Podmiana" to termin ukuty przez pisarza Renauda Camusa, który zatytułował tak swoją książkę z 2011 r. Pomimo że opisywała zjawisko, nie szafując wartościującymi kwalifikacjami, kosztowała go ostracyzm i serię przegranych procesów. Zaglądam do Wikipedii, która stała się – niestety – podstawowym źródłem wiedzy dzisiaj i czytam: „Teoria wielkiej podmiany – skrajnie prawicowa teoria spiskowa głosząca, że rdzenna, biała i chrześcijańska ludność Europy jest celowo zastępowana przez nieeuropejskich imigrantów". To karykatura analizy procesu, w której celowe działania są jedynie elementem. Niemniej występują. Czy Montero jest skrajnie prawicowa?

Obietnica obywatelstwa dla 500 tys. nielegalnych imigrantów spowodowała, że napłynęło ponad 1,2 mln podań. Inwazję na Ceutę, obok działań Maroka, spowodowały także obietnice premiera Sánchezа, który nie ma sobie nic do wyrzucenia i głosi, że będzie kontynuował dotychczasową politykę.

„Zdjęcia szturmu imigrantów z granicy Maroka i Hiszpanii zaalarmowały wszystkich, ale to skrajna prawica nimi straszy [...]. Gra imigracją to sprawdzona polityczna broń nie tylko w Europie. Napływu imigrantów z obcej kulturowo Afryki już nikt nie chce, ale to umiarkowane rządy muszą bronić przed nią nie tylko granic, ale i własne społeczeństwa – przed kłamstwem, że zostawią Europę bezbronną i z otwartymi drzwiami" – czytam na portalu TVN24.

Medium, które zawsze głosiło, że problem imigracji to rojenia skrajnej prawicy oraz wspierało polityków prezentujących takie stanowisko, odkryło, że istnieje powszechna zgoda co do obrony Europy przed obcą kulturą i dlatego... podstawowym zagrożeniem jest prawica, która to podnosi.

Narody Europy budzą się i zaczynają występować na rzecz swojej tożsamości, kulturowego środowiska oraz ogólnie swojego istnienia. Tylko działacze o deficytach intelektualnych, które pozwalają im na szczerość, w rodzaju Śmiszka czy Montero, pozwalają sobie kontynuować dotychczasowy dyskurs. Retoryka europejskiego establishmentu zmienia się. Jednakowoż przekształcenie praktyki wymagałaby odejścia od liberalnych dogmatów, a w ślad za tym transformacji obowiązującej mentalności. To trudne i nastąpi, kiedy będzie już pewnie za późno. Zawsze można sobie powiedzieć na pocieszenie, że katastrofę spowodowała prawica, która zablokowała proces harmonijnej adaptacji przybyszy do „wartości europejskich".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c25b34d838

Sygnalista nadaje

Tragiczna rocznica za nami. Moment, gdy ten Nawrocki z Gdańska, czyli Batyr, buchnął naszemu Rafałowi sprzed nosa pałac. I dalej go okupuje. A ponieważ jesteśmy członkiem Unii Europejskiej, to wiemy, że np. w Hiszpanii ocupas mogą zająć czyjeś mieszkanie i nikt ich nie wyrzuca. Więc na razie tak to sobie wytłumaczmy. Lecz zaklinamy: niech żywi nie tracą nadziei. Liczenie głosów przez dr. Kontka trwa i trwać będzie aż do końca świata i jeden dzień dłużej. Numer konta ten sam, nadal liczymy na Wasze wpłaty.

Ciekawy trop w sprawie liczenia głosów wskazał ***Roman Mecenas Koń-Giertych***: „Wygląda na to, że Karol Nawrocki ułaskawił Adama Borowskiego, który organizował mu liczenie głosów w kampanii wyborczej. W czasie liczenia głosów w kampanii 2025 doszło do największej liczby fałszerstw wyborczych w historii Polski. Większego przykładu kolesiostwa nie znajdziecie. Borowski został skazany na pół roku więzienia, bo lekceważył nakazy sądowe przeproszenia mnie za zniesławienie. Teraz już wiecie, dlaczego musimy tak planować rozliczenia, aby prawomocne skazanie nastąpiło po zakończeniu kadencji lub usunięciu z urzędu Karola Nawrockiego. On wszystkich pisowców będzie ułaskawiał". Czyli czekamy do 2035 r. Szybko zleci, więc nie ma co się niecierpliwić. Sądy i tak wolno pracują (bo to wolne sądy, o które walczyliśmy). No i jeszcze jeden wniosek: ten Borowski to prawak i pisior, ale jednak może by go jakoś przeciągnąć na naszą demokratyczną stronę. Wtedy zorganizowałby nam liczenie głosów, bo wygląda na to, że jest bardziej sprawny od dr. Kontka.

Odnotujmy tu wypowiedź Pana Premiera Donalda Franciszka, że Mecenas Roman nie jest „świętą krową", która to wypowiedź wywołała niezdrową ekscytację wśród osób prawackich. Niech się jednak uspokoją i nie oczekują, że Pan Premier skrzywdzi autorytet strony demokratycznej, czyli Mecenasa Romana. Chodziło tylko o to, że nie jest świętą krową, bo jest świętym koniem.

Teraz o ludzkim cierpieniu, za które odpowiada ten Nawrocki z Gdańska. Uwaga na treści drastyczne! Wchodzicie na własną odpowiedzialność. Zaznaczcie, że macie ukończone 18 lat. „Nas to boli" – załkał Berek Maciek. Tak jest, gdy ktoś uderzy kogoś w szczepionkę. A Batyr to zrobił, wysyłając do Trybunału Konstytucyjnego (który nie jest TK w znaczeniu praworządności, tak jak my ją rozumiemy, ale już od września będzie) ustawę o podatku nadzwyczajnym od zysków koncernów paliwowych. Rząd miał bardzo sprytny plan w związku ze wzrostem cen paliw (które obecnie nieco odbiegają od poziomu 5,19 zł). Koncerny paliwowe miały zapłacić nowy podatek, także kilka miesięcy wstecz, a rząd uzyskane pieniądze miał im zwrócić, tak by nie podwyższały jeszcze bardziej cen paliw.

Jest jednak nadzieja na zmianę. ***Drwal praworządności*** zapowiada, że ukarze tego Nawrockiego z Gdańska. Popełnił on bowiem straszną zbrodnię. Było to wtedy, gdy rząd Bolandy Uśmiechniętej przysłał kandydatury praworządnych sędziów, którzy mieli zasiąść w niepraworządnym Trybunale Konstytucyjnym. I wiecie, co

eprasa.pl c25b34d838

zrobił Batyr? Sprawdził ich życiorysy. Wygooglał ich nazwiska, a może nawet wchodził im na fejsa i insta. Śledczy będą to badać. „Badał życiorysy części sędziów, więc złamał prawo i za to odpowie" – powiedział Waldek Żurek, czyli karząca ręka sprawiedliwości. A jak Waldek coś zapowie, to na pewno kiedyś się to zdarzy.

Tak się bawił, tak się bawił ***Adam Bodnar***! Karnawałowy zawrót głowy w Ministerstwie Sprawiedliwości. Dopiero teraz się o tym dowiedzieliśmy. Niestety od skarżypytów z NIK, jakby to było coś złego, że ekipa od rozliczeń potrafi się dobrze bawić, nie tylko wsadzając do aresztów wydobywczych. Basen z kulkami, karaoke, warsztaty taneczne – tak wyglądała zabawa sylwestrowa Ministerstwa Sprawiedliwości. Zresztą wyszło tanio – kosztowała tylko 163 tys. zł. Surowy wobec złoczyńców, szczodry wobec przyjaciół demokracji i praworządności (tak jak my ją rozumiemy). Taki powinien być demokratyczny minister ds. rozliczeń. Praworządności nie stać na rzeczy tanie.

Z ogromnym napięciem śledzimy, jak rząd Pana Premiera Donalda Franciszka pokonuje kolejne piętrzące się przeszkody. A czasem nie pokonuje, ale obiecuje, że pokona. Oto przykład tytanicznych wysiłków. Prawdziwa odyseja, nawet lepsza niż ta z Murzynką, którą pokazują w kinach: nie będzie darmowej wody z kranów w restauracjach. I na tym etapie słusznie, bo nie ma darmowych kranówek. W każdym razie był projekt przygotowany przez Ministerstwo Klimatu i Starych Wiatraków, by knajpiarze wydawali konsumentom po pół litra kranówy na łebka. Całkowicie za darmo. Projekt był, ale się zmył. Przenikliwe oko posła KO Dowhana Roberta dostrzegło wady w projekcie. „Kwestia naczyń – czy szklane, czy plastikowe? Jeśli plastikowe, to co z utylizacją, a jeśli szklane, to co z myciem i suszeniem?" – zadał pytanie resortowi. A resort nie potrafił odpowiedzieć, chociaż wiadomo, że największe awantury zawsze wybuchają o niepozmywane naczynia i o to, kto ma zmywać. To nie są łatwe sprawy. Nasz rząd to jednak łebskie głowy. Będzie osobna ustawa o darmowej kranówce w restauracjach. Opracują ją najlepsi legislatorzy na podstawie sprawdzonych wzorców ze świata. Tylko żeby Batyr nie zawetował tej ustawy, kluczowej dla rozwoju Tenkraju.

Dzięki Polskiemu Radiu w Nieustającej Likwidacji poznaliśmy postać wybitną, choć bardzo skromną, zasiadającą w naszym rządzie. To Rosiński Rafał z PSL, wiceminister cyfryzacji. Wszystkie Rafały to fajne chłopaki, więc i ten jest bardzo fajny. Na cyfryzacji zna się tak samo dobrze jak jego szef

Gawkowski Krzysiek i jest błyskotliwy jak Paulina Hennig-Kloska albo nawet Adam Szłapka. Jakiś nudziarz z tego radia zamęczał Rafała pytaniami o jakąś durną rakietę, która spadła na Lubelszczyznę (jakby kogoś normalnego to obchodziło). Rafał na szczęście nie odpowiedział na żadne pytanie i za to go cenimy. Rakieta spadła, to spadła i już nie odspadnie. Po co robić z tego zagadnienie? A że nie było ostrzeżenia? „Nie ma potrzeby siać paniki. Państwo zadziałało" – odpowiedział z godnością Rafał.

Poza tym, jeśli chodzi o tę durną rakietę, to dyżurni, którzy mieli włączyć systemy alarmowe, spali, bo była noc, a w nocy się śpi, nie zaś ogłasza alarmy. Czego nie rozumiecie? Jeden dyżurny to nawet nie spał i pojechał do urzędu włączyć alarm, ale się spóźnił. Drugi mocno spał, więc nie słyszał SMS alarmowego. A trzeci usłyszał, jednak najpierw zadzwonił do szefa z pytaniem, co robić, ale szef też spał, no bo noc. Tak więc sami widzicie, że nie ma potrzeby siać paniki. Państwo zadziałało. Nie róbcie zagadnienia.

Był moment grozy. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł po plecach całej strony demokratycznej. Przestali się kłócić na prawicy. Tobiaszek Bocheński spotkał się z Marcinkiem Horałą. Przez długi czas obaj chłopcy nieładnie się przezywali. A wiadomo, że kto się przezywa, tak samo się nazywa. Szarpali się o wiaderko, łopatkę, a nawet jeden pokazał drugiemu język. No i zaszła niepokojąca zmiana – obaj spotkali się w telewizji, która całą prawdę, całą dobę. Ku zaskoczeniu wszystkich obserwatorów, byli dla siebie mili. Marcinek całkowicie zignorował pytanie o kłótnię i zaczął siorbać kawę. Mówił, że dobra (pewnie tak, bo za darmo). A Tobiaszek odpowiedział, że nie pamięta, aby była jakaś kłótnia.

Na szczęście, kochana strono demokratyczna, to już minęło. W ramach zgody na prawicy politycy jej wszystkich nurtów aktywnie udzielają wywiadów w mediach i innych kanałach jutubowych. I znów na siebie nadają, dzięki czemu nie mają już czasu ani siły, aby dokuczać Panu Premierowi Tuskowi. Wróciła nadzieja, że znów będą się mocno kłócić.

Nagannie zachował się ***Mentzen Sławomir***, zakłócając spokój mieszkańców Berlina z powodu jakiejś nieważnej rocznicy (Pan Premier przecież dał znać, żeby sobie ją odpuścić). To było niedobre, ale koszulka, którą miał na sobie Sławek, jest bardzo fajna. Przedstawia Warszawę zniszczoną przez osoby nazistowskie ze wstrząsającym obrazem ruin Pałacu Kultury. Dzwonił Darek Joński i pytał, gdzie można kupić taką koszulkę.

Fot. Shutterstock, Andrzej Wiktor x2, M. Czutko

eprasa.pl c25b34d838

WIEŻA BAB

Między propagandą sukcesu a rzeczywistością

Bezpieczeństwo państwa nie powinno być przedmiotem marketingu politycznego

Trudno nie odnieść wrażenia, że w sprawie Tarczy Wschód politycy zaczynają mylić komunikację z realnym wzmacnianiem bezpieczeństwa państwa. Wiceszef MON Cezary Tomczyk z dumą ogłasza, że elementy programu są już widoczne na zdjęciach satelitarnych z kosmosu. Ma to robić wrażenie na opinii publicznej i pokazywać skalę przedsięwzięcia. Problem polega na tym, że zdjęcia satelitarne można interpretować na dwa sposoby. Skoro widać budowę, widać również jej rzeczywisty zakres. I właśnie tę drugą perspektywę przedstawił francuski analityk OSINT Clément Molin.

Jego raport nie podważa sensu samego programu. Wręcz przeciwnie – wskazuje, że Polska potrzebuje nowoczesnego systemu umocnień na granicy z Rosją i Białorusią. Krytyka dotyczy przede wszystkim rozbieżności pomiędzy ambitnymi zapowiedziami polityków a stanem faktycznym. Jeżeli po dwóch latach od rozpoczęcia programu na większości odcinków granicy nadal widoczne są jedynie punktowe umocnienia, pojedyncze rowy przeciwpancerne czy lokalne betonowe zapory, trudno mówić o kompleksowej tarczy. Powstają raczej pojedyncze elementy układanki, która wciąż nie tworzy spójnego systemu obrony.

To szczególnie niepokojące w kontekście przesmyku suwalskiego, miejsca uznawanego przez NATO za jeden ze strategicznych punktów całej wschodniej flanki Paktu. Jeśli gdziekolwiek inwestycje powinny być prowadzone w pierwszej kolejności i z największym rozmachem, to właśnie tam. Każdy miesiąc opóźnienia oznacza, że najbardziej newralgiczny odcinek pozostaje słabiej zabezpieczony niż wynikałoby z oficjalnych deklaracji.

Niepokój budzi również sposób prowadzenia politycznej narracji. Zamiast przedstawiania harmonogramu realizacji, poziomu zaawansowania prac czy konkretnych celów osiągniętych w kolejnych etapach, przedstawiciele rządu koncentrują się na efektownych materiałach promocyjnych. Film pokazujący, że budowle są już widoczne z kosmosu, może dobrze funkcjonować w mediach społecznościowych, ale nie zastąpi rzeczowej informacji o tym, ile kilometrów umocnień ukończono, ile pozostaje do wykonania i czy inwestycja przebiega zgodnie z planem.

Paradoksalnie właśnie otwarte źródła informacji, które jeszcze kilka lat temu były traktowane jako ciekawostka, dziś stają się jednym z najważniejszych narzędzi kontroli społecznej. Eksperci OSINT potrafią bardzo dokładnie ocenić postęp prac na podstawie ogólnodostępnych zdjęć satelitarnych. Oznacza to, że polityczne deklaracje coraz łatwiej zweryfikować. Jeżeli skala inwestycji odbiega od zapowiedzi, prędzej czy później zostanie to zauważone.

Oczywiście trzeba zachować rozsądek. Tarcza Wschód jest projektem rozpisanym do 2028 r. i nikt nie oczekuje, że po dwóch latach będzie ukończona w całości. Część infrastruktury ma charakter niejawny, a wiele elementów – takich jak systemy rozpoznania, środki walki elektronicznej czy rozwiązania wykorzystujące sztuczną inteligencję – nie będzie widocznych na zdjęciach satelitarnych. Nie zmienia to jednak faktu, że skoro sami politycy wykorzystują fotografie z kosmosu jako dowód sukcesu, muszą się liczyć z tym, że te same zdjęcia staną się podstawą krytycznej oceny.

Bezpieczeństwo państwa nie powinno być przedmiotem marketingu politycznego. Tarcza Wschód ma odstraszać potencjalnego agresora, a nie budować wizerunek ministrów. Jeżeli rzeczywiście jest to jeden z największych projektów obronnych w Europie, opinia publiczna ma prawo oczekiwać przede wszystkim konsekwentnej realizacji inwestycji, przejrzystego informowania o postępach oraz uczciwego przedstawiania tego, co już udało się osiągnąć, a co nadal pozostaje jedynie ambitnym planem. W sprawach obronności wiarygodność jest równie ważna jak beton, stal i nowoczesne technologie. Gdy polityczna narracja zaczyna wyprzedzać rzeczywistość, cierpi nie tylko zaufanie obywateli, lecz także wiarygodność państwa wobec sojuszników i potencjalnych przeciwników.

Dorota Łosiewicz

Sondażownia, ale czyja?

Ronald Kieł ze smutkiem spojrzał na wiszący na ścianie kalendarz, z którego uśmiechał się najlepszy premier tysiąclecia, czyli Ronald Kieł. Kieł na kalendarzu był uśmiechnięty, ale ten siedzący za biurkiem miał skwaszoną minę.

„To już rok, jak muszę się męczyć z tym Bokserem" – pomyślał. „A mogło być tak pięknie, gdyby prezydentem został Rafael. Miałbym pełnię władzy w Tymkraju, tych przebrzydłych opozycjonistów trzymalibyśmy w obozach pracy przymusowej, a konserwatystów w tradycyjnych gettach. Ale ten Rocky wyskoczył jak królik z kapelusza i torpeduje wszystkie plany uczynienia z Tenkraju wschodniej rubieży liberalnej Europy. Europy tolerancyjnej dla mniejszości seksualnych i etnicznych oraz nietolerancyjnej dla wrogów tolerancji" – rozmarzył się. I bezwiednie dodał na głos: – Oczywiście takiej tolerancji jak my ją rozumiemy...

Słowa Kła wyrwały z letargu Radka Świrowskiego, ministra spraw zagranicznych, który wobec wcześniejszego milczenia przełożonego popadł w drzemkę. Obaj mężowie stanu spotkali się, by omówić relacje z Mocarstwem Zachodnim, ale nie zdążyli nawet zacząć rozmowy, bo Kieł się zamyślił, a Świrowski zasnął. Tak po prawdzie zwyczaj zasypiania w trakcie spotkań na najwyższym szczeblu krajowym wprowadził sam Kieł, który po porannym joggingu potrzebował regeneracji, a jak wiadomo, nic tak nie regeneruje jak dobra drzemka. Początkowo współpracownicy premiera próbowali go budzić, ale z czasem się przyzwyczaili. Co więcej, na spotkaniach rządu lub węższych gremiów decyzyjnych zaczęli też zasypiać inni, zwłaszcza Roman Naszaszkapa, który przeniósł tradycję szybkich regeneracyjnych drzemek do Sejmu. W zasadzie nie było posiedzenia, podczas którego Naszaszkapa by nie zasnął, opowiadając przy tym bezczelnie, że wcale nie śpi, tylko lubi słuchać z zamkniętymi oczami.

– Radku, czy rozmawiałeś ze swoim odpowiednikiem z Zachodniego Mocarstwa na temat tzw. reparacji wojennych? – zapytał Kieł.

– Oczywiście, Ronaldzie – odpowiedział Świrowski. – Z całą stanowczością przedstawiłem mu nasze twarde stanowisko.

– Jakie?! – zapytał z przerażeniem Kieł.

– Jak to jakie? Takie, że głos prezydenta jest odosobniony i my jako rząd Tenkraju sprawę reparacji uznajemy za zamkniętą – powiedział Świrowski z pełnym wyższości oksfordzkim akcentem.

– No, masz szczęście! – Kieł się wyluzował. – Bałem się, że coś pokręcisz i poprzesz niesłuszne żądania Boksera. Kto to widział, że ponad 80 lat po wojnie domagać się reparacji?! Poza tym, jak to mądrze powiedział jeden z naszych pomorskich działaczy, wina za rozpoczęcie tamtej wojny spoczywa także na nas...

– O to, to, Ronaldzie! Trzeba się uderzyć w piersi – zawtórował mu Świrowski. – Naród tenkrajski też ma swoje za uszami.

Jak mówi moja żona, gdyby nie wybuch II wojny światowej, to Tenkrajczycy sami by stworzyli getta!

Obaj politycy pewnie w ciągu kilkudziesięciu sekund doszliby do tego, że to Tenkraj powinien wypłacić reparacje Zachodniemu Mocarstwu, ale te rozważania przerwało wejście rzecznika rządu Adama Stópki.

– Kierowniku, widziałeś sondaże? Słabo w nich wypadasz – zaczął Stópka od drzwi. Ale widząc minę Kła, zamilkł.

– Stópka, ty mi nie opowiadaj o złych sondażach, tylko zamawiaj takie, w których dobrze wypadnę – wycedził Kieł.

– Adam, a jakie są wyniki? – zapytał niewinnie Świrowski, który bardzo chciał usłyszeć, jak bardzo nielubiany w społeczeństwie jest Ronald Kieł. Bo prywatnie marzył, by zająć jego fotel.

– Według najnowszego sondażu zaufanie do naszego premiera deklaruje 32 proc. badanych – odpowiedział przestraszonym głosem Stópka. – Na czele zaufania jest prezydent Rocky, któremu ufa 55 proc. Tenkrajczyków.

– Te badania były tendencyjne i robione przez moich osobistych wrogów – zaperzył się Kieł. – Powtarzam ci, Stópka, że jedynym wyjściem z sytuacji jest zamówienie badań w zaprzyjaźnionej przez nas sondażowni, które pokażą prawdziwe wyniki!

– No właśnie, Kierowniku – głos Stópki był cichy i drżał od emocji – no więc jest taka sprawa, że te wyniki są z naszej zaprzyjaźnionej sondażowni. W pracowniach, które nie są z nami związane, wygląda to jeszcze gorzej...

Ostatnie słowa Stópka wypowiedział, zamykając za sobą drzwi. Dzięki temu na jego głowie nie wylądował gustowny mokasyn, zdjęty z nogi i rzucony przez Kła, który nade wszystko nie lubił spadających sondaży.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMIN

eprasa.pl c25b34d838

Wielka Brytania

Ucieczka nafciarzy

Koncern BP wystawił na sprzedaż swoje pola naftowe na Morzu Północnym, co oznacza koniec 60-letniej obecności tej firmy na tym akwenie. Władze przedsiębiorstwa doszły do wniosku, że dalsza eksploatacja istniejących złóż stała się nieopłacalna, m.in. z powodu polityki klimatycznej laburzystów i wprowadzonego przez nich zakazu prowadzenia nowych odwiertów.

Głęboki kryzys energetyczny jest w dużym stopniu skutkiem błędnych decyzji podejmowanych pod wpływem zielonej ideologii. Tak było w Niemczech, gdzie rząd zdecydował się na wygaszenie elektrowni jądrowych, aby przyspieszyć w ten sposób transformację energetyczną. W konsekwencji zafundowano sobie gwałtowny wzrost cen i największą od dekad zapaść gospodarczą.

Równie samobójczą decyzję podjął laburzystowski rząd Keira Starmera, który w 2024 r. zaprzestał wydawania nowych licencji na odwierty złóż naftowych na Morzu Północnym. Uznano bowiem, że nie da się pogodzić wydobycia paliw kopalnych z walką o klimat. Zamiast ropy naftowej i gazu ziemnego miały powstawać farmy wiatrowe, a duże koncerny paliwowe, w tym BP, zachęcano do inwestycji w energię odnawialną.

Władze koncernu nie skorzystały jednak z tej oferty. Wydobycie ropy naftowej i gazu ziemnego pozostało bowiem bardzo dochodowym przedsięwzięciem, szczególnie po wybuchu wojny na Ukrainie i w Zatoce Perskiej, gdy ceny tych surowców gwałtownie wzrosły.

Eksploatacja brytyjskich złóż na Morzu Północnym stopniowo maleje. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza całkowita produkcja ropy naftowej spadła z ponad 150 mln t w 1999 r. do zaledwie 34 mln t w 2025 r. i już od 20 lat nie jest w stanie zaspokoić popytu na rynku brytyjskim. Nie oznacza to jednak, że zasoby ropy na Morzu Północnym wyczerpały się. Według różnych ekspertyz nadal istnieją rezerwy, tyle że ich wydobycie jest nieopłacalne lub zakazane wspomnianą decyzją brytyjskiego rządu.

W tej sytuacji BP zdecydował się pójść w ślady innych gigantów naftowych i wycofać się z akwenu, na którym był obecny od 1964 r. Złoża należące do koncernu zostały wystawione na sprzedaż. Oczekuje się, że nabywcami będą małe firmy, które zdołają jeszcze wycisnąć zyski ze starych odwiertów, BP zamierza się zaś skupić na wydobyciu w innych częściach świata.

Obecny rząd Andy'ego Burnhama próbuje ratować sytuację, zapowiadając zmiany w 78-proc. podatku od nieplanowanych zysków energetycznych, którym są obłożone firmy naftowe. Wielu parlamentarzystów, w tym część laburzystów, domaga się również odstąpienia od zakazu odwiertów. Ich zdaniem transformacja energetyczna na razie nie przyniosła spodziewanych efektów i wobec szalejącej drożyzny nie należy rezygnować z paliw kopalnych.

Konrad Kołodziejski

AI w służbie Boko Haram

Uniwersytet Cambridge opublikował raport na temat wykorzystywania sztucznej inteligencji przez bojowników z terrorystycznej organizacji Boko Haram. Dokument powstał na podstawie 57 pogłębionych wywiadów z 27 byłymi członkami tego islamistycznego ugrupowania, głównie dowódcami lub specjalistami od techniki. Z rozmów wynika, że w latach 2023–2025 dżihadyści w Nigerii i Kamerunie zostali gruntownie przeszkoleni w zakresie korzystania z systemów AI. Za programem stali „biali mężczyźni, którzy przybyli, aby nas szkolić". Instruktorzy przyjeżdżali głównie z Francji, Libii, Iraku lub Afganistanu, zajęcia odbywały się natomiast w stanie Borno w północno-wschodniej Nigerii.

Nigeria

Terrorystów z Boko Haram szkolono, jak wykorzystać potencjał AI do wspierania działań bojowych, organizowania ataków, koordynacji logistycznej, planowania taktycznego, bezpieczeństwa operacyjnego, nauczania technik walki, konstruowania bomb czy budowania świadomości sytuacyjnej na polu walki w czasie rzeczywistym. Dzięki sztucznej inteligencji stworzono nowe kanały komunikacji i zarządzania wewnątrz organizacji – korzystanie z nich pozwala uniknąć pozostawienia po sobie śladów mogących naprowadzić na trop islamistów. W raporcie opisano też historię pewnej bazy wojskowej we wschodniej Nigerii, której dżihadyści – mimo wielu szturmów – nie byli w stanie opanować. Kiedy jednak wprowadzili dane terenowe do systemu AI, otrzymali informację, jak skutecznie sforsować obronę niezdobytej twierdzy.

Z danych zebranych przez organizację pozarządową Tech Against Terrorism wynika, że podobnie zaawansowana technologicznie jest nie tylko Boko Haram, lecz także inne organizacje islamistów na świecie. Ludzie na Zachodzie często wyobrażają sobie afrykańskich bojowników jako dzikusów uzbrojonych w dzidy i kałasznikowy, tymczasem dżihadyści potrafią korzystać z najnowocześniejszych wytworów AI z Doliny Krzemowej. Nic więc dziwnego, że wśród nigeryjskich terrorystów wielką popularność zdobywa nowe hasło: „Allah nam pomógł, więc AI też nam pomoże".

Grzegorz Górny

eprasa.pl c25b34d838

Austria

„Stalingraz”

Rządząca miastem Graz KPÖ (Komunistyczna Partia Austrii) wygrała wybory samorządowe, a burmistrzem na kolejną kadencję została jej lokalna liderka, Elke Kahr. Poparcie dla partii, która zdobyła 35,6 proc., zwiększyło się o 7 proc. w porównaniu do tego, które miała w 2021 r. Wbrew ogólnokrajowym trendom w stolicy Styrii prawicowa FPÖ zajęła dopiero czwarte miejsce.

W ten sposób liczące ponad 300 tys. mieszkańców i drugie co do wielkości miasto w Austrii będzie rządzone przez komunistów tworzących lewicową koalicję z Zielonymi i socjaldemokratami, choć na poziomie krajowym KPÖ pozostaje ugrupowaniem marginalnym. Po raz ostatni austriaccy komuniści zdobyli mandaty parlamentarne w 1956 r., a w ostatnich wyborach uzyskali jedynie 2,4 proc. poparcia, w tym 6,1 proc. właśnie w Grazu.

Na początku lat 90. KPÖ wykonała zwrot taktyczny, odcinając się od przeszłości i przyjmując formułę partii prospołecznej. Podczas jej rządów w Grazu miasto odnowiło i wybudowało mieszkania komunalne, zamroziło opłaty za wywóz odpadów, obniżyło koszty wstępu na baseny i ograniczyło dotacje partyjne, przeznaczając te środki na posiłki do żłobków i szkół. Komunistyczni radni od ponad 20 lat przekazują część swojego wynagrodzenia (2,6 tys. euro) na partyjny fundusz społeczny, zebrali w ten sposób 1,3 mln euro.

Przeciwnicy nazywają te transfery kupowaniem głosów, podczas gdy Kahr i jej zwolennicy twierdzą, że jest to sposób na budowanie zaufania i bezpośrednią pomoc. Faktycznie – jak krytykuje prawicowa opozycja – komuniści przekształcili lokalny samorząd w eksperymentalne laboratorium marksistowskie, nazywane ironicznie „Stalingrazem”. To nowoczesne, atrakcyjne ekonomiczne miasto z silnym sektorem turystycznym boryka się z coraz większym zadłużeniem, wynoszącym dziś ponad 2 mld euro, najwyższym spośród wszystkich stolic austriackich prowincji, wyłączając jedynie Wiedeń. Poza tym, choć partia potępiła atak Rosji na Ukrainę, to zdaniem niektórych analityków zachowuje więzi z Moskwą, otwarcie wyrażając niezgodę na sankcje i dozbrajanie Ukrainy. Elke Kahr deklarowała sprzeciw w tej właśnie sprawie.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock x4

Afganistan

Bunt przeciwko talibom

Talibowie, którzy zdobyli władzę w Afganistanie pięć lat temu, są bliscy utraty kontroli nad Badachszanem, prowincją w północno-wschodniej części kraju. Niedawno doszło tam do „strajku religijnego”, bo lokalni przywódcy duchowi nie chcieli wymienić imienia emira talibów Mawlawiego Haibatullaha Akhundzady w swoim piątkowym kazaniu.

Sprawa wygląda na trywialną, ale z punktu widzenia talibanu sprzeciw ten dotyka kwestii fundamentalnej, czyli legitymacji do sprawowania władzy. Po przejęciu rządów talibowie wprowadzili obowiązek wymieniania podczas tradycyjnej piątkowej modlitwy imienia swego przywódcy. Ta norma religijna i polityczna jest ściśle przestrzegana od pięciu lat. Talibscy propagandyści chwalili się, że przywrócenie imienia „dowódcy wiernych” nastąpiło po raz pierwszy od zlikwidowania kalifatu osmańskiego w 1924 r. W ten sposób islamski emirat talibów został *de facto* ogłoszony następcą ostatniego kalifatu, a sprzeciw mułłów jest traktowany w kategoriach aktu politycznego, równoznacznego z wypowiedzeniem posłuszeństwa.

W Badachszanie od kilku miesięcy trwa spór polityczny. Jego podłożem są ambicje Hadżi Baszira Noorzaia, bliskiego współpracownika emira talibów i współzałożyciela całego ruchu. Jest on nie tylko jednym z filarów reżimu, lecz także uchodzi za głównego nadzorcę krajowego przemysłu narkotykowego. Ostatnio zaczął również przejmować kontrolę nad wydobyciem złota z rąk przywódców Badachszanu.

Na tym tle w prowincji doszło do buntu przeciw talibom, na którego czele stanął Juma Khan Fateh. Ze względu na wiek jest on przedstawicielem „młodzieży”, niezadowolonej z nowych porządków. Jeden z jego współpracowników, 25-letni Abdul Qayum Malang, wraz z 50 zwolennikami Frontu Wojowników Ojczyzny przejął w lipcu kontrolę nad całym dystryktem Jaftali Pain w Badachszanie. Praktycznie bez jednego strzału opanował on siedziby administracji talibów, policję i budynki służb bezpieczeństwa w dystrykcie. Talibowie dobrowolnie oddali Malangowi całą swoją broń, która według dostępnych informacji wpadła już w ręce licznych lokalnych grup oporu.

Rejon Jaftali Pain pozostawał pod kontrolą rebeliantów zaledwie przez kilka godzin, znaczenie tego wydarzenia jest jednak prawdziwie historyczne. Teraz pod wpływem „strajku mułłów” kryzys jeszcze się zaostrza i zdaniem specjalistów może się przekształcić w regularną rewoltę Tadżyków z północy Afganistanu.

Marek Budzisz

eprasa.pl c25b34d838

Europa nie może wygrać wyścigu z zaciągniętym hamulcem

Historia gospodarcza uczy jednej prostej prawdy – nie wygrywa ten, kto ma najpiękniejsze deklaracje, lecz ten, kto potrafi tanio produkować, szybko inwestować i skutecznie konkurować. Niestety Europa coraz częściej wybiera odwrotną drogę: zamiast wzmacniać własny przemysł, nakłada na niego kolejne obciążenia. Zamiast budować przewagi konkurencyjne, podnosi koszty prowadzenia działalności. Efekt jest łatwy do przewidzenia: europejskie przedsiębiorstwa przegrywają rywalizację z firmami ze Stanów Zjednoczonych i Azji.

Najbardziej jaskrawy przykład stanowi energia. Dla współczesnej gospodarki prąd jest tym, czym w XX w. była stal – podstawowym surowcem rozwoju. Bez taniej energii nie ma konkurencyjnego przemysłu, nowoczesnych hut, zakładów chemicznych, centrów danych ani produkcji zaawansowanych technologii. Tymczasem europejskie przedsiębiorstwa od kilku lat funkcjonują w warunkach, które stawiają je na straconej pozycji wobec konkurentów spoza Starego Kontynentu. Międzynarodowe analizy pokazują, że przemysł w Unii Europejskiej płaci za energię elektryczną wyraźnie więcej niż przedsiębiorstwa w Stanach Zjednoczonych i Chinach, co przekłada się na utratę konkurencyjności.

Polska odczuwa ten problem szczególnie mocno. Nasza gospodarka wciąż opiera się na przemyśle, produkcji i eksporcie. To właśnie przedsiębiorcy tworzą miejsca pracy, płacą podatki i budują siłę polskiej gospodarki. Jeżeli koszty energii stają się jednymi z najwyższych w Europie, przedsiębiorca nie zastanawia się nad kolejną inwestycją – zastanawia się, czy produkcja nadal ma sens.

Nie można udawać, że problem nie istnieje. Coraz więcej firm przenosi nowe inwestycje tam, gdzie energia jest tańsza, procedury prostsze, a państwo traktuje przemysł jako strategiczny filar rozwoju. W Stanach Zjednoczonych administracja wspiera inwestycje przemysłowe. W Chinach państwo prowadzi konsekwentną politykę wzmacniania własnej produkcji. W Europie natomiast przedsiębiorcy zbyt często spotykają się z rosnącymi kosztami, nadmierną biurokracją i coraz bardziej skomplikowanymi regulacjami.

Nie da się finansować ambitnych polityk społecznych, inwestycji w bezpieczeństwo czy nowoczesnych technologii, jeśli przemysł będzie stopniowo wypychany poza kontynent

Nie oznacza to, że należy rezygnować z ochrony środowiska czy modernizacji energetyki. Przeciwnie – Polska potrzebuje nowoczesnej energetyki, większej liczby stabilnych źródeł wytwarzania, inwestycji w sieci przesyłowe i dywersyfikacji miksu energetycznego. Transformacja musi jednak służyć obywatelom i gospodarce, a nie prowadzić do trwałej utraty konkurencyjności.

Europa powinna wrócić do zasady, która przez dziesięciolecia stanowiła fundament jej sukcesu: najpierw rozwój gospodarczy, potem podział owoców tego rozwoju. Nie da się finansować ambitnych polityk społecznych, inwestycji w bezpieczeństwo czy nowoczesnych technologii, jeśli przemysł będzie stopniowo wypychany poza kontynent.

Polska ma potencjał, aby stać się jednym z liderów europejskiej gospodarki. Mamy przedsiębiorczych ludzi, dobrze wykwalifikowanych pracowników i korzystne położenie geograficzne. Nie możemy jednak zgodzić się na sytuację, w której o sukcesie naszych firm nie decyduje innowacyjność ani jakość produktów, lecz rachunek za energię.

Konkurencyjność nie jest hasłem wyborczym – jest warunkiem dobrobytu. Jeżeli Europa chce pozostać liczącym się graczem w światowej gospodarce, musi ponownie uczynić tanią i bezpieczną energię jednym z fundamentów swojej polityki gospodarczej. Bez tego będziemy coraz częściej oglądać, jak kolejne inwestycje powstają poza Europą, a miejsca pracy i kapitał podążają tam, gdzie przedsiębiorcom pozwala się przede wszystkim produkować, a nie walczyć z kosztami.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl c25b34d838

Ceuta: migracja w cieniu odmiennych kultur

Marta Kaczyńska-Zielińska

Nicolas Pouvreau-Monti, dyrektor Obserwatorium ds. Imigracji i Demografii, w analizie opublikowanej na łamach „Le Figaro" przekonuje, że Ceuta nie jest lokalnym incydentem, lecz zapowiedzią zjawisk, które w najbliższych latach mogą dotyczyć całej Europy.

Przekroczenie granicy przez ok. 60 tys. osób w ciągu jednego dnia pokazało, jak szybko lokalny kryzys może się przerodzić w problem europejski – migranci, którzy przedostaną się na terytorium Hiszpanii, uzyskują możliwość dalszego przemieszczania się po strefie Schengen.

Wydarzenia w Ceucie po raz pierwszy zostały określone mianem inwazji i początkowo wywołały krytykę polityki hiszpańskiego rządu, który swoimi działaniami w istocie zachęcił cudzoziemców do forsowania granicy. Program legalizacji pobytu nielegalnych migrantów przygotowany przez rząd Pedra Sáncheza został odebrany jako sygnał, że nielegalne przedostanie się do Hiszpanii ostatecznie może się zakończyć uzyskaniem prawa pobytu.

Skala tych wydarzeń i rosnąca liczebność muzułmańskich społeczności w Europie rodzi pytanie o przemiany społeczne, które nastąpią w wyniku procesu zastępowania starzejących się rodowitych Europejczyków o chrześcijańskich korzeniach przez odległe kulturowo, nieasymilujące się grupy. Znaczna część migracji do Europy pochodzi z państw muzułmańskich, w których normy prawne fundamentalnie różnią się od europejskich standardów. Duża część migrantów kwestionuje europejskie normy kulturowe, a zdaniem socjologów, jeśli odsetek przedstawicieli wspomnianych grup przekroczy w społeczeństwie 5 proc., nastąpią nieodwracalne zmiany.

Warto zwrócić uwagę na porządek prawny i zwyczaje, które odzwierciedlają mentalność znacznej części nachodźców. Poniżej przybliżono jeden z najbardziej newralgicznych obszarów tych różnic: pozycję kobiety w klasycznym prawie islamskim.

W Afganistanie dopuszczalne są małżeństwa z dziewczynkami. Podobne regulacje obowiązują w Iraku (9 lat), Sudanie (10 lat) czy Tanzanii (12 lat) oraz w Czadzie, Nigrze, Republice Środkowoafrykańskiej i Mali. W Somalii nie istnieje dolna granica wieku wydawania za mąż. Część państw islamskich ogranicza poligamię, ale tylko Tunezja zakazuje jej wprost. Warto zauważyć, że w wielu krajach Afryki Zachodniej i Subsaharyjskiej, z których wywodzą się migranci, poligamia to głęboko zakorzeniona tradycja, także niezwiązana z islamem. Ok. 36 proc. mieszkańców Burkina Faso i ok. 34 proc. mieszkańców Mali żyje w wielożennych gospodarstwach domowych. Znaczna część społeczeństw Gambii, Nigru, Nigerii, Gwinei i Gwinei Bissau funkcjonuje w związkach poligamicznych. Warto zauważyć, że według danych Frontexu obywatele Mali, Gwinei, Nigerii i Gambii stanowią 15–20 proc. migrantów przybywających do Europy.

W islamie kobieta zawiera małżeństwo przy udziale opiekuna, a mężczyzna – samodzielnie. Muzułmanin może poślubić chrześcijankę lub żydówkę, muzułmanka – wyłącznie muzułmanina. Część klasycznych opracowań ograniczała prawo żony do opuszczania domu bez zgody męża. Mężczyzna dysponuje prawem jednostronnego rozwodu, niewymagającego wykazania winy żony. Kobieta nie ma analogicznego uprawnienia. Może uzyskać rozwód za zgodą męża, często ze zwrotem posagu lub sądowo udowadniając przemoc, porzucenie, brak utrzymania czy zaginięcie męża.

Syn zwykle otrzymuje udział w majątku równy udziałowi dwóch córek. W sprawach majątkowych świadectwo dwóch kobiet odpowiada zeznaniu jednego mężczyzny. Jedynie w sprawach znanych głównie kobietom (poród, karmienie) ich samodzielne zeznania były wystarczające.

W 29 krajach Afryki, Bliskiego Wschodu oraz Azji żyje ponad 125 mln kobiet poddanych tradycyjnemu okaleczeniu (FGM, FGC). Najwyższy odsetek poddanych tej praktyce występuje w Somalii (ok. 98 proc.), Gwinei, Dżibuti oraz Egipcie. Wedle statystyk w Europie ten makabryczny proceder aktualnie dotyczy 600 tys. kobiet i dziewcząt.

REKLAMA

18/0726/F

eprasa.pl c25b34d838

Walizka Macieja Pawlickiego

producenta filmowego, reżysera, publicysty

Podróże są po to, by zachwycały. Świat jest pełen cudów, ale największa jest miłość. Podróże nabrały dla mnie sensu dopiero wtedy, gdy wyruszyliśmy w nie we dwoje z żoną Magdaleną (a później już z większą gromadką). Byliśmy razem w Japonii, wiele miesięcy spędziliśmy w USA, Anglii, w krajach Południa. W Australii byłem sam. I mimo że kraj ciekawy (np. Blue Mountains, góry wklęsłe – wspinasz się w drodze powrotnej), będąc samemu, nie możesz powiedzieć: „Popatrz, jakie piękne!", co odbiera większość radości odkrywania. Choć oczywiście umiar w tej wspólnocie wrażeń jest wskazany. Lubię łazić po Orlej Perci (Świnica, ostatnio Granaty), jednak wejście na Zawrat z kilkuletnimi dziećmi było co najmniej lekkomyślne. Robiąc filmy, podróżuję w czasie. Szukam tam i znajduję ludzi, którzy dokonali rzeczy tak wielkich i pięknych, że nie zasługują na naszą niepamięć. Robię filmy o nieznanych lub zbyt mało znanych polskich bohaterach (Mieszko i Dobrawa, Paweł Włodkowic, Zawisza Czarny, hetman Stanisław Żółkiewski, Benedykt Dybowski, Anna Henryka Pustowójtówna, Stanisław Król, Roman Dmowski, ks. Marceli Godlewski, rodziny Kowalskich, Obuchiewiczów, Kosiorów, Skoczylasów, Baranków), dzięki którym podróż przez Polskę – fizyczna i duchowa – może być i jest piękna. A mądrze odbyte podróże po świecie pozwalają – po zachwytach i naukach – jeszcze bardziej docenić nasze miejsce na ziemi.

GALOPUJĘ

Wyjazdy wybieram tak, by w okolicy była stajnia. Nie ma nic piękniejszego niż galop brzegiem plaży o zachodzie słońca. A pęknięta muszelka to mój medal za Wicemistrzostwo Turnusu w Skokach przez Przeszkody na Obozie Jeździeckim w Bachotku w 1976 r.

eprasa.pl c25b34d838

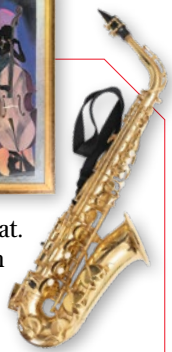

LOVE ME TENDER

W dźwięku saksofonu zakochałem się na Bourbon Street w Nowym Orleanie, tam kupiłem ten plakat. A potem saksofon, uczę się grać. Grałem „Summertime" na środku wieczornych Tałt, a na weselu córki zagrałem „Love Me Tender".

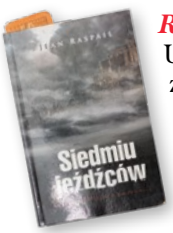

RASPAIL I PAPA LUNA

Ukochany pisarz: Jean Raspail, zawsze zabieram na wakacje jego książkę. Poetycka proza heroiczna, przywracająca rozchwiany świat do pionu. Kiedyś według „Pierścienia Rybaka", na zamku w Peñíscoli, zrealizuję film o Benedykcie XIII, papieżu Pedro de Lunie.

ŻEGLUJĘ

Próbowałem Śródziemnego z Gibraltaru, próbowałem Adriatyku i nie ma jak Mazury, tęsknię za nimi cały rok. Tam halsujesz 100 razy więcej, tam jest przygoda. Pucharek z regat na Bełdanach („Sarmata" z kapitanem Reszczyńskim).

„SUKCES NA EXPO 2008"

Na XI-wiecznym zamku w Saragossie odbieram nagrodę za III miejsce Polskiego Pawilonu na Expo 2008. Hiszpania to turystyczna potęga, bo ma tysiące zamków (najpiękniejsze jest Toledo). Polskie zamki ograbili i zburzyli Szwedzi. Czas, by odbudowali.

KOPIĘ

Gram co tydzień. Wszyscy młodsi, czasem kilka dekad. Trochę wrzeszczę, gdy za mało podają. Notuję wyniki. W tym roku w 27 meczach strzeliłem 77 goli i miałem 28 asyst. W sprawie Messiego jestem po stronie Messiego.

OCHOTNIK

Dziadek Ignacy Rachwalski w 1920 r. – mając piątkę dzieci – poszedł na ochotnika bronić ich przed bolszewikami, był pod Radzyminem. Miał w Warszawie dwie restauracje – Nitouche i słynną Caveau Caucasien (Winiarnię Kaukaską) w podziemiach Filharmonii.

DEDYKACJA HERBERTA

Podróż w czasie: tę dedykację od dowódcy Królewskiej Samodzielnej Brygady Huzarów Śmierci Zbigniewa Herberta uznaję za mój największy sukces zawodowy. Zwracam uwagę na tekst: „Z mocną pewnością, że jeszcze wrócimy".

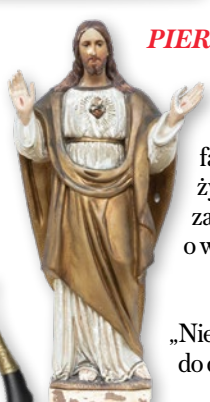

PIERWSZY FILM

Czekaliśmy na planie, by ten Jezus dotarł gdzieś z Podlasia i „zagrał" w pierwszym filmie fabularnym o Polakach, którzy oddali życie, ratując Żydów. Film „Zegar", zatrzymany w połowie zdjęć, trwa walka o wznowienie. Ale, jak napisał Herbert...

ZŁOTY RÓG DMOWSKIEGO

Kończę film „Młody Dmowski", naczytałem się pana Romana, także na wakacjach. Wcześniej nie wiedziałem, że Wyspiański też się go naczytał i zamieścił jego myśli w „Weselu" i „Wyzwoleniu".

„PÓDŹ, CIELĘ"

„Niemiła księdzu ofiara, pódź, cielę, do domu" – to powiedzenie mojego ojca, które przejąłem, a kubek w prezencie od moich dzieci zawsze mam ze sobą, bo wciąż mnie rozśmiesza.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum Macieja Pawlickiego

eprasa.pl c25b34d838

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bolesna absencja premiera

Jan Pietrzak

Malkontenci wydziwiali na różnych kanałach, że podczas rocznicy powstania warszawskiego nie zauważyli premiera wśród ludzi w Warszawie. Dajcie spokój temu człowiekowi. Po prostu jest taktowny i delikatny. To nie jego rocznica, nie jego nostalgia i wspomnienia. Po co ma się tłoczyć w zbiegowisku, które go jedynie drażni, jak hałaśliwy Sejm z posłami Czarnkiem, Kowalskim, Jakubiakiem i innymi? Warszawski zryw przeciwko niemieckiej władzy – tak jak my ją rozumiemy i pamiętamy – nie mieści się w głowie polskiego premiera. Takiego sobie wybraliście, a teraz się dziwicie po raz enty, co też on wyprawia!? Robi to, co musi, aby być wiernym swojej misji.

Sierpień to dla niego trudny, bolesny miesiąc. Już niebawem Polacy będą świętować rocznicę zwycięstwa nad bolszewicką Rosją. Jak się zachowa nasz premier? Bukmacherzy obstawiają zakłady. Hazardziści mogą przytulić niezłą kasę, jeśli zgadną, na ile dni zniknie z telewizorów. Niechby Putin zobaczył go na tej paradzie, serdeczna nić przyjaźni przybitej „żółwikami" mogła by zostać zerwana.

Koniec sierpnia, rocznica wiekopomnego strajku Solidarności, też może skutkować ucieczką z kraju, byle dalej od polskiej pamięci, emocji i hymnu wczesnej „S" „Żeby Polska była Polską". Pan T. niby był z Solidarnością, ale jakoś niewyraźnie, bezobjawowo. A poza tym już jako premier z panną „S" miewał relacje oziębłe, niekiedy wymuszane pałowaniem i gazami. Jedynie na Bolka może liczyć zawsze ze względu na podobieństwo skomplikowanych życiorysów.

W sumie sierpień to uciążliwy czas dla naszego kanclerza, niegdyś króla Europy, kawalera wielu euronagród. Nagromadzenie paradoksów w życiorysie powoduje brak konsekwencji w politycznych decyzjach, co z kolei sprawia wrażenie jakiegoś nieustannego pecha prześladującego tego obrotnego polityka. Jak sam twierdzi – nikt go nie ogra! W sprawach prywatnych interesów pewnie tak jest, zwłaszcza że fachowy Giertych czuwa, ale w działaniach publicznych jest ogrywany zbyt często, by dało się to ukryć. Jak śpiewałem kilkanaście lat temu: „Obiecanych cudów brak, / Za to moc egipskich plag, / Co rujnują nam kraj jak za Ruska. / Nasz faraon Tusekhamon / To pechowiec jakich mało [...]. Plagi Tuska, plagi Tuska [...]. / Budżet państwa tu się pruje, tam się sypie, / Toną stocznie, kolej zjeżdża w boczny tor. / W służbie zdrowia wesolutko jak na stypie, / Nie stać wszystkich na benzynę, gaz i prąd". Czy jestem jakimś prorokiem?

Lata minęły i wszystkie plagi się zgadzają! Gdyby w Polsce były wolne media, Tusk dawno odpadłby z polityki, przysypany lawiną kłamstw. Na razie robi sobie jedynie krótkie wypady do vaterlandu, kiedy nie może już tutaj z nami wytrzymać. Ale to się niebawem skończy. Zgadnijcie jak???

Prezydent znów im przeszkadza

Samuel Pereira

Po katastrofie smoleńskiej prof. Zdzisław Krasnodębski opublikował słynny tekst o zmarłym prezydencie Lechu Kaczyńskim „Już nie przeszkadza". Od tego czasu minęło kilkanaście lat, do władzy wróciła ekipa Donalda Tuska i, jak widać, prezydent RP znowu im przeszkadza. Powód? Jest od nich niezależny. Nie działa wbrew obywatelom, nie potrafią mu tego udowodnić, ale przecież dla tej ekipy to nie jest ważne.

Zamiast wyciągnąć wnioski z werdyktu wyborców w 2025 r. i szukać porozumienia od pierwszych dni nowej prezydentury, rozpoczęło się podważanie jej wyniku, a później znaczenia wybranego prezydenta. Jeszcze niedawno politycy Koalicji Obywatelskiej – bo trwała kampania wyborcza – przekonywali, że urząd prezydenta jest kluczowy dla bezpieczeństwa państwa, polityki zagranicznej i sprawnego funkcjonowania kraju. Dlatego należy wybrać ich kandydata. Dziś ci sami ludzie próbują przekonać opinię publiczną, że prezydent właściwie nie powinien zabierać głosu w sprawach międzynarodowych, a jego aktywność jest problemem.

Dobrym przykładem są wypowiedzi ministra Radosława Sikorskiego. W czasie prekampanii w KO podkreślał, jak ważna jest rola głowy państwa. Gdy jednak prezydentem został Karol Nawrocki, nagle skupia się na ograniczeniach jego kompetencji. Głównie wydumanych.

To zresztą szerszy problem obecnej władzy. Każda instytucja pozostająca poza jej kontrolą jest przedstawiana jako przeszkoda. Najpierw był prezydent Andrzej Duda. Teraz podobny los spotyka jego następcę. Gdy prezydent korzysta z przysługujących mu uprawnień, słyszymy, że blokuje państwo. Gdy spotyka się z zagranicznymi przywódcami, zarzuca mu się, że wtrąca się do polityki zagranicznej (której nie ma). Gdy stawia się rządowi, oskarża się go o uprawianie polityki. W demokracji prezydent nie jest notariuszem rządu. Ma własny mandat, otrzymany bezpośrednio od obywateli oraz obowiązek patrzenia władzy na ręce. Taka jest istota systemu równowagi władz.

Tylko czy problemem dla Tuska i jego zaplecza jest sam urząd prezydenta, czy to, kto go sprawuje i czy jest osobą podporządkowaną? To dość oczywiste, biorąc pod uwagę, że Rafał Trzaskowski przyznał wprost, że on jako prezydent RP podpisywałby wszystko jak leci. Dla dobra partii.

eprasa.pl c25b34d838

Europa znów tylko reaktywna

Wystarczył jeden kryzys w Ceucie, aby po raz kolejny przekonać się, że unijna polityka migracyjna wciąż nie daje skutecznej odpowiedzi na zorganizowaną presję migracyjną. Obrazy migrantów, masowo wdzierających się na terytorium Hiszpanii, przypominają, że problem nie zniknął – został jedynie odsunięty od medialnych nagłówków. Dziś wraca i pokazuje, jak kruche pozostaje bezpieczeństwo zewnętrznych granic Unii Europejskiej.

Polska od lat ostrzegała, że migracja może być wykorzystywana jako narzędzie wojny hybrydowej. Gdy w 2021 r. reżim Łukaszenki skierował migrantów na granicę z Polską, wielu europejskich polityków kwestionowało nasze działania. Tusk mówił o migrantach, że „poszukują swojego miejsca na Ziemi". W tym samym czasie powstał film „Zielona granica", który był bezwstydnym atakiem na funkcjonariuszy strzegących naszej granicy. Celebryci i aktorzy otwarcie atakowali Straż Graniczną oraz rząd Prawa i Sprawiedliwości, podważając konieczność zdecydowanej obrony granicy. Dziś warto zadać pytanie, gdzie są ci wszyscy krytycy. Czy oczekiwali właśnie takich obrazów, jakie oglądaliśmy na plażach w Ceucie – masowego naporu migrantów i chaosu na granicy? Dziś coraz trudniej podważać fakty – nielegalna migracja służy destabilizacji państw i wywieraniu presji politycznej.

Ceuta pokazuje, że zagrożenie dotyczy całej Unii Europejskiej. Południowa granica jest równie narażona na zorganizowane działania, których cel stanowi przełamywanie granic i testowanie odporności państw. W takich sytuacjach nie wystarczą deklaracje ani kolejne dokumenty. Potrzebne są skuteczne mechanizmy ochrony granic oraz realne wsparcie dla państw, które ich strzegą.

Nieprzypadkowo po wydarzeniach w Ceucie Komisja Europejska ponownie mówi o konieczności poprawienia ochrony zewnętrznych granic. To kierunek słuszny, ale przecież znów spóźniony. Polska za naszych rządów od dawna podkreślała, że bezpieczeństwo granic powinno być fundamentem wspólnej polityki migracyjnej.

Ceuta to kolejny sygnał ostrzegawczy. Europa nie może po raz kolejny reagować dopiero wtedy, gdy kryzys już wybuchnie. Potrzebna jest polityka oparta na prewencji, skutecznej ochronie granic i świadomości, że migracja może być wykorzystywana jako narzędzie nacisku na państwa europejskie. Polska miała rację, ostrzegając przed tym zagrożeniem. Dziś czas wyciągnąć wnioski z tych doświadczeń.

Arkadiusz Mularczyk

Dopóki walczysz, wygrywasz

Z Marcinem Kwaśnym, aktorem, reżyserem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

„Odzyskany" to pański pełnometrażowy debiut reżyserski. Skąd ten projekt?

Marcin Kwaśny: Najpierw nakręciłem krótkometrażową „Spowiedź" (jest dostępna na YouTube). „Odzyskany" to kontynuacja losów bohatera, Janka. Inspiracją była też historia kolegi, którego ojciec zostawił w wieku sześciu lat, wyprowadził się kilka bloków dalej i nie utrzymywał z synem kontaktu. Pomyślałem, co by było, gdyby Janek miał takiego „ojca marnotrawnego", który zmarnował najlepsze lata syna.

Fot. Andrzej Wiktor

Jakie znaczenie ma dla pana to, że film wejdzie do kin 14 sierpnia?

Podwójne. Po pierwsze, sierpień to miesiąc trzeźwości. Po drugie, 14 sierpnia przypada 85. rocznica śmierci mojego ulubionego świętego, czyli Maksymiliana Kolbego.

Pański film opowiada głównie o relacji ojca z synem?

O relacjach szerzej – i z ojcem, i z matką, i z księdzem – przewodnikiem duchowym (którego świetnie zagrał Remigusz Jankowski). To rzecz o tym, że nawet jeśli relacja była mocno zaniedbana lub nie było jej w ogóle, nie znaczy, że nie można jej odbudować czy wręcz zbudować.

Wspomniał pan jednego z aktorów, a pozostali?

Filip Gurłacz był oczywistym wyborem. Spotkanie przy filmie „Spowiedź" pokazało, że jest jak wystrzelony nabój. To aktor totalny, w pełni oddający się roli. Zaangażować Gurłacza to jak wygrać w totka. Z kolei Andrzej Mastalerz (filmowy ojciec) jest klasą samą w sobie. Przez trzy lata byłem z nim w Teatrze Polskim i miałem okazję poznać jego możliwości. A Marysia Gładkowska, która gra matkę... Pomyślałem, że wyzwaniem może być dla niej fizyczne wyniszczenie, choroba bohaterki, tymczasem z jej roli przebija wewnętrzne piękno.

Dlaczego warto obejrzeć „Odzyskanego"?

Ten film niesie nadzieję. Mógłby mieć motto: „Dopóki walczysz, wygrywasz". Nawet jeżeli w życiu źle się dzieje, nie podawaj się. Walcz do końca.

Czytaj więcej na str. 61

c25b34d838

Kłamstwo historyczne

Ostatnio na łamach lewicowego tygodnika „Przegląd" Andrzej Romanowski powtórzył stare i dawno zdemaskowane kłamstwa na temat rzekomych wydarzeń, do których miało dojść w marcu 1944 r. w Markowej pod Łańcutem. Według niego po tym, jak Niemcy dokonali egzekucji na rodzinie Ulmów, mieszkańcy tej wsi sami wymordowali Żydów, których do tej pory ukrywali. Autor powtórzył więc kłamliwą narrację, którą w 2016 r. wprowadzili do obiegu publicznego Jan Grabowski i Dariusz Libionka. W swoim tekście w „Gazecie Wyborczej" pisali o 24 Żydach, których mieli zamordować Markowianie nazajutrz po tragicznej śmierci Ulmów.

Fałsz ich wywodów obnażył m.in. ówczesny wiceprezes IPN dr Mateusz Szpytma, który wykazał, że do wspomnianych mordów nigdy nie doszło. Co więcej, historyk, którego rodzina pochodzi z Markowej, zaprezentował udokumentowane przypadki 21 Żydów, którzy przeżyli do końca okupacji niemieckiej, ukrywani we wsi przez miejscowych chłopów. Jedyna relacja o rzekomych mordach mieszkańców na Żydach pochodzi od Jehudy Ehrlicha, ukrywanego przez Polaków w niedalekiej Sieteszy. Nie przebywał on jednak w ogóle w Markowej, nie może być więc traktowany jako wiarygodny świadek.

Miałem wówczas okazję porozmawiać z 86-letnim Abrahamem Izaakiem Segalem, jednym z Żydów uratowanych przez Polaków w Markowej. Opowiedział mi o czterech polskich rodzinach, które kolejno przychodziły mu na ratunek, mimo że groziła za to kara śmierci dla wszystkich domowników. Z najwyższym podziwem mówił o tym, że po egzekucji Ulmów nikt z Polaków ukrywających Żydów we wsi nie zrezygnował z niesienia im pomocy. On sam po wojnie wielokrotnie odwiedzał Markową, przywożąc tam swoje dzieci i wnuki. Dodał, że Muzeum im. Rodziny Ulmów, które powstało w tej miejscowości, uważa za wspaniałe dzieło, oddające historyczną sprawiedliwość wielu bohaterom, zarówno tym znanym z imienia i nazwiska, jak i bezimiennym.

Zwiedzając ekspozycję we wspomnianej placówce, przypomniałem sobie słowa Normana Daviesa: „Myli się ten, kto sądzi, że imiona zapisane w Yad Vashem to ostateczny rachunek. Władze Izraela mogą upamiętnić jedynie tych, których nazwiska zostały im przekazane i przeszły niezwykle surową weryfikację. Nie wiemy nic o bardzo wielu innych ludziach: tych, którzy dawali schronienie żydowskim rodzinom, nawet jeśli tylko na dwa lub trzy dni w chwilach największego zagrożenia, tych, których naziści mordowali razem z ich żydowskimi gośćmi, zacierając tym samym wszelkie ślady ich bohaterstwa, tych, którzy spełnili swój obowiązek podczas wojny, a potem zachowali milczenie. Istnieje zatem jeszcze jedno istotne rozróżnienie: »sprawiedliwi Polacy« znani Yad Vashem i inni Polacy, znani jedynie Bogu".

Abraham Izaak Segal opowiadał mi, że jest wstrząśnięty tym, iż można publicznie rozpowszechniać tak monstrualne kłamstwa o bohaterskich chłopach z Markowej. Mieszkańcy wsi, którzy z narażeniem życia nie tylko własnego, lecz także swoich rodzin, ratowali obcych sobie ludzi, teraz są oskarżani o to, że wymordowali tych, których w rzeczywistości ocalili. To tak jakby zarzucić Irenie Sendlerowej, że zabijała uciekinierów z getta.

W tym kontekście zastanawia, dlaczego po latach ktoś wrócił do dawno zdemaskowanych kłamstw. Tak się składa, że kilka dni po ukazaniu się tekstu Andrzeja Romanowskiego byłem akurat w Markowej. Tamtejsi mieszkańcy wiązali tę publikację z kandydaturą Mateusza Szpytmy na stanowisko prezesa IPN. W swym artykule stały felietonista „Przeglądu", oprócz powielania tez Grabowskiego i Libionki, skrytykował też koncepcję Muzeum im. Rodziny Ulmów (której współautorem jest dr Szpytma) za to, iż nie oddaje ona prawdy historycznej, gdyż nie mówi o rzekomych mordach Markowian na Żydach. Choć nazwisko głównego kandydata na prezesa IPN nie pojawia się w tekście, to jednak zostało skrytykowane zarówno jego dzieło (Muzeum), jak i środowisko rodzinne (Markowa). Można więc dojść do wniosku, że wspomniany historyk to naukowiec skrywający prawdę o niechlubnej przeszłości, ponieważ może ona dotyczyć także jego przodków. Cóż za „rekomendacja" przed głosowaniem nad jego kandydaturą! Kandydaturą, którą w zeszłym tygodniu Senat ostatecznie odrzucił.

Grzegorz Górny

Czas próby

Zbliża się rocznica Bitwy Warszawskiej. Wbrew katastroficznym prognozom niemieckich i brytyjskich polityków niechętnych niepodległości Polski sprawdziliśmy się wówczas jako naród. Ogłoszona we wszystkich kościołach odezwa Wincentego Witosa zaowocowała masową mobilizacją chłopskiego rekruta. Dzięki wsparciu Węgier (w ostatniej chwili dotarło do nas 80 wagonów ze sprzętem wojskowym) mieliśmy czym strzelać do Armii Czerwonej, prącej na Warszawę po łatwe zwycięstwo. Według węgierskiego historyka Mitrovitsa w 1920 r. rząd w Budapeszcie przekazał nam 35 mln sztuk amunicji do karabinów typu Mauser i 28 mln pocisków (Mannlicher, Mauser). Wykorzystaliśmy wojenne osłabienie trójki zaborców i efektowną wiktorią, potocznie zwaną Cudem nad Wisłą, przypieczętowaliśmy naszą państwowość.

Teraz sytuacja jest podobna. Nasi odwieczni wrogowie – Niemcy, na własne życzenie przeżywające gospodarczo-migracyjny kryzys, i Rosja, tocząca bratobójczą wojnę – są wyczerpani. Planowany przez nich V rozbiór Polski (z granicą na linii Wisły) powiedzie się tylko wtedy, gdy sami zrezygnujemy ze swej suwerenności. Wojna hybrydowa (presja gospodarcza, polityczna i informacyjna) toczy się tu już od dawna. Ideologiczny blitzkrieg (gender i lewacki marsz przez instytucje) sekularyzuje społeczeństwo, niszczy morale młodego pokolenia i naszą demografię. Łączące nas do tej pory wiara, patriotyzm i wartości rodzinne uległy destrukcji. Zapatrzeni w „mądrość" UE i jej namiestników, popełniamy ekonomiczne seppuku, zadłużając się na 1,2 mld zł dziennie. Aż jedna trzecia Polaków głosuje na hasło „polskość to nienormalność"! Mentalnie i fizycznie nie przetrwamy niekontrolowanej migracji najeźdźców z Afryki, Azji i Ukrainy.

PS Niegdyś przybysze, urzeczeni majestatem Rzeczypospolitej, asymilowali się bardzo szybko, ponoć sam Henryk Sienkiewicz miał w żyłach domieszkę krwi tatarskiej! Dziś mało bitni, naiwni Polacy wzbudzają w muzułmanach i Ukraińcach jedynie politowanie i pogardę.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Nowy pomnik Mieszka I i Dobrawy w Gnieźnie nad jeziorem Jelonek

Fot. PAP/Paweł Jaskółka

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS X 2, DAWID WOLSKI/EAST NEWS, ABDEL MAJID BZIOUAT/AFP/EAST NEWSSHUTTERSTOCK/SERGEY URYADNIKOV, TAYARIUS

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl c25b34d838

Podczas wszelkich uroczystości patriotycznych prezydent Karol Nawrocki czuje się jak ryba w wodzie. A premiera Donalda Tuska na większości z nich nie ma

Fot. Tomasz Jastrzębowski/REPORTER

Duma i wstyd

Donald Tusk znowu nieobecny na obchodach rocznicy powstania warszawskiego. Odbiór opinii publicznej jest jednoznacznie negatywny. Praktycznie nikt nie broni ani nie tłumaczy kolejnej absencji szefa rządu na ważnych uroczystościach patriotycznych. Milczą nawet jego zwolennicy. Każdy już wie, że to typowe dla Tuska, ale wszystkich nadal zadziwia jego arogancja. Dlaczego on to robi?

PIOTR GURSZTYN

Nie można powiedzieć, że w tym roku Donald Tusk całkowicie zapomniał o rocznicy. Z jej okazji nagrał tzw. rolkę, filmik zamieszczony w jego mediach społecznościowych. „W godzinę W przystańmy, pochylmy głowy" – zaapelował premier. Sam jednak nie dał przykładu. Nikt nie widział, aby on sam – zgodnie ze swoim apelem – gdzieś przystanął i pochylił głowę. Cały filmik liczy zaś aż 43 sekundy.

Na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach – w centralnym punkcie uroczystości – zastąpił go człowiek kompletnie nieznany opinii publicznej, czyli wojewoda mazowiecki. Chociaż rząd liczy 3 wicepremierów, ponad 20 mini-

eprasa.pl c25b34d838

strów i prawie 100 wiceministrów. „Brak Premiera RP. Brak Marszałka Sejmu RP. Brak Ministra Obrony Narodowej. Zażenowanie" – napisał Marcin Możdżonek z Konfederacji. Jedyną zauważalną próbą obrony nieobecności premiera była rozpaczliwa i całkowicie nieprzekonująca odpowiedź Hanny Gronkiewicz-Waltz: „Czy Pan zwariowal.pana nteresuje lista obycności na uroczystości czy hold oddany powstancom.premier mial piekne przesłanie nie zauwazyl pan" [pisownia oryginalna – przyp. red.].

Wpisów takich jak Możdżonka były setki, jeśli nie więcej. Obrońców premiera nie było prawie w ogóle, co pokazuje, że nawet zwolennicy Tuska mają problem z jego nieobecnością. Wiedzą, że oddaje pole nielubianej przez nich prawicy. A zwłaszcza Karolowi Nawrockiemu, który podczas wszelkich uroczystości patriotycznych czuje się jak ryba w wodzie.

Ale i tak złośliwie można powiedzieć, że w zachowaniu premiera można zobaczyć postęp. W 2025 r. nie dość, że Tuska nie było na uroczystościach, to jeszcze nie zamieścił wpisu w internecie ani nie dał żadnego innego znaku pamięci o rocznicy.

STAŁA PRAKTYKA

Ignorowanie ważnych rocznic i uroczystości państwowych to stała praktyka Donalda Tuska. Dużo częściej go nie ma, niż jest.

3 maja 2024 r. – był nieobecny. Oficjalnie z powodu zapalenia płuc. Przykra sprawa, bo były to pierwsze miesiące jego rządów, niemal miesiąc miodowy, więc mógł występować jako triumfator.

Kilkanaście dni później przypadła 80. rocznica bitwy pod Monte Cassino. Prezydent Andrzej Duda udał się na miejsce bitwy. Premier został w kraju. Wystąpił podczas substytutu uroczystości na krakowskim rynku. Co ciekawe, 10 lat wcześniej – w 2014 r. – Tuskowi chciało się pojechać do Monte Cassino na uroczystości okrągłej rocznicy. Mocno to wówczas nagłośniono. Zwłaszcza że była motywacja polityczna: „Tusk walczy o wyborcę 55+. W planach Monte Cassino i spotkanie z papieżem" – pisała wtedy „Gazeta Wyborcza". Były to ostatnie dwa tygodnie kampanii wyborczej do Parlamentu Europejskiego. „Udziałem w uroczystościach z okazji rocznicy bitwy pod Monte Cassino Tusk pokaże także, że nie tylko dla PiS polityka historyczna jest ważna i być może w ten sposób uda się Platformie pozyskać głosy centroprawicowego elektoratu" – czytamy dalej w tym artykule.

Wracając do teraźniejszości: 15 sierpnia 2024 r. – nieobecny na uroczystościach przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Pojawił się tylko na defiladzie.

> Widzieliśmy Tuska antyklerykała, potem skupionego katolika, gorliwie czczącego pamięć o Janie Pawle II, a teraz znowu antyklerykała. Tak jest ze wszystkim, łącznie ze stosunkiem do historii

11 listopada 2024 r. – nieobecny. „Premier Donald Tusk przeszedł planowy zabieg medyczny. Wróci do pełnienia obowiązków służbowych w najbliższą środę" – poinformowało Centrum Informacji Rządu. Nie podało jednak żadnych szczegółów. Tym bardziej nie dowiedzieliśmy się, dlaczego zabieg był zaplanowany w tak ważne święto. Nic ani przedtem, ani potem nie wskazywało, aby premier cierpiał na jakąś dolegliwość, która by wymagała pilnej interwencji medycznej.

10 kwietnia 2025 r. – centralne obchody 15-lecia katastrofy smoleńskiej – nieobecny. W imieniu premiera wieniec złożył minister z jego Kancelarii Jan Grabiec. Przy tej dacie trzeba odnotować, że Tusk tym bardziej ignoruje uroczystości, których nie ma zapisanych na stałe w kalendarzu jako święta państwowe.

3 maja 2025 r. – obecny na Pl. Zamkowym w Warszawie, ale był to finisz kampanii prezydenckiej, więc opuszczenie takich uroczystości byłoby wielkim błędem.

15 sierpnia 2025 r. – pojawił się na defiladzie wojskowej, ale tak jak poprzednio opuścił wszystkie pozostałe uroczystości tego dnia.

11 listopada 2025 r. – Donald Tusk obchodził Dzień Niepodległości w Gdańsku, a święto całkowicie zdominował nowy prezydent. Nie dość, że Karol Nawrocki zaznaczył swoją obecność na oficjalnych uroczystościach, to jeszcze szedł wraz z tłumem w Marszu Niepodległości. To wtedy nastąpił wysyp komentarzy: Tusk uciekł do Gdańska i oddał pole Nawrockiemu. Także do zwolenników premiera dotarło, że z instynktem politycznym i podejściem do obowiązków urzędowych szefa rządu coś jest nie tak.

3 maja 2026 r. – znów nieobecny. W tym przypadku warto przywołać komentarz Bogusława Sonika, byłego eurodeputowanego PO, który wskazywał na czysto polityczną motywację: „To jest świadoma taktyka, szczególnie przed zbliżającymi się wyborami: zwiększyć maksymalnie polaryzację i wskazać wroga, który zasiada w Pałacu Prezydenckim. Za wszelką cenę podważać jego autorytet, nawet manifestując to poprzez nieobecność w jedno z największych świąt Polaków" – komentował to na świeżo w rozmowie z Radiem Wnet.

Regułą jest też to, że Donald Tusk manifestacyjnie ignoruje 1 marca, czyli Dzień Żołnierzy Wyklętych, oraz 11 lipca – Dzień Pamięci Rzezi Wołyńskiej. Tym bardziej pomijane przez niego są inne narodowe dni pamięci – AK, Ofiar Obozów Koncentracyjnych, Polskiego Państwa Podziemnego.

Dodajmy do tej listy bardzo słabo zorganizowane obchody 80. rocznicy powstania warszawskiego. Wprawdzie to „miejska" impreza, ale okrągła rocznica i np. obecność prezydenta Niemiec powinny były zachęcić instytucje rządowe przynajmniej do wsparcia warszawskiego ratusza. Albo nawet – choćby w imię politycznego PR – do przyjęcia roli głównego organizatora.

Trzeba zauważyć, że Tusk kiedyś był nieco bardziej aktywny w tym zakresie, ale od zawsze było widać, że tego nie lubi. W latach 2007–2014 bywał na Powązkach 1 sierpnia w kratkę. Nie lekceważył jednak tego tak ostentacyjnie jak teraz. Gdy np. 1 sierpnia 2010 r. opuścił uroczystości, to jednak w zastępstwie

eprasa.pl c25b34d838

wysłał kogoś ważniejszego niż wojewodę, bo Władysława Bartoszewskiego.

Pozostając w opozycji, kilkakrotnie był obecny na uroczystościach 11 listopada, ale np. w 2019 r. nie zjawił się na obchodach okrągłej rocznicy wybuchu II wojny światowej. Dlatego że – jak twierdził – Kancelaria Prezydenta Andrzeja Dudy zbyt późno przysłała mu zaproszenie.

W 2022 r. był pytany przez media o nieobecność na uroczystościach 1 sierpnia. Dał zaskakującą odpowiedź: „Nie pchałem się przed kamery jak niektórzy politycy PiS, polityków na obchodach było aż nadto, stanąłem jak wszyscy warszawiacy o godz. 17 na ulicy" – odpowiedział. Nie zauważył go ani tym bardziej nie sfotografował nikt z postronnych. Sam Tusk nie powiedział, która to była ulica, więc trudno zweryfikować słowa polityka znanego z tego, że jest nieprzesadnie przywiązany do mówienia prawdy.

Donald Tusk wolał obchodzić ubiegłoroczny Dzień Niepodległości w przyjaznym otoczeniu, w Gańsku

Fot. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

DLACZEGO TO ROBI?

Przeciętny zwolennik prawicy wyraża ugruntowane przekonanie: Tusk nie czuje się polskim patriotą i nie lubi naszej tradycji. Zwolennicy tej tezy chętnie przywołują jego artykuł „Polak rozłamany", opublikowany w 1987 r. w miesięczniku „Znak".

„Polskość to nienormalność – takie skojarzenie narzuca mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu. Polskość wywołuje u mnie niezmiennie odruch buntu: historia, geografia, pech dziejowy i Bóg wie co jeszcze wrzuciły na moje barki brzemię, którego nie mam specjalnej ochoty dźwigać, a zrzucić nie potrafię [...]" – pisał 30-letni wtedy Donald Tusk. Bardzo chętnie przywoływane jest pierwsze zdanie. Ale tamten artykuł zamknął zdaniem o innej wymowie: „Sądzę – tak po polsku, patetycznie – że polskość, niezależnie od uciążliwego dziedzictwa i tragicznych skojarzeń, pozostaje naszym wspólnym świadomym wyborem".

Przywołuje się także jego mieszane, niemiecko-kaszubskie korzenie. „Przez całe swoje dzieciństwo i wczesną młodość miałem dziwną sytuację: byłem z polskiej rodziny używającej gdańskiej niemczyzny. [...] Mówię tu o autochtonach, a nie o Polonii gdańskiej. [...] Ja z tego powodu miałem pewien kompleks, bo np. dzieci na podwórku wiedziały, że u mnie w rodzinie mówi się po niemiecku; tego nie dało się ukryć w takiej społeczności jak podwórko i budziło to umiarkowaną agresję. Niby nie było to nigdy powodem do bójki, ale jak już do niej dochodziło, to wyzywano mnie np. od hitlerowców" – wspominał na początku lat 90. w książce „Teki liberałów".

Bardzo wielu ludzi wywodzi się ze środowisk nietypowych dla danego kraju, a i tak potem zostają żarliwymi patriotami. To tylko kwestia wyboru. Tuskowi nie można więc zarzucić, że pochodzenie trwale go zdeterminowało, ale każdy ma prawo zadać pytanie, na ile ten bardzo ważny polityk jest konsekwentny w trwaniu przy „naszym wspólnym świadomym wyborze".

ZMIENNE POGLĄDY

Zrobił gigantyczną karierę polityczną. Jest czołową postacią polskiej polityki od dekad. Ale nie potrafi udzielić klarownej odpowiedzi na pytanie, jakie tak naprawdę ma poglądy. Bo widzieliśmy Tuska antyklerykała, potem skupionego katolika, gorliwie czczącego pamięć o Janie Pawle II, a teraz znowu antyklerykała. Tak jest ze wszystkim, łącznie ze stosunkiem do historii.

Sam opowiadał, że jego największą fascynacją była historia starożytna. Ale temat pracy magisterskiej wybrał następujący: „Kształtowanie się legendy Józefa Piłsudskiego w prasie i świadomości społecznej II Rzeczypospolitej". Każda osoba studiująca historię wie, że tego typu „prasowe" tematy to wybór maksymalnej łatwizny. Trzeba tylko przewertować kilkanaście roczników kilkunastu gazet, przeczytać kilka monografii i to wszystko. Niezbyt imponujące dla innych absolwentów studiów historycznych.

Na tle Tuska jako absolwent historii znacznie lepiej wypada były prezydent Bronisław Komorowski, który obronił się w 1977 r. (Tusk w 1980 r.). Komorowski wybrał temat raczej trudny do opracowania w czasach komunistycznych – „»Bunt« gen. Żeligowskiego jako koncepcja rozwiązania problemu wileńskiego". Fragmenty opublikował kilkanaście lat temu tygodnik „Polityka" i trzeba przyznać, że była to dobra praca. Niestety trudno ocenić magisterium Tuska, bo nikt go nie przedrukował.

Wracając do historii starożytnej – ten wątek powrócił w początkach Platformy, gdy Tusk rozpoczął operację wypychania Jana Rokity z partii. Oficjalna narracja współpracowników Tuska była taka, że nie ma żadnego wypychania, a stosunki między obydwoma politykami są przyjacielskie. Dowodem miały być opowieści o tym, że obaj uwielbiają rozmawiać o starożytności klasycznej. W rozsiewaniu tego sielankowego przekazu celował młody poseł Sławomir Nowak, który dla zwiększenia swojej wiarygodności nauczył się greckiego słowa „Argyraspides". Oznaczało ono „Srebrne tarcze", czyli przyboczną gwardię Aleksandra Macedońskiego. Nie ochroniły one jednak Rokity przed wypchnięciem z PO. A gdy już zniknął z polityki, to rów-

eprasa.pl c25b34d838

nież Donald Tusk (a tym bardziej Nowak) zapomniał o swym zainteresowaniu starożytnością.

Wskazuje to na powierzchowność i incydentalne wykorzystanie historii do celów politycznych oraz upiększania własnego wizerunku. Historia nigdy nie była tak silną pasją Tuska, by dawał temu jakieś przekonujące dowody. Bo np. Jarosław Kaczyński, prawnik z wykształcenia, często odnosi się do przykładów historycznych. Od czasu do czasu napomyka, co aktualnie czyta na ten temat. Ostatnio wspomniał, że sięgnął po znaną obecnie książkę młodego profesora z Krakowa Krzysztofa Kloca „Sezon na niepodległość".

Tusk nie daje takich sygnałów. Choć może – tu zróbmy zastrzeżenie – nie wspomina o tym, bo w ogóle nie udziela wywiadów, nie spotyka się – wbrew obietnicom – ze swoimi wyborcami i w ogóle prowadzi bardzo odizolowany tryb życia. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że zapewne czyta coś na tematy historyczne. Ślady tego widać np. w wywiadzie rzece, którego udzielił Anne Applebaum. Wspomniał w nim o dwóch tytułach, ale w kontekście inspiracji do walki przeciw wrogom demokracji. Oczywiście tak jak Tusk ją pojmuje, czyli była to część tyrad skierowanych przeciw PiS. Znów wracamy więc do punktu pierwszego, czyli nieobecności na uroczystościach patriotycznych i powierzchownego oraz instrumentalnego traktowania historii.

W praktyce politycznej też tak to wyglądało. To PiS zawsze broniło IPN (powołanego przecież w czasach AWS przy bardzo szerokim konsensusie). To Prawo i Sprawiedliwość miało pomysły i realizowało je w ramach polityki historycznej, od Muzeum Powstania Warszawskiego, przez Muzeum Historii Polski, po Instytut Pileckiego – by przypomnieć tylko te instytucje, których rozmach i pożyteczność jest powszechnie uznana przez wszystkich, od prawa do lewa.

Pod wrażeniem i presją prawicowej skuteczności na tym ważnym polu w pierwszej kadencji Donald Tusk zdecydował się na wielką inwestycję, czyli Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Rzeczywiście, udało się stworzyć obiekt imponujący, ale oddał kierownictwo placówki w ręce grupy historyków, dla których priorytetem było to, jak zostaną ocenieni przez własne środowisko zawodowe. Przede wszystkim w skali międzynarodowej, więc jak ognia unikali jakichkolwiek akcentów świadczących o polskim charakterze tej placówki. Efekt był taki, że przesłanie Muzeum oburzyło tych Polaków, którzy są mocno przywiązani do tradycji narodowej i jednocześnie nie przywiązało do siebie tych, którzy popierają ideę „europeizacji" polskiej pamięci. Bo okazało się, że Polacy o poglądach liberalnych, owszem, deklarowali sympatię wobec tego kierunku, ale była to dla nich sprawa nieważna, więc skończyło się tylko na słownych przejawach poparcia.

> Przeciętny zwolennik prawicy wyraża ugruntowane przekonanie: Tusk nie czuje się polskim patriotą i nie lubi naszej tradycji. Zwolennicy tej tezy chętnie przywołują jego artykuł „Polak rozłamany", opublikowany w 1987 r. w miesięczniku „Znak". „Polskość to nienormalność – takie skojarzenie narzuca mi się z bolesną uporczywością, kiedy tylko dotykam tego niechcianego tematu"

Przy tym ludzi zajmujących się historią u boku Tuska nie cechował jakiś widoczny zapał. Po 2015 r. Muzeum przeszło pod zarząd prawicy, a dyrektorem został młody historyk z gdańskiego IPN, Karol Nawrocki. Okazało się, że jemu się chce. O Muzeum było głośno i wiele się tam działo. Po 2023 r. wróciła stara ekipa i można odnieść wrażenie, że placówka znów zapadła w sen zimowy, co zresztą doskonale koresponduje z ogólnym stosunkiem Donalda Tuska do tej tematyki.

Są to typowe wzmożenia *ad hoc* z doraźną intencją polityczną. Zgodnie z tym, skąd aktualnie wieje wiatr. W życiu Tuska były różne epizody, gdy zależnie od swych bieżących manewrów politycznych wygłaszał kompletnie sprzeczne poglądy. Gdy był w Unii Demokratycznej, zaznaczał swoją obecność, odcinając się od poglądów jej liderów. I tak zdarzyło mu się chwalić gen. Franco, doprowadzając do spazmów polityczki UD starszego pokolenia. Podobny manewr zastosował w 2001 r., wówczas na kontrze do Aleksandra Kwaśniewskiego. Wtedy był prawicowcem i odcinał się od głoszonej tezy, że cała Polska powinna przepraszać za Jedwabne.

Teraz mądrość etapu jest inna. Donald Tusk pozostaje członkiem europejskiego establishmentu, więc jego obecna interpretacja zbrodni w Jedwabnem jest już bardziej kompatybilna z dawnym przekazem prezydenta Kwaśniewskiego. Przykład tego stanowi m.in. współudział w kreowaniu nowego autorytetu „strony demokratycznej", czyli Mariana Turskiego: „Powiedział: »Nie bądźcie obojętni«. Kierował te słowa do swojej córki i swoich wnuków. Do moich dzieci i wnuków też" – zachwycał się nim w rozmowie z Anne Applebaum. Dołączył więc do piewców człowieka, którego jedyną zasługą było to, na co nie miał wpływu: że jako Żyd był ofiarą nazistowskich Niemiec. Cała, dużo dłuższa część jego życiorysu to natomiast historia komunistycznego cenzora, obojętnego na walkę Polaków o wolność i demokrację funkcjonariusza reżimu komunistycznego.

Tuskowi nie przeszkadzają te sprzeczności. Wiele bowiem wskazuje na to, że historia mało go obchodzi. Woli siedzieć odizolowany w rządowej willi przy ul. Parkowej i leniwie przeglądać albumy z malarstwem. Od kilku lat to jego główna pasja. Niewątpliwie miła, ale odległa od potrzeb, zainteresowań i wrażliwości Polaków.

eprasa.pl c25b34d838

W ostatnim dniu lipca odbył się tzw. grill u Morawieckiego. Spotkanie stowarzyszenia Rozwój Plus i jego sympatyków

Fot. Rozwoj Plus/x.com

Trzecia droga Morawieckiego

Panuje powszechne już przekonanie, że o tym, kto będzie rządził po wyborach w 2027 r., zdecyduje nowa „trzecia droga”

STANISŁAW JANECKI

Trzecia Droga była kluczem do stworzenia większościowej koalicji po wyborach parlamentarnych 15 października 2026 r. Po ogłoszeniu wyników w ten sposób nadinterpretowano jej utworzenie. W sierpniu 2026 r. – już bez nadinterpretacji – powtórzenie roli tamtej Trzeciej Drogi stanowi jasno wyłożony cel Stowarzyszenia Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego, które do 15 października 2026 r. ma się przekształcić w partię polityczną (wtedy odbędzie się jej pierwsza konwencja). Były premier poinformował o tym 3 sierpnia 2026 r. w programie „Rymanowski Live”.

Mateusz Morawiecki powiedział wtedy: „Gdzie chcemy pozyskiwać wyborców? Ano właśnie tam, gdzie później ci wyborcy zostali zaparkowani, znaleźli się w Trzeciej Drodze. Bo uwierzyli Szymonowi Hołowni, że teraz naprawdę będzie trzecia droga. Tymczasem Szymon Hołownia żyrował rządy Tuska na niszczenie demokracji, konstytucji. Ale wyborcy PSL, wyborcy Trzeciej Drogi, dzisiejsza Polska 2050, również jeden z posłów Unii Centrum są bardzo krytyczni wobec tych działań antyrozwojowych Donalda Tuska. Ja wchodzę w miejsce tej »trzeciej drogi« z całą moją ofertą do przedsiębiorców, samorządowców”.

Morawiecki wyraźnie chce zająć miejsce historycznej Trzeciej Drogi, przejąć jak najwięcej jej wyborców, a nawet pozyskać tych, których w 2023 r. inicjatywa Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni nie zdołała przekonać albo po drodze od niej odeszli. Oczywiście nowa partia Morawieckiego nie będzie

eprasa.pl c25b34d838

używać nazwy „trzecia droga", bo ta się wypaliła, ale sama idea wciąż jest aktualna, i to nie tylko w politycznym planie byłego premiera.

Pomysłów na odegranie roli „trzeciej drogi" jest co najmniej kilka, praktycznie we wszystkich liczących się ugrupowaniach. Za tą ideą najmocniej przemawiają liczby. W 2023 r. to Trzecia Droga (65 mandatów) uratowała Tuska, choć jego ugrupowanie uzyskało znacząco więcej mandatów (157). I to dało Trzeciej Drodze silny mandat negocjacyjny w układaniu nowego rządu, chociaż bez wpływu na jego szefa (w 2027 r. i w związku z nową „trzecią drogą" miałoby się to zmienić).

W wyborach w 2019 r. Polskie Stronnictwo Ludowe (4 lata później część Trzeciej Drogi) uzyskało 8,55 proc. głosów (1 378 523) i 30 mandatów. W 2023 r. samodzielny potencjał PSL wcale nie był większy – wręcz przeciwnie – więc 14,4 proc. poparcia (3 110 670 głosów) dla Trzeciej Drogi i 65 mandatów oznaczało, że ten nowy projekt był wartością dodaną.

W przypadku „trzeciej drogi" Mateusza Morawieckiego warunek połączenia starego z nowym (jak PSL z Polską 2050 cztery lata wcześniej) nie musiałby zostać spełniony, gdyż to ugrupowanie chce być jednocześnie i stare, i nowe, a przez to pragnie odgrywać rolę ofiary Prawa i Sprawiedliwości. „Stare" ma być anulowanie z jego hipoteki, gdy było jeszcze częścią PiS. To właśnie ta ucieczka od „starego" wywołała ostry spór z Jarosławem Kaczyńskim, padły nawet zarzuty o „zdradę". Z kolei to, co „nowe", jest przedstawiane jako liczenie na przyciągnięcie albo dotychczas niegłosujących, albo rozczarowanych obecnymi podziałami wyborców. Prezes Kaczyński uważa, że może chodzić o zdolność do aliansu z Tuskiem.

UNIWERSALNA OBROTOWOŚĆ

Zanim Mateusz Morawiecki przedstawił swoją koncepcję „trzeciej drogi", a kurczył się czas pozostający do wyborów jesienią 2027 r., coraz więcej ugrupowań przymierzało się albo do samodzielnego odegrania roli Trzeciej Drogi z wyborów 15 października 2023 r., albo podłączenia się pod „trzecią drogę" stworzoną przez inne siły polityczne. Efektem ma być taka hybryda (koalicja) jak Trzecia Droga, którą tworzyły Polska 2050 i Polskie Stronnictwo Ludowe, mimo że rozpadła się ona w czerwcu 2025 r., po zaledwie 17 miesiącach współrządzenia Polską.

Nowa „trzecia droga" miałaby być przede wszystkim uniwersalnie koalicyjna (obrotowa), choć promotorzy takich planów zarówno po stronie koalicji rządzącej, jak i opozycji najchętniej widzieliby ją jako swój klon. W każdej politycznej rozmowie, która łamała schemat „my–oni" (np. tej prowadzonej na początku lipca 2025 r. w mieszkaniu eurodeputowanego Adama Bielana z udziałem Jarosława Kaczyńskiego, Szymona Hołowni i Michała Kamińskiego), także chodziło o tworzenie nowej „trzeciej drogi".

Po faktycznym rozpadzie Prawa i Sprawiedliwości pod koniec lipca 2026 r. zarówno niektórzy maślarze (czyli ci, którzy pozostali w PiS), jak i część polityków Rozwoju Plus Mateusza Morawieckiego (harcerze) już zaczęli ustawiać w roli nowej „trzeciej drogi" to, co ma stać się partią po tym, jak stowarzyszenie byłego premiera okrzepnie organizacyjnie. Przed rozpoczęciem kampanii wyborczej w 2027 r. „partia Morawieckiego" miałaby się wzmocnić na tyle, by zajmować przynajmniej taką pozycję, jaką miała Polska 2050, gdy w 2023 r. zawierała układ z PSL. W 2027 r. w grę wchodziłoby także przeciągnięcie ludowców przez Rozwój Plus i to byłby jeden z możliwych wariantów nowej „trzeciej drogi" – gotowej do stworzenia koalicji, ale nie z KO, tylko z PiS, lecz Jarosław Kaczyński uważa, że może być odwrotnie. Do tego dochodzi ewentualne porozumienie z Ruchem Narodowym Krzysztofa Bosaka, z Polską 2050 Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, z tym, co pozostało po wcześniejszych inicjatywach Pawła Kukiza, a także z „sierotami" po tych projektach, które skupiały się na szeroko rozumianej modernizacji Polski.

Mateusz Morawiecki często eksponuje jako spoiwo elementy „modernizacyjne". Były one spoiwem również dla – początkowo wyglądającego na egzotyczne – stowarzyszenia Tak dla Rozwoju Pauliny Matysiak i Marcina Horały, które utworzyło w Sejmie Parlamentarny Zespół „Tak dla rozwoju. CPK – Atom – Porty", zrzeszający obecnie ok. 35 parlamentarzystów z różnych opcji.

TUSK Z MENTZENEM?

W koncepcji Donalda Tuska rolę „trzeciej drogi" miałaby odegrać przede wszystkim Nowa Nadzieja Sławomira Mentzena, ewentualnie w sojuszu z Polskim Stronnictwem Ludowym. Tusk od ponad dwóch lat osobiście i przez różnych umyślnych próbuje sondować Mentzena w sprawie przyszłej koalicji. Podsuwał mu raport prof. Przemysława Sadury z UW i Sławomira Sierakowskiego z „Krytyki Politycznej", bazujący na „sondażu postwyborczym przeprowadzonym po zwycięstwie Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich 2025". Z tego sondażu wynikało, że 63 proc. zwolenników Koalicji Obywatelskiej było gotowych poprzeć sojusz z Konfederacją, choć spośród wyborców tego ostatniego ugrupowania tylko 17 proc. poparłoby sojusz z KO. Ale to może się zmienić, tym bardziej gdyby w badaniach nie pytano o koalicję z Konfederacją, tylko z Nową Nadzieją.

Trzeba pamiętać, że 26 marca 2020 r. poseł Platformy Obywatelskiej Sławomir Nitras mówił na sali sejmowej: „Kiedy będziemy rządzili z Konfederacją, to my będziemy rządzili, a Konfederacja zajmie się wami". „Wy" to była Lewica, głosująca niezgodnie z oczekiwaniami PO. Gdy słowa Nitrasa ujawniła posłanka Lewicy Anna Maria Żukowska, polityk PO oskarżył ją o „obrzydliwe kłamstwo". Tyle że jego wypowiedź została nagrana przez sejmowe urządzenia rejestrujące obrady i każdy mógł się przekonać, że to Nitras kłamie. Lider Lewicy Razem Adrian Zandberg stwierdził: „I po co kłamać, Sławomir Nitras? Skoro pasuje wam rząd ze skrajną prawicą – a to przecież nie pierwszy raz, jak to pada – to powiedzcie to otwarcie wyborcom. Ciekawe, jak im się spodoba projekt Konfederacja Obywatelska". W 2020 r. nie wolno było głośno mówić o ewentualnej koalicji PO z Konfederacją, choć w obu ugrupowaniach całkiem serio to rozważano.

eprasa.pl c25b34d838

W sierpniu 2026 r. nie mówi się już o Konfederacji, tylko o Nowej Nadziei i zostało to opakowane znacznie bardziej „estetycznie" niż sześć lat wcześniej. Nieprzypadkowo wiele hałasu wywołał pierwszy punkt Deklaracji Polskiej Jarosława Kaczyńskiego, skierowany wprost do Konfederacji: „Sprzeciw wobec koalicji z siłami Donalda Tuska: Wykluczenie możliwości tworzenia koalicji z udziałem sił politycznych Donalda Tuska i jego współpracowników. Zapowiedź pociągnięcia Tuska i jego współpracowników do odpowiedzialności karnej i cywilnej za ich działania". Sławomir Mentzen zareagował na to bardzo nerwowo i uznał za ustawianie Konfederacji w roli przystawki do skonsumowania, odbierające jej wszelkie pole manewru. Ale lider Nowej Nadziei nigdy otwarcie nie wykluczył współpracy z Tuskiem. W 2027 r. jego Nowa Nadzieja z różnymi sierotami po Konfederacji i ewentualnie razem z PSL mogłaby odegrać rolę nowej „trzeciej drogi". Czy stworzonej pod przymierze z Donaldem Tuskiem?

OPCJA DLA KAŻDEGO

W sierpniu 2025 r. ówczesny marszałek Sejmu Szymon Hołownia swoimi decyzjami o organizacji zaprzysiężenia Karola Nawrockiego na prezydenta oderwał się od Tuska, a nawet się z nim skonfliktował. Już wtedy powstał pomysł stworzenia przez Hołownię kolejnej „trzeciej drogi". Potem Hołownia został wypchnięty z własnej partii i znalazł się na politycznej mieliźnie. Ochłonął dopiero latem 2026 r. i wtedy wrócił pomysł nowej „trzeciej drogi". Składałaby się z części obecnej Polski 2050, niewielkiej części PSL, części Konfederacji, większości Partii Razem, a także z części polityków, w różnych okresach należących do PiS oraz PO. Byliby w niej także ludzie w różnych okresach popierający Pawła Kukiza, należący do Nowoczesnej w czasach, gdy przewodził jej Ryszard Petru. Znalazłyby się w niej również osoby wspierające w kampanii prezydenckiej Artura Bartoszewicza, Marka Wocha (on sam zawarł porozumienie z PiS) czy Krzysztofa Stanowskiego. Nowa „trzecia droga" wchłonęłaby także różnych rozbitków, którzy zostali wypchnięci z PO czy Nowoczesnej i są surowymi krytykami rządów Donalda Tuska, jak Jacek Protasiewicz. Ten wariant „trzeciej drogi" koliduje z pomysłami Mateusza Morawieckiego, choć nie jest wykluczone, że doszłoby do ich połączenia czy jakiejś formy współpracy.

Rolę nowej „trzeciej drogi" chce odegrać również partia Nowa Polska, której utworzenie ogłosił 16 września 2025 r. senator Wadim Tyszkiewicz (były prezydent Nowej Soli). Twarzami tej formacji są m.in. senator Zygmunt Frankiewicz (przez 26 lat prezydent Gliwic), senator Andrzej Dziuba (przez 23 lata prezydent Tychów), prezydent Szczecina Piotr Krzystek, prezydent Opola Arkadiusz Wiśniewski, burmistrz Cieszyna Gabriela Staszkiewicz, burmistrz Hrubieszowa Marta Majewska, wójt Tarnowa Podgórnego Tadeusz Czajka. I mimo że Nowa Polska ogłosiła, iż chce „stanowić alternatywę dla PiS i jego przystawek oraz dla PO i jej przystawek", to prawie na pewno zaoferuje swoje usługi Donaldowi Tuskowi.

> Nowa „trzecia droga" miałaby być przede wszystkim uniwersalnie koalicyjna (obrotowa), choć promotorzy takich planów zarówno po stronie koalicji rządzącej, jak i opozycji najchętniej widzieliby ją jako swój klon

Nową „trzecią drogę", czyli partię Nowa Fala, stworzyła też weteranka lewicy Joanna Senyszyn. „Potrzebna jest nowa siła, by powstrzymać Prawo i Sprawiedliwość w jego pędzie do odzyskania władzy. Po wynikach prezydenckich widać, że nie dokona tego Platforma Obywatelska czy szerzej, rządząca koalicja" – stwierdziła prof. Senyszyn w rozmowie z „Rzeczpospolitą". W ten projekt zaangażowali się m.in. Robert Kwiatkowski, były prezes TVP, były poseł, a obecnie członek Rady Mediów Narodowych, Marek Balt, były poseł i europoseł SLD, oraz Piotr Bakun, który w czasie kampanii prezydenckiej był pełnomocnikiem wyborczym Senyszyn. Jest raczej przesądzone, że Nowa Fala szukałaby porozumienia z partią Donalda Tuska.

WEJŚCIE SMOKA

Utworzeniem nowej „trzeciej drogi" jest zainteresowane również Polskie Stronnictwo Ludowe Władysława Kosiniaka-Kamysza. Zwolennicy takiego projektu liczyli na współpracę z „liberalną" częścią Konfederacji (otwarcie mówił o tym wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski) oraz tą częścią polityków Koalicji Obywatelskiej, którzy nie są zadowoleni z „lewicowego odchylenia" Donalda Tuska. Gdy już powstanie „partia Morawieckiego", mogłaby zastąpić Konfederację w projekcie PSL lub go poszerzyć. Trzeba tylko pamiętać, że ludowcy nigdy nie współrządzili z prawicą.

Choć do wyborów parlamentarnych jest jeszcze ponad rok, już mamy sześć pomysłów na nową „trzecią drogę", czyli takie ugrupowanie, które miałoby zdecydować, kto będzie rządził po wyborach w 2027 r. Jest też prawdopodobne, że aby stworzyć koalicję rządzącą, potrzebna będzie nie jedna „trzecia droga", tylko dwie, a może nawet trzy. Na razie mamy przegląd wojsk i liczenie szabel oraz chęć jak najmocniejszego wejścia na polityczną scenę w roli nowej „trzeciej drogi".

Takie „wejście smoka" planuje przede wszystkim Mateusz Morawiecki. O ile we własnym obozie nie ma on żadnych problemów z akceptacją swego przywództwa, o tyle miałby je, gdyby jego mutacja rozpychała się na scenie politycznej i próbowała zmajoryzować innych kandydatów do odegrania roli nowej „trzeciej drogi". Ale zasadnicza rozgrywka dopiero przed nami.

eprasa.pl c25b34d838

Polska pomiędzy poglądami a emocjami

Polaryzacja stała się jednym z najczęściej powtarzanych słów opisujących współczesną Polskę. W debacie publicznej często pojawia się przekonanie, że żyjemy w kraju dwóch zwaśnionych obozów, którym coraz trudniej znaleźć wspólny język. Wyniki raportu „Stan polaryzacji 2026" pokazują jednak bardziej złożony obraz. Polska rzeczywiście doświadcza silnych napięć politycznych i emocjonalnych, ale skala rzeczywistych różnic między obywatelami często jest mniejsza, niż sugeruje codzienna debata

DOROTA ŁOSIEWICZ

Od lat słyszymy tę samą opowieść. Polska jest pęknięta na pół. Istnieją dwie Polski, dwa narody, dwa plemiona, które nie tylko nie potrafią się porozumieć, ale wręcz mówią innymi językami. W polityce nie ma już przeciwników – są wyłącznie wrogowie. Taki obraz Polski jest wygodny. Dla polityków, bo pozwala mobilizować elektorat strachem przed przeciwnikiem. Dla mediów, bo konflikt zawsze sprzedaje się lepiej niż zgoda. A dla nas samych? Bywa wygodnym usprawiedliwieniem. Skoro „oni" są nie do przekonania, to po co w ogóle próbować rozmawiać? Problem polega na tym, że ten obraz coraz mniej przypomina rzeczywistość.

Najnowszy raport „Stan polaryzacji 2026", przygotowany przez Fundację Nowej Wspólnoty i Uniwersytet SWPS, jest czymś, czego w polskiej debacie publicznej od dawna brakowało. Zamiast powtarzać, że jesteśmy dramatycznie podzieleni, autorzy postanowili to po prostu zmierzyć. Nie pytali o polityczne emocje wywołane ostatnim skandalem ani o sympatie wobec liderów partyjnych. Zbadali trzy różne zjawiska: rzeczywiste różnice poglądów, emocjonalny stosunek do osób myślących inaczej oraz to, jak bardzo sami uważamy Polskę za kraj podzielony. W badaniu uczestniczyło 2040 reprezentatywnie dobranych respondentów. Wynik?

Zaskakujący. Okazuje się, że największym problemem Polski nie jest to, że mamy radykalnie odmienne poglądy. Największym problemem jest to, że jesteśmy przekonani, iż takie poglądy mamy. To subtelna różnica, ale jej konsekwencje są ogromne.

MIT DWÓCH POLSK

Raport pokazuje coś, co powinno się stać obowiązkową lekturą dla każdego polityka rozpoczynającego kampanię wyborczą. Polaryzacja ideologiczna, czyli faktyczne różnice poglądów, jest w Polsce umiarkowana. Nie wysoka. Nie dramatyczna. Nie katastrofalna. Po prostu umiarkowana.

Autorzy zbadali 13 najważniejszych kwestii społecznych i politycznych. Od ochrony zdrowia, przez koszty życia, bezpieczeństwo, niezależność sądów,

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c25b34d838

ochronę granicy, aż po aborcję i relacje z Ukraińcami. W żadnym z tych tematów nie pojawił się poziom, który można by było określić jako silną polaryzację ideologiczną. Nawet najbardziej zapalna kwestia – aborcja – osiągnęła jedynie najwyższy poziom umiarkowanej polaryzacji. Jeszcze ciekawsze jest to, że najmniej dzielącymi tematami okazały się niezależność sądów oraz zdrowie psychiczne uczniów. To nie jest drobny szczegół metodologiczny – to wiadomość, która podważa narrację budowaną od wielu lat.

Bo jeśli przez osiem lat jedni słyszeli, że druga strona chce zniszczyć demokrację, a drudzy, że przeciwnicy chcą zniszczyć Polskę, to należałoby oczekiwać niemal całkowitego rozjazdu poglądów. Tymczasem raport pokazuje coś odwrotnego. W większości spraw Polacy lokują się raczej pośrodku skali niż na jej krańcach. Nie oznacza to oczywiście, że wszyscy myślimy tak samo. Demokracja bez sporów byłaby martwa. Ale różnica między sporem a wojną jest zasadnicza. Spór zakłada możliwość przekonania drugiej strony, wojna – konieczność jej pokonania.

O CZYM NAPRAWDĘ MYŚLĄ POLACY?

Jeszcze bardziej zaskakujące okazują się odpowiedzi na pytanie, co dziś jest najważniejsze dla obywateli. Można się było spodziewać, że wyborcy Koalicji Obywatelskiej oraz Prawa i Sprawiedliwości żyją w dwóch różnych rzeczywistościach. Jedni martwią się praworządnością, drudzy migracją. Jedni klimatem, drudzy podatkami. Nic bardziej mylnego.

Najważniejszym problemem dla wszystkich pozostaje dostęp do lekarzy i szpitali. Zaraz za nim znalazły się koszty życia, wysokość wynagrodzeń oraz zagrożenie ze strony Rosji. Różnice między elektoratami oczywiście istnieją – wyborcy PiS częściej wskazują kwestie materialne, sympatycy KO nieco większą wagę przywiązują natomiast do zagrożenia ze strony Rosji. Jednak lista priorytetów pozostaje zaskakująco podobna. To niezwykle ważna obserwacja. Bo polityka od dawna sprawia wrażenie, jakby Polacy codziennie budzili się z myślą o sporze dotyczącym Trybunału Konstytucyjnego, aborcji czy granic wolności słowa. Tymczasem większość obywateli nadal najbardziej przejmuje się tym, czy uda się dostać do lekarza, czy wystarczy pieniędzy do pierwszego i czy Polska będzie bezpieczna.

NIE ZGADZAMY SIĘ MNIEJ, NIŻ NAM SIĘ WYDAJE

Najciekawszy fragment raportu nie dotyczy jednak żadnej konkretnej kwestii. Dotyczy naszego wyobrażenia o Polsce. Aż 69 proc. badanych uważa, że żyjemy w kraju głęboko podzielonym. Tymczasem rzeczywisty pomiar różnic światopoglądowych wskazuje na umiarkowaną polaryzację. Innymi słowy – wyobrażamy sobie Polskę znacznie bardziej skłóconą, niż pokazują to odpowiedzi na konkretne pytania.

Sami autorzy sugerują, że źródłem tej rozbieżności może być silnie polaryzujący dyskurs polityków i mediów. To chyba najbardziej gorzka konstatacja całego raportu. Bo jeśli codziennie słyszymy, że żyjemy w kraju nienawiści, wcześniej czy później zaczynamy się zachowywać tak, jakby rzeczywiście tak było. I właśnie w tym miejscu w badaniu następuje niezwykle ciekawy zwrot. Bo kiedy przestajemy pytać o poglądy, a zaczynamy pytać o ludzi, obraz Polski zmienia się niemal nie do poznania.

NIE NIENAWIDZIMY POGLĄDÓW, NIENAWIDZIMY LUDZI

Właśnie tutaj raport SWPS staje się naprawdę fascynującą lekturą. Bo gdy autorzy przestają pytać respondentów o konkretne sprawy – ochronę zdrowia, sądy czy aborcję – a zaczynają pytać o ludzi o odmiennych poglądach, wyniki zmieniają się niemal o 180 stopni. Okazuje się, że aż 60 proc. badanych deklaruje negatywne emocje wobec osób reprezentujących przeciwne poglądy polityczne, a 22 proc. przyznaje się do silnej niechęci.

Jeszcze bardziej wymowne są odpowiedzi dotyczące cech przypisywanych politycznym oponentom. „Tamci" są postrzegani jako mniej uczciwi, mniej inteligentni, bardziej egoistyczni i mniej godni zaufania. Nie chodzi już o różnicę zdań. Chodzi o ocenę człowieka. Demokracja bazuje na założeniu, że mój przeciwnik może się mylić. Polaryzacja afektywna zaczyna się wtedy, gdy uznaję, że mój przeciwnik jest gorszym człowiekiem. To pozornie niewielka różnica. Ale właśnie z niej rodzą się wszystkie największe kryzysy demokracji. Bo z człowiekiem, który ma inne zdanie, można dyskutować. Z człowiekiem uznanym za głupiego, złego albo moralnie podejrzanego – już nie.

POLITYKA EMOCJI

Raport bardzo ostrożnie wskazuje, że za ten stan rzeczy odpowiada m.in. język debaty publicznej. Trudno się z tym nie zgodzić. Przez ostatnie kilkanaście lat polska polityka przestała być konkurencją programów. Stała się konkurencją emocji. Każda kampania wyborcza wygląda podobnie. Nie chodzi już o to, kto lepiej naprawi ochronę zdrowia, usprawni sądy czy poprawi system podatkowy. Chodzi o przekonanie wyborców, że zwycięstwo przeciwnika będzie oznaczało katastrofę. Jeżeli wygrają „oni", skończy się demokracja. Jeżeli wygrają „tamci", skończy się Polska. Jeżeli nie zatrzymamy przeciwnika, zagrożone będą nasze dzieci, nasza wolność, nasza przyszłość. To język mobilizacji wojennej. I trudno się dziwić, że po latach słuchania takich komunikatów zaczynamy patrzeć na współobywateli jak na reprezentantów obcego plemienia.

Co więcej, polityka otrzymała dziś potężnego sprzymierzeńca – media społecznościowe. Algorytm nie nagradza przecież zgody. Nie promuje spokojnej rozmowy ani wyważonych argumentów. Promuje gniew. Promuje oburzenie. Promuje konflikt. Im większe emocje wywołuje wpis, tym ma większy zasięg. W efekcie przeciętny użytkownik internetu codziennie utwierdza się w przekonaniu, że druga strona oszalała. A przecież – jak pokazuje raport – w rzeczywistości bardzo często chce dokładnie tego samego co my: lepszej ochrony zdrowia, większego bezpieczeństwa, wyższych zarobków czy sprawniejszego państwa.

WOJNA, KTÓRA ŻYWI SAMĄ SIEBIE

Polska od 30 lat nie przeżywa kryzysu ustrojowego porównywalnego z tymi, które znamy z historii Europy. Nie to-

01/0826/F

eprasa.pl c25b34d838

czy wojny domowej. Nie doświadcza przemocy politycznej na masową skalę. A mimo to język naszej debaty publicznej coraz częściej przypomina relacje z frontu. Zdrada. Okupacja. Reżim. Dyktatura. Zdrajcy. Patrioci. To słowa, które padają z zadziwiającą łatwością. Jakby każdy kolejny spór parlamentarny był kolejnym rozdziałem narodowego powstania.

Raport SWPS nie mówi tego wprost, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że największym twórcą polaryzacji wcale nie są obywatele. Są nim ci, którzy z polaryzacji czerpią korzyści – polityczne, medialne albo biznesowe. Bo zgoda jest nudna. Kompromis nie generuje kliknięć. Porozumienie nie mobilizuje elektoratu. Konflikt natomiast sprzedaje się znakomicie. I właśnie dlatego tak trudno z niego zrezygnować.

> Nie żyjemy w kraju dwóch nieprzystających do siebie narodów. Żyjemy w kraju, którego mieszkańców przez lata przekonywano, iż są zagrożeniem dla siebie nawzajem. To zasadnicza różnica

PORA ODCZAROWAĆ MIT DWÓCH POLSK

Raport „Stan polaryzacji 2026" nie jest naiwnym apelem o narodową zgodę. Autorzy nie twierdzą, że różnic nie ma. One istnieją. Dotyczą wartości, światopoglądu, oceny przeszłości i wizji państwa. Ale pokazują również coś, o czym polska polityka zdaje się zapominać. Spór nie musi oznaczać wrogości. Można uważać, że ktoś się myli, nie uznając go za gorszego człowieka. Można głosować na inną partię i nadal być częścią tej samej wspólnoty. Można przegrać wybory, nie uznając, że przegrała Polska. Być może właśnie dlatego najważniejszym zdaniem całego raportu nie jest żadna tabela ani żaden wykres. Najważniejszy jest wniosek, który wyłania się z całości badań.

Nie żyjemy w kraju dwóch nieprzystających do siebie narodów. Żyjemy w kraju, którego mieszkańców przez lata przekonywano, iż są zagrożeniem dla siebie nawzajem. To zasadnicza różnica. Bo jeśli problem stanowią przede wszystkim emocje, a nie poglądy, to znaczy, że nie potrzebujemy rewolucji. Potrzebujemy zmiany języka. Mniej polityki prowadzonej na adrenalinie. Więcej rozmowy prowadzonej na argumenty. Brzmi idealistycznie? Być może. Ale raport SWPS daje przynajmniej jeden powód do umiarkowanego optymizmu. Skoro większość Polaków nie stoi na przeciwległych krańcach ideologicznej barykady, to mosty między nimi wciąż istnieją. Trzeba tylko przestać udawać, że zostały spalone.

REKLAMA

100 LAT Z WAMI I DLA WAS

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

NIEDZIELA WIARY GODNA

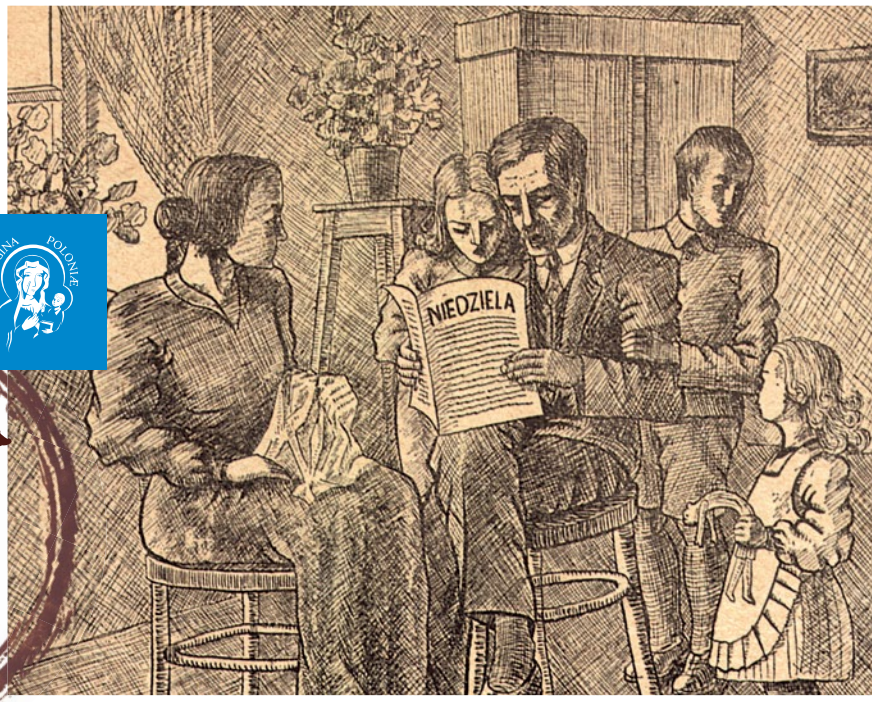

www.niedziela.pl

eprasa.pl c25b34d838

Cham na Mazurach

Elitarność, wyjątkowość, posmak bohemy zostały najpierw zdeptane przez pospólstwo, a teraz dzieła zniszczenia dopełniają bogaci barbarzyńcy, przekonani, że wszystko – łącznie z tytułami szlacheckimi – można kupić. Pisząc o Mazurach, „Wyborcza" tak naprawdę boleje nad zanikającą potęgą elit, które kiedyś stawiały wszystkich do pionu

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Gazeta Wyborcza" jest już cieniem swojej dawnej potęgi. Wprawdzie co jakiś czas z redakcyjnych czeluści wychodzi Roman Imielski lub jakiś inny Wojciech Czuchnowski i z wielkim patosem oświadcza, że w kolejnym numerze ukaże się „bomba", która wysadzi w powietrze całą polską scenę polityczną. „Tym razem to będzie prawdziwa bomba" – zapewnia.

W ostatnich latach takich „bomb" było kilkanaście, jeśli nie więcej, a jedyny wybuch, jaki spowodowały, był co najwyżej wybuchem śmiechu. Nie oznacza to jednak, że „Wyborcza" nie odgrywa już żadnej roli w debacie publicznej. Gazeta wciąż jest widoczna, ale na innych zasadach niż kiedyś. Po prostu redaktorzy z Czerskiej nie mają już takiej władzy, by decydować, które teksty powinny budzić emocje czytelników. Dlatego aby zwrócić na siebie uwagę opinii publicznej, często muszą uciekać się do prowokacji – zaczepnych tytułów lub niedorzecznych tez zawartych w artykułach. Tak chyba było w przypadku reportażu z mazurskich jezior, opublikowanego w „Wyborczej" ostatniego dnia lipca.

NOSTALGIA ZA DAWNĄ POTĘGĄ

„Kiedyś pływali tacy ludzie jak Osiecka, dziś każdy cham może za 200 zeta wynająć jacht" – pod takim tytułem sprzedano tekst, który opisywał zmierzch dawnego żeglarstwa na Mazurach. Nic więc dziwnego, że publikacja wzbudziła setki komentarzy w internecie, w większości bardzo nieprzychylnych. Oczywiście recenzowano sam tytuł, bo mało komu chciało się tracić czas i pieniądze na lekturę całości artykułu, zamieszczonego w płatnym dostępie. Tekst był zresztą znacznie mniej buń-

eprasa.pl c25b34d838

czuczny niż tytuł, choć w pewnym sensie mógł stanowić niezłą ilustrację zjawiska opisanego przed chwilą, tzn. do utraty znaczenia przez „Wyborczą".

W artykule czytamy bowiem o nostalgii za dawnymi, prawdopodobnie już bezpowrotnie utraconymi czasami, gdy pod mazurskie żagle przyjeżdżali ludzie pasji, z zasadami, z etosem, dla których pływanie – często w bardzo prymitywnych warunkach – miało głęboki sens. Dziś natomiast przybywają tu tłumy nuworyszy, dla których liczy się wyłącznie kasa, wygoda i robienie dobrego wrażenia wśród znajomych. Jak czytamy, ludzie ci nie uprawiają żeglarstwa, lecz jachting. Czarterują bogato wyposażone jachty i po prostu wylegują się na pokładzie, chlejąc piwo, zamiast – jak ich inteligenccy poprzednicy z dawnych lat – uczyć się nowych umiejętności i delektować dzikim otoczeniem.

Te utyskiwania nieco przypominają dawne narzekania na tłuszczę, która za pieniądze z 500+ niszczyła spokój uprawiającej jogę Paulinie Młynarskiej, wypełniając bałtyckie plaże trudnym do zniesienia harmidrem. Tym razem uderzenie nie idzie w pospólstwo, bo przecież nikogo z klasy ludowej nie stać na jachting i zwykłym ludziom takie pomysły nie chodzą nawet po głowie. Celem stał się inny „cham" – ten bogaty, który dopiero co wyszedł z czworaków, dorobił się w pierwszym pokoleniu sporych pieniędzy, a teraz próbuje nabrać ogłady, nieudolnie naśladując pasje dawnych inteligentów i masowo najeżdżając dzikie jeziora, po których romantycznie pływała kiedyś Osiecka. To już niemal bluźnierstwo.

W tej nostalgii za dawnymi, dobrymi czasami, gdy cham znał swoje miejsce w szeregu i nie wchodził w paradę Osieckiej i jej wysoko postawionym przyjaciołom, kryje się właśnie dzisiejsza bezradność „Wyborczej" oraz jej środowiska. Elitarność, wyjątkowość, posmak bohemy zostały najpierw zdeptane przez pospólstwo, a teraz dzieła zniszczenia dopełniają bogaci barbarzyńcy, przekonani, że wszystko – łącznie z tytułami szlacheckimi – można dziś kupić za odpowiednio duże pieniądze. Pisząc o Mazurach, „GW" tak naprawdę boleje nad zanikającą potęgą elit, które kiedyś stawiały wszystkich do pionu.

KONFLIKTY KLASOWE

W artykule „Wyborczej" pojawia się pytanie, czy problem „zawłaszczenia" mazurskich jezior przez bogatą tłuszczę ma charakter konfliktu klasowego. Oczywiście tak, ale najpierw należy ustalić, o jakich właściwie klasach mówimy.

W czasach komunizmu słyszeliśmy głównie o klasie robotniczej i wyzyskującej ją burżuazji, co było wycinkiem z marksistowskiej teorii klas. Dzisiaj znacznie częściej słyszymy o podziale na klasę wyższą, średnią i niższą, który – ogólnie rzecz ujmując – bazuje nie tylko na kryteriach ekonomicznych, lecz także kulturowych.

> W nostalgii za dawnymi, dobrymi czasami, gdy cham znał swoje miejsce w szeregu i nie wchodził w paradę Osieckiej, kryje się dzisiejsza bezradność „Wyborczej" i jej środowiska

Dla większości Polaków pojęcie klasy zostało skutecznie skompromitowane przez ideologię komunistyczną i z tego powodu najczęściej unika się go w powszechnej debacie. To ogromny błąd, ponieważ pozbawiając się precyzyjnego narzędzia opisu społeczeństwa, utrudniamy sobie zrozumienie naszych interesów i pozwalamy sobą manipulować. A nasze interesy najczęściej są klasowe.

Nikt przecież nie zaprzeczy, że dyrektor zagranicznej korporacji z wielkiego miasta żyje w zupełnie innym świecie niż biedaprzedsiębiorca z prowincjonalnej mieściny. Obaj mają zupełnie inne aspiracje i potrzeby życiowe, obracają się w odmiennych środowiskach, różnią się stanem konta, standardem życia i – w efekcie – dostępem do dóbr materialnych oraz niematerialnych. To samo dotyczy rolników, profesorów akademickich, aktorów, adwokatów czy sprzedawców w Żabce. Nikt o zdrowych zmysłach nie wrzuci tych ludzi do jednego worka, uznając, że różnice między nimi nie mają żadnego znaczenia.

Te różnice istnieją i są bardzo duże. Co więcej, z tych różnic wynikają zupełnie odmienne interesy poszczególnych klas, zwłaszcza że polskie społeczeństwo jest zróżnicowane i ciągle ulega dynamicznym zmianom. W kraju takim jak Polska, gdzie nigdy nie było wystarczająco dużego własnego kapitału ekonomicznego (choćby po to, aby uchronić gospodarkę przed wrogim przejęciem), znacznie większą rolę niż gdzie indziej odgrywa kapitał kulturowy i społeczny. Krótko mówiąc, o tym, czy jesteś chamem, czy też nie, decyduje nie tyle grubość twojego portfela, ile raczej wiedza, wykształcenie, pochodzenie oraz otoczenie, w którym wyrosłeś.

Podział klasowy w Polsce ma więc wymiar nie tylko ekonomiczny, lecz także w ogromnym stopniu kulturowy. Dobrze to widać na przykładzie inteligencji, która może niekiedy zarabiać głodowe stawki, ale w hierarchii społecznej zawsze stała wyżej niż plujący pieniędzmi prostak w wypasionym aucie.

Teraz jednak pojawiły się pierwsze oznaki zmian – pieniądze coraz częściej stają się u nas przepustką do awansu klasowego, przy czym niekoniecznie następuje on na drodze kooptacji. Nuworysze nie chcą czekać na rekomendacje starych elit, aby wejść do ich salonu – oni po prostu zaczynają tworzyć własny salon, równolegle istniejącą klasę wyższą.

Problem, o którym w dość egzaltowany sposób pisze „Wyborcza", dotyczy właśnie tego konfliktu – pomiędzy inteligencją rozumianą jako klasa o najwyższym statusie kulturowym a aspirującymi nuworyszami, którzy chcą ją zdetronizować, symbolicznie przejmując (a właściwie wykupując) jej przestrzeń.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c25b34d838

HODOWLA CHAMA

Największy paradoks polega na tym, że liberalna inteligencja, narzekająca dziś na wpychającego się do jej salonu bogatego chama, sama go wyhodowała. Niektórzy jeszcze dobrze pamiętają, jak w latach 90. środowiska skupione wokół Adama Michnika i „Wyborczej" prowadziły wielką kampanię przeciwko szeroko rozumianej klasie ludowej, która – ze względu na swoją zaściankowość i rzekome ciągoty faszystowskie – miała być zagrożeniem dla demokracji i neoliberalnych reform wprowadzanych przez Balcerowicza. Klasą ludową, będącą kilka lat wcześniej podporą Solidarności, symbolicznie poniewierano jako prymitywną, roszczeniową hołotą, która z powodu własnych ograniczeń nie potrafi się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

Liberalnej inteligencji udało się wygrać tamtą bitwę. Dysponując gigantyczną przewagą medialną i polityczną, zdołała ona wygenerować wśród sporej części klasy ludowej poczucie wstydu z powodu niskiego pochodzenia i wyznawanych dotąd wartości. Jedyną ucieczką przed pogardą był dla takich ludzi szybki awans. Wiązał się on jednak z całkowitym odcięciem się od własnej przeszłości. Tak powstało pierwsze pokolenie ludzi sukcesu w III RP – osławionych już „młodych, wykształconych z wielkich miast". W rzeczywistości często byli to ludzie zakompleksieni, wykorzenieni i poszukujący nowej tożsamości.

Tę nową tożsamość zyskiwali przez gorliwe naśladownictwo liberalnych elit. Mieli nadzieję, że przejmując ich zachowania, światopogląd i zwyczaje, szybko dołączą do stanu szlacheckiego. Oczywiście było to niemożliwe, bo na przeszkodzie stanął trudny do nadrobienia deficyt kapitału kulturowego i społecznego. Krótko mówiąc, mimo swoich starań w oczach starej inteligencji pozostawali chamami (tyle że okrzesanymi), dlatego nie wpuszczano ich na salony.

Klasa aspirująca budowała więc swoją pozycję w jedyny dostępny dla niej sposób – zarabiając pieniądze i gromadząc majątek. To kasa, a nie wiedza, erudycja i obycie miała się stać przepustką do świata elit. Ta strategia – jeśli spojrzeć na jej dzisiejsze rezultaty – okazała się całkiem skuteczna.

PARTIA NUWORYSZY

Dobrze to widać na przykładzie naszej sceny politycznej. Na początku lat 90. o sile liberalnej inteligencji świadczyło posiadanie własnej partii, jaką była wówczas Unia Demokratyczna – formacja może niezbyt wielka, ale za to nieproporcjonalnie do swojej liczebności wpływowa. Obok pojawił się jeszcze mniejszy od niej Kongres Liberalno-Demokratyczny – partia Tuska, Bieleckiego i Lewandowskiego. Kojarzony z tym środowiskiem slogan, że „pierwszy milion trzeba ukraść", doskonale oddawał atmosferę ówczesnej epoki i zarazem mógł przemawiać do wyobraźni młodych aspirujących dorobkiewiczów, którzy masowo przybywali do wielkich miast w poszukiwaniu lepszego życia.

> Największy paradoks polega na tym, że liberalna inteligencja, narzekająca dziś na wpychającego się do jej salonu bogatego chama, sama go wyhodowała

W tym kontekście połączenie Unii Demokratycznej z KLD i utworzenie z obu partii Unii Wolności mogło być odczytywane jako rodzaj symbolicznego zaproszenia na salony, wystosowanego przez liberalną inteligencję do klasy aspirującej. Tyle że w rzeczywistości żadnego takiego zaproszenia nie było.

Starzy działacze „udecji" chcieli po prostu wykorzystać swoich niższych klasowo kolegów w roli poddanych – wykonujących polityczną robotę, ale pozbawionych realnego wpływu na kluczowe decyzje. Chamów można w ostateczności kokietować, ale przecież władzy im się nie oddaje. Geremek, Mazowiecki i inni nie dostrzegli jednak, że ich wcześniejszy „salonowy" powab najwyraźniej zniknął, a aspirująca liberalna „młodzież" nie zamierza poddawać się dyktatowi apodyktycznych starców. Ten konflikt w łonie Unii Wolności zakończył się ostatecznie rozpadem partii, utworzeniem Platformy Obywatelskiej i polityczną marginalizacją liberalnej inteligencji.

Późniejsza siła PO wiązała się właśnie z rosnącym znaczeniem klasy aspirujących nuworyszy, którzy w ciągu kolejnych lat zaczęli już bezpośrednio wpływać na bieg wydarzeń w Polsce. Do dziś stanowią oni główne zaplecze wyborcze partii Tuska i domagają się w związku z tym szerokich przywilejów, w tym najwyższej pozycji w hierarchii społecznej.

Stoi to oczywiście w sprzeczności z roszczeniami starej, liberalnej inteligencji – w szczególności wszystkich pogrobowców dawnej „udecji" i admiratorów Michnika. Tyle że to oni, walcząc 30 lat temu z klasą ludową, wyhodowali jej nowy, „oświecony" gatunek, który najpierw zdołał ich pokonać politycznie, a teraz próbuje dokończyć dzieła, sięgając po najwyższe tytuły.

REWOLUCJA NA WŁASNE ŻYCZENIE

Patrząc z tej perspektywy, ostatnie 30 lat stanowi ilustrację stopniowej utraty władzy przez dawną, często wywodzącą się z PRL, liberalną inteligencję. Najpierw była to utrata bezpośredniego wpływu na politykę, a potem – już konsekwentnie – we wszystkich innych wymiarach.

Świadczy o tym nie tylko kres romantycznego żeglarstwa na mazurskich jeziorach czy narciarstwa i wysokogórskich wędrówek, dziś odartych z „etosu" i przekształconych w rozrywkę dla plebsu, lecz przede wszystkim los samej „Wyborczej", która, opisując te zjawiska, nie może się im skutecznie przeciwstawić. Jest po prostu bezradna wobec zgrai, która bez pytania kogokolwiek o zgodę bezczelnie wchodzi na salony. To przecież nic innego jak rewolucja, tyle że na własne życzenie.

eprasa.pl c25b34d838

Znak w sercu Polski

Najwyższa w Europie, druga na świecie i jedyna w Polsce. Nie tylko dlatego, że mierzy 55,6 m. Figura Matki Bożej Miłosiernej powstała z potrzeby serca i stanęła w wyjątkowym miejscu. Jest wyrazem wdzięczności Grażyny i Romana Karkosików za otrzymane łaski. Jeszcze nie została poświęcona, a już dzieją się wokół niej rzeczy niezwykłe. Symboliczny dla Polski jest również moment jej odsłonięcia. Proroctwo prymasa Hlonda o zwycięstwie, które przyjdzie przez Maryję, brzmi uderzająco

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

eprasa.pl c25b34d838

MARZENA NYKIEL

Mała wieś Konotopie w gminie Kikół – 170 km od Warszawy, 40 km od Torunia przy trasie S10 łączącej Szczecin z Mazowszem. Ciche, nieznane miejsce, o którym huczy dziś cała Polska. Jasna, monumentalna figura Matki Bożej Miłosiernej wyrasta spośród pól. Do oficjalnego odsłonięcia jeszcze kilka dni, a już trudno znaleźć wolne miejsce do zaparkowania. – Wracamy z wakacji, chcieliśmy zobaczyć Maryję, którą zbudował ten miliarder. Pięknie to wygląda, naprawdę – mówi pani Iwona ze Śląska.

Odkąd pojawiła się wieść o tej inicjatywie, media nie przestają prześwietlać majątku państwa Karkosików. Mnożą się niesmaczne sugestie, na co powinni przeznaczyć własne pieniądze. Kariera Romana Karkosika jest imponująca. Połączenie talentu biznesowego z ciężką pracą, żywą inicjatywą i niezwykłym wyczuciem giełdy sprawiły, że przez lata pozostawali w czołówce rankingów najbogatszych Polaków. Stronią od mediów i rozgłosu. Teraz też nie chcą rozmawiać z dziennikarzami. Nie po to wznosili maryjny monument, by mówić o sobie.

– Inicjatywa państwa Karkosików płynie z ich wnętrza, z natchnienia Bożego. Jest wyrazem wdzięczności dla Matki Bożej – mówi nam ks. Marek Mrówczyński, proboszcz parafii w Kikole. Potwierdza to Adam Kuba Matejkowski, artysta rzeźbiarz, który nadał wizerunkowi Maryi obecny kształt. – Pan Karkosik w trudnej chwili życiowej, gdy zdrowie mu siadało, a sytuacja była poważna, zwrócił się w modlitwie do Matki Boskiej. W podziękowaniu postanowił postawić figurę, która jest darem dla wszystkich. Nie po to, by ludzie podziwiali jej wielkość, lecz aby się przy niej zatrzymali i mogli przeżyć coś ważnego. Uważam, że idea jest bardzo jasna i czysta – podkreśla artysta. To on znalazł miejsce, w którym wzniesiono monument.

Artysta rzeźbiarz Adam Kuba Matejkowski z 2-metrową figurą Matki Bożej, która była wzorem dla monumentu

MARYJA SAMA WSKAZAŁA

Rozpatrywano różne lokalizacje, pojawił się m.in. pomysł umieszczenia obiektu na środku jeziora. – Figura Maryi w tym miejscu byłaby cudem, ale pozostawałaby niedostępna dla ludzi. W pewnym momencie poszukiwań znalazłem się na stacji benzynowej tuż za Kikołem. Pomyślałem, że w tym całym pędzie trzeba skupić się, zamknąć oczy i zwrócić się do Matki Boskiej, żeby sama powiedziała, gdzie chce stać. Otworzyłem oczy i zobaczyłem to miejsce – wskazuje rzeźbiarz. – Tam jest małe wzniesienie. Patrząc od strony Kikołu, Maryja nie wygląda, jakby stała na koronie, tylko jakby schodziła z nieba, jakby stała na łanach zbóż – dodaje.

Gdy wybierał tę lokalizację, nie miał pojęcia, że jest to tak omodlone miejsce. Jego tajemnice odsłania przed nami proboszcz. – Ta ziemia od sześciu lat była wystawiona na sprzedaż. Przyjeżdżali zainteresowani, ale nie kupowali. Zupełnie jakby była jakaś blokada, jakby czekała na tę niezwykłą inwestycję – mówi nam ks. Mrówczyński. Ale to nie wszystko. 650 m dalej znajduje się maleńkie, lecz słynące łaskami Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej, którego historia sięga 1885 r. Mieszkający tam wówczas właściciele Konotopia, ewangelicy, mieli niepełnosprawną ruchowo córkę. Przyśniła się jej Matka Boża w koronie, która trzymała na kolanach zdjętego z krzyża i ukoronowanego Chrystusa. Determinacja dziewczyny sprawiła, że jej ojciec, choć ewangelik, zlecił ludowemu artyście wykonanie rzeźby przedstawiającej scenę ze snu. Gdy figura została zawieszona na drzewie, dziewczyna odzyskała władzę w nogach. Od tamtej pory to miejsce słynie łaskami. Figura cudem przetrwała także atak niemieckich wojsk podczas II wojny światowej. Ówczesny proboszcz, którego Niemcy aresztowali i osadzili w Dachau, przeżył niemiecki obóz koncentracyjny wraz z księżmi ze swojego pawilonu właśnie dzięki wstawiennictwu Matki Bożej Bolesnej.

eprasa.pl c25b34d838

OBJAWIENIE PRZEZ ZNAKI

Cuda uzdrowienia mają miejsce również dziś. Modlący się tam ludzie wychodzą z ciężkich chorób, często nowotworowych. Jest nawet udokumentowany przypadek cofnięcia się glejaka, czego lekarze nie są w stanie uzasadnić medycznie. Cudowna figura sprzed 140 lat znajduje się w kościołku wzniesionym w miejscu dawnej kapliczki, ufundowanym w 2011 r. również przez państwa Karkosików. Ks. Mrówczyński twierdzi, że wypełniają oni „wyjątkowe, przepiękne, Boże powołanie". Gdy przedstawili mu pomysł zbudowania największej figury Matki Bożej w Europie, ogromnie się ucieszył: – Pomyślałem, że Matka Najświętsza nam się objawia. Nie są to objawienia interpersonalne jak w Gietrzwałdzie, w Lourdes czy w Fatimie. Tutaj to wygląda tak, jakby Maryja objawiała się przez znaki, przez wydarzenia.

Ks. Mrówczyński zachęca, by patrzeć na to przedsięwzięcie głębiej: – Jeśli zatrzymamy się na fizyczności, będziemy widzieli beton i technologię. A kiedy spojrzymy na Maryję oczyma duszy, dostrzeżemy istotę. Tak patrzący człowiek nie będzie atakował figury Matki Bożej. Jeżeli robi to osoba wierząca, stawiam znak zapytania przy cnocie wiary tego człowieka.

– Myślę, że Matka Najświętsza czegoś od nas chce. Patrząc na to, co dzieje się w naszej ojczyźnie, na Wschodzie bliższym i dalszym, widzimy, że nie jest to sytuacja łatwa – wskazuje. – Proszę spojrzeć na mapę i na topografię człowieka. Jesteśmy na wysokości serca, nieco po lewej stronie. Jesteśmy w sercu Polski. To nie jest bez znaczenia. W tym wszystkim jest jakiś Boży plan, pewna tajemnica, która powoli będzie nam się objawiała – podkreśla ks. Mrówczyński.

MB21 NA UDRĘKĘ WSPÓŁCZESNOŚCI

Na duchowy wymiar tej inicjatywy zwraca uwagę także autor figury. – Podstawowym założeniem było dla mnie to, aby monument był oszczędny w formie, a wielki w treści. Maryja rozkłada ręce, żeby nas objąć, przytulić. To jest obiekt na XXI w., w którym wszyscy jesteśmy tak głęboko pogubieni. Możemy przyjść do niej. Ona na nas patrzy, wyciąga do nas ręce, a z tych rąk spływają łaski. Myślę, że to obiekt na te czasy i dlatego skrótowo nazywam go MB21, czyli Matka Boska XXI w. – przyznaje Adam Kuba Matejkowski. – Ona właśnie teraz chce nawiązać z nami kontakt. Wielka Królowa zdejmuje koronę i stawia ją, byśmy mogli na nią wejść i być jej bliscy – dodaje artysta.

Rozmawiamy w jego pracowni w Płowęży, oddalonej od Konotopia o 80 km. Wraz z żoną Edytą mają tu swój twórczy raj. Wśród jej obrazów stoją jego rzeźby, a na honorowym miejscu 2-metrowa figura Matki Bożej Miłosiernej, która była wzorcem dla monumentu.

> Podstawowym założeniem było dla mnie to, aby monument był oszczędny w formie, a wielki w treści. Maryja rozkłada ręce, żeby nas objąć, przytulić. To jest obiekt na XXI w., w którym wszyscy jesteśmy tak głęboko pogubieni – mówi autor figury

– Rzeźbiąc oczy, sugerowałem się oczami mojej córki. One oczywiście nie są jej oczami, ale jest w nich to, co ma dziecko: ufność i otwartość. Jest w nich też matczyność i uśmiech. Taki był cel – tłumaczy. – Rzeźbiłem tę figurę z intencją dla młodych ludzi. Starsi znają drogę do Kościoła. Młodzież, która jest teraz pogubiona, oddaje swoją wolną wolę za gadżety. Ta Matka Boska ma być zatrzymaniem. Mogą do niej przyjść i zastanowić się, jakie są prawdziwe wartości, gdzie jest prawdziwe szczęście. Świat zwariował, a ona ma nas zatrzymać. Takie jest moje przesłanie – podkreśla.

Artysta przyznaje, że bał się efektu końcowego. Martwił się, czy wszystko zagra, czy wielokrotne powiększenie nie zniekształci twarzy, nie zdeformuje uśmiechu, nie przyniesie ujmy Matce Bożej. Moment odsłonięcia figury przeżył jak narodziny własnego dziecka. Ma ich czworo, więc dobrze zna to uczucie. Gdy zobaczył całość, zachwycił się. – Szczęście, które odczułem, było niewyobrażalne. Za to szczęcie dziękuję tym, którzy tak pięknie zrealizowali moje dzieło. Zrobili to perfekcyjnie. Moim zdaniem ze wszystkich wielkich figur przedstawiających Maryję nasza jest najładniejsza. Cieszę się, że ma słowiańskie rysy, że ma w sobie tyle ciepła – mówi, przypominając o skali skomplikowania projektu. – Cała rzeźba została zrobiona w negatywie. Matka Boska ma ok. 2 tys. m² powierzchni. Z fragmentów, które miały nieco ponad metr, ułożenie puzzli w przestrzeni to wielka sztuka. Jacy specjaliści musieli przy tym pracować? Budowniczowie w pełni wywiązali się ze swojej obietnicy. Wykonali obiekt na 300 lat, niesłychanie solidnie. Chwała im za to.

Te wyrazy podziwu słychać również wśród ludzi przyjeżdżających oglądać figurę. Nie brakuje rozważań konstrukcyjnych. „Ale jak oni to zrobili, że niby z betonu, a ta twarz taka gładka?".

INŻYNIERYJNY FENOMEN

Za nowatorskie rozwiązania technologiczne i całe przedsięwzięcie budowlane odpowiadał Bartłomiej Niesłuchowski, prezes Grupy B37. Skala zadania była bezprecedensowa: ponad 55-metrowy monument wzniesiono w zaledwie 13 miesięcy siłami 50-osobowej ekipy. Podobne obiekty buduje się zazwyczaj w 5 do 10 lat.

Technologia wymagała pionierskich metod. Po raz pierwszy na świecie użyto specjalnie skomponowanej mieszanki betonu architektonicznego, opracowanej według autorskiej receptury inż. Niesłuchowskiego we współpracy z firmą Holcim, zapewniającej trwałość na co najmniej 300 lat.

eprasa.pl c25b34d838

2-metrowe dzieło artysty najpierw zeskanowano, po czym 20-krotnie powiększono. Utworzoną siatkę z kilku milionów punktów, każdy o wymiarach ok. 4 × 4 cm, trzeba było zagęścić do 2 × 2 mm. Zadania podjęli się dopiero graficy z Włoch. – Na tej budowie rozwiązanie zawsze znajdowało się na samym końcu i pomoc przychodziła w ostatnim momencie – mówi nam Bartłomiej Niesłuchowski.

Cały monument ma 55,6 m wysokości. Figura Matki Bożej mierząca ponad 40 m stoi na 15-metrowej koronie, pełniącej funkcję tarasu widokowego, na który można wjechać windą. Element podstawy zdobią witraże wykonane z betonu, które w najcieńszym miejscu mają grubość 8 mm i stanowią unikat w skali światowej. Fundament jest osadzony na betonowych palach sięgających 30 m w głąb ziemi. – Moją inspiracją była budowa piramid. Fazy betonowania, których jest 34, są równe. Na filarach mają 105 cm wysokości, na figurze – 120 cm – wyjaśnia inż. Niesłuchowski. Do budowy filarów i figury zużyto 2667 m³ betonu specjalistycznego.

RĘKA TERMINATORA I DŁOŃ OPATRZNOŚCI

Najtrudniejszym wyzwaniem inżynieryjnym okazały się dłonie. Każda waży ponad 10,5 t, a przygotowanie specjalistycznej stalowej konstrukcji zajęło kilka miesięcy. – Inspiracją do budowy naszej dłoni była ręka Terminatora – przyznaje Niesłuchowski.

Budowniczowie nie mają wątpliwości, że Matka Boża czuwała nad tym projektem i jego wykonawcami. Jak inaczej wytłumaczyć to, że jeden z robotników spadł z wysokości 7 m na beton i jedynym obrażeniem, jakie odniósł, była złamana noga?

Wyjątkowa była też atmosfera. – Towarzyszyła nam niesamowita przyjaźń i dobra aura. Praca trwała praktycznie non stop, ale nie byliśmy zmęczeni. Nikt na siebie nie krzyczał, nie było wyzwisk, pijaństwa, obrażania się. To jedna z moich ulubionych realizacji – przyznaje inż. Niesłuchowski. – Wybraliśmy firmę Wysowa-Zdrój z Podhala, z którą już współpracowałem i którą cenię za rzetelność i wytrwałość. Dla górali to jest symbol wiary, więc ustawili się w kolejce do pracy. Nigdy nie robili takich budów, więc musiałem ich uczyć wszystkiego od początku. Ale to byli ludzie niesamowicie współpracujący. Może dlatego się to udało. Dla nich to był akt wiary. Później dołączyli do nas również Ukraińcy. Dla nich ta budowa też była aktem wiary i wytrwania – dodaje.

> Pani Krystyna nie rozumie hejtu, który wylewa się w sieci: – Komu przeszkadza figura? Jak słyszę, że mogli zamiast tego wybudować szpital, to mnie nerwy biorą. Może wystarczy nie zamykać tych, które już są?

CISZA, KTÓRA PRZEMAWIA

Ludzie gromadzą się pod figurą do późnego wieczora, choć teren budowy jest jeszcze ogrodzony. – Przepiękna ta Maryja, taka jakaś nasza – mówi mi pani Anna. Miejscowi zaglądają tu regularnie. Pani Krystyna nie rozumie hejtu, który wylewa się w sieci: – Komu przeszkadza figura? Mówi, że nie zna fundatorów osobiście, ale widuje ich w kościele. – Wielki szacunek. Zrobili dla nas coś wspaniałego. Będą tu przyjeżdżać ludzie z całej Polski. Jak słyszę, że mogli zamiast tego wybudować szpital, to mnie nerwy biorą. Może wystarczy nie zamykać tych, które już są? – zżyma się.

Nieco dalej stoi małżeństwo z Chełmży. Choć mieszkają niedaleko, nigdy nie słyszeli o Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej. Opowiadam im krótko historię tego miejsca. – Co pani powie? Aż mam ciarki – rzuca pani Ewa.

Bohaterką najbardziej wzruszającej sceny jest 2,5-letnia dziewczynka. Już po zmroku figura została pięknie oświetlona, nad nią widać rozgwieżdżone niebo. Dziecko długo wpatruje się w Maryję, po czym woła: „Przytulić!”.

PROROCTWO I WITRAŻ MARYJNYCH ROCZNIC

Jakie będą owoce tej inicjatywy? Na odpowiedź jest jeszcze za wcześnie, ale znaków i symboli już teraz jest wiele. W tym roku zbiega się kilka ważnych rocznic. 145 lat temu urodził się ks. kard. August Hlond, a 100 lat temu objął stolicę prymasowską. Mówił, że „Polska nie może być bezbożna”, apelował o obronę tożsamości narodowej i ostrzegał, że „Paneuropa nie jest w interesie Polaków”. Zapowiadał, że „Polska będzie natchnieniem przyszłości Europy, jeżeli nie ulegnie bezbożnictwu”. 80 lat temu na Jasnej Górze w obecności miliona rodaków zawierzył ojczyznę Niepokalanemu Sercu Maryi. 70 lat temu w tym samym miejscu, z inicjatywy Prymasa Tysiąclecia, złożyliśmy śluby jasnogórskie. Były nawiązaniem do ślubów lwowskich króla Jana Kazimierza, których 370-lecie właśnie obchodzimy. Przypada również 60. rocznica Millenijnego Aktu Oddania Polski Matce Bożej pod wodzą prymasa Stefana Wyszyńskiego (125. rocznica jego urodzin i 45. rocznica śmierci). W tym maryjnym witrażu rocznic nie może zabraknąć św. Jana Pawła II. 45 lat temu ocalał z zamachu na Pl. św. Piotra dzięki wstawiennictwu Matki Bożej.

Czy można zignorować splot tych wydarzeń? To przecież maryjność stała się dla Polaków kluczem do przetrwania zaborów, dwóch krwawych totalitaryzmów, była fundamentem odzyskania niepodległości, wolności duchowej i społecznej. Znaczenie ma także dziś, w samobójczym pędzie ku nicości. Może więc największa w Europie figura Matki Bożej Miłosiernej ma być nowym impulsem do refleksji nad zagrożeniami? Prymas Hlond w ostatnich słowach przed śmiercią wskazał, gdzie szukać ratunku: „Nie traćcie nadziei. Zwycięstwo — gdy przyjdzie — przyjdzie przez Maryję”.

eprasa.pl c25b34d838

Orlęta Warszawy

zatrzymały bolszewików w sierpniu 1920 r.

Nie byłoby zwycięstwa bez poświęcenia polskiego społeczeństwa, bez genialnego planu, bez waleczności polskich żołnierzy, bez amunicji, którą przywieźli nam Węgrzy, bez sprzętu, który przyszedł do nas z Francji z Armią Hallera. Niemniej głęboko wierzę, że tego zwycięstwa nie byłoby również bez polskiej religijności i bez wsparcia Opatrzności

Z Marcinem Ołdakiem, kierownikiem Muzeum Bitwy Warszawskiej 1920 roku w Ossowie, rozmawia Jerzy Szmit

Bój w Ossowie 14 i 15 sierpnia 1920 r. zadecydował o losach świata. Jedni mówią: „Bitwa Warszawska – starcie dwóch armii", inni mówią o „Cudzie nad Wisłą", w którym widzą Boską ingerencję w dzieje ludzkości. Jak pan na to patrzy?

Marcin Ołdak: Z perspektywy mikrohistorii i niewielkiej mazowieckiej wsi pod Warszawą miał tu miejsce jeden z kluczowych bojów z bolszewikami na przedmościu stolicy. Ale Bitwa Warszawska rozegrała się na terenie o powierzchni 40 tys. km² (mniej więcej obszar Beneluksu) i objęła kilkadziesiąt różnych starć zbrojnych. Kontekst religijny jest ogromnie ważny. Na naszej wystawie znajduje się zakrwawiona stuła ks. Ignacego Skorupki, kapelana, który szedł do boju ze swoimi uczniami, ochotnikami bez broni w ręku. Poległ i stał się bohaterem. Scena jego śmierci, niezwykle symboliczna, została przedstawiona przez Jerzego Kossaka na obrazie „Cud nad Wisłą", a współcześnie w filmie Jerzego Hofmana.

Jednocześnie wojnę wygrywa ten, kto popełni mniej błędów, kto ma lepszy plan, wykorzysta warunki, będzie odważniejszy i lepiej przygotowany. Wykazaliśmy też wielką determinację jako społeczeństwo. Określenie „Cud nad Wisłą" pochodzi natomiast z artykułu Stanisława Strońskiego „O cud Wisły", opublikowanego w „Rzeczpospolitej" z 14 sierpnia 1920 r. Nawiązuje do określenia bitwy z 1914 r., zwanej Cudem nad Marną.

Ówczesne źródła mówią o poruszeniu narodowym, ochotnikach, ofiarności, a także wielkich procesjach i modlitwie w Warszawie. Sowieccy jeńcy wspominali o Matce Bożej Zwycięskiej, którą widzieli nad polską stolicą.

Nie byłoby zwycięstwa bez poświęcenia polskiego społeczeństwa, bez genialnego planu, bez waleczności polskich żołnierzy, bez amunicji, którą przywieźli nam Węgrzy, bez sprzętu, który przyszedł do nas z Francji z Armią

Fot. Andrzej Skwarczyński, archiwum prywatne

eprasa.pl c25b34d838

Hallera, bez wielu innych uwarunkowań. Nie byłoby zwycięstwa także bez wielkiej wiary Polaków. Pozostawiam ocenę wspomnianych zjawisk powołanym do tego osobom, niemniej głęboko wierzę, że bez polskiej religijności i bez wsparcia Opatrzności nie byłoby tego zwycięstwa.

Do oddziałów ochotniczych masowo zgłaszała się młodzież.

W lipcu 1920 r. powstała Armia Ochotnicza, firmowana przez gen. Józefa Hallera. Otacza go legenda dowódcy Armii Polskiej we Francji, człowieka, który dokonał zaślubin z morzem, który walczył przeciwko wszystkim zaborcom. Popularnością w społeczeństwie przewyższał go tylko Józef Piłsudski. Do szeregów zgłasza się ponad 100 tys. ochotników, w tym 40 tys. mieszkańców Mazowsza i Warszawy. Muszę nawiązać do historii miejsca, w którym jesteśmy. Tutaj walczyli ochotnicy z 236. Pułku Piechoty, w większości uczniowie warszawskich gimnazjów, liceów, harcerze, studenci, młodzi robotnicy, często 16-, 17-latkowie. Wielu poniosło najwyższą ofiarę. Nazywano ich Orlętami Warszawy. Później hekatomba II wojny światowej i miliony ofiar niemieckiej oraz sowieckiej tyranii przyćmiły to niezwykłe poświecenie i bohaterstwo. Nastał czas, aby docenić i uhonorować jedno z największych polskich zwycięstw.

Miejsce okupione wielką daniną krwi, przelanej również tu.

Początkowo chciano, by w Alei Zwycięstwa, biegnącej na taras muzeum, umieścić nazwiska wszystkich poległych w Bitwie Warszawskiej, ale tego nie da się ustalić. Zostały tu upamiętnione ofiary boju pod Leśniakowizną i Ossowem. 14 sierpnia, po przełamaniu polskiej linii obrony, doszło tu do kilkugodzinnych, krwawych zmagań. Na kilkuset zabitych, zaginionych, wziętych do niewoli, śmiertelnie rannych po stronie polskiej zidentyfikowano nieco ponad 100.

Warunki, w jakich przyszło im walczyć, dzisiaj byłyby nie do przyjęcia.

Kiedy zwiedzający wystawę stałą naszego muzeum widzą pierwszy polski samochód pancerny (inż. Tadeusza Tańskiego), nie chcą uwierzyć, że walczyły w nim dwie osoby. Podobnie w czołgu Renault. Dzisiaj jesteśmy po prostu wyżsi, lepiej odżywieni. Liczył się duch walki za ojczyznę. Tłumaczymy odwiedzającej nas młodzieży, że tamto pokolenie wykonało swoje zadanie na 1100 proc.

Wolna Polska potrzebowała 30 lat, by uhonorować bohaterów Bitwy Warszawskiej.

Po 1989 r. trzeba było budować polską politykę historyczną. Przywrócić pamięć żołnierzy Armii Krajowej, żołnierzy drugiej konspiracji i wielu innych. Spojrzeć na polską historię z prawdziwej perspektywy. Jednak Polska lokalna stanęła na wysokości zadania. Już od 1989 r. na przedmościu Warszawy w Radzyminie, Ossowie i całym powiecie wołomińskim 15 sierpnia jest bardzo istotną datą w kalendarzu samorządu. Tak jak 1 sierpnia w Warszawie.

Tu pamięć o bitwie jest ciągle żywa.

Cmentarz Poległych w Bitwie Warszawskiej w Ossowie powstał tuż po bitwie. Postawiono pomnik, kaplicę Matki Bożej Zwycięskiej. W 1939 r. wybudowano stację kolejową Kobyłka-Ossów. Problemy zaczęły się po wojnie. Komuniści poszerzyli teren poligonu wojskowego, tak aby obejmował Kaplicę i Cmentarz Poległych. Zlikwidowano mostki na rzece i postawiono napisy zakazujące wchodzenia. Milicja pilnowała, aby nikt nie oddawał czci bohaterom i prześladowała tych, którzy to robili. Mimo to ludzie stąd samorzutnie dbali o groby, przynosili wiązanki, znicze, a od lat 70., za sprawą ks. Kazimierza Konowrockiego, a także ks. Mieczysława Stefaniuka i ks. Bogdana Gietrugi z parafii w Kobyłce, organizowano grupy młodzieżowe, które wykonywały i stawiały brzozowe krzyże oraz dbały o cmentarz. Nadal odbywało się to na poligonie, wciąż nielegalnie. Robili to 19-latkowie, 18-latkowie i młodsi. Często musieli się tłumaczyć przed władzą. Pod koniec lat 80. parafii udało się odzyskać ten teren od państwa. Co ważne, ludzie, którzy przychodzili tutaj jako młodzież w latach 70., stali się członkami i liderami lokalnej Solidarności, potem budowali samorząd jako radni, burmistrzowie, starostowie. Niczym sztafeta pokoleń przekazywali pamięć o Bitwie Warszawskiej.

I w końcu doczekaliśmy się wspaniałego muzeum!

Po wielu latach starań w 2017 r. podpisano list intencyjny. Budowę Muzeum Bitwy Warszawskiej rozpoczęto w 2020 r. Na otwarcie w 2025 r. zaprosiłem kilkoro liderów grup młodzieżowych z lat 70. Ich reakcja była niezwykła: łzy w oczach. Pamiętam starszą panią, która powiedziała, że 40 lat czekała na godne upamiętnienie bohaterów. W latach 70. to oni dbali o teren zapomnianej kaplicy i uciekali przed milicją, a także przed niebezpieczeństwem strzałów na poligonie. W najpiękniejszych snach nie marzyli, że powstanie tutaj gigantyczne muzeum zwycięstwa nad bolszewicką Rosją.

Jak pan ocenia pierwszy rok działania muzeum?

Pozytywnie. W muzeum ważne są eksponaty, ale równie ważni są edukatorzy. Wychodzimy do młodego pokolenia. Proponujemy zajęcia, lekcje muzealne, warsztaty. Dbamy o ten wielki budynek i jego wyposażenie. Szacujemy, że przez pierwszy rok odwiedzi nas ponad 70 tys. osób. To dobry wynik, bo jesteśmy 20 km od Warszawy i trzeba do nas specjalnie dojechać, a przez ostatni rok droga była remontowana. Są grupy szkolne z całej Polski, są weterani z Uniwersytetu Trzeciego Wieku, wiele grup parafialnych z całej Polski. Szczególnie wrażliwi na wiedzę o ochotnikach z tamtej bitwy są żołnierze WOT. Chcemy, by w kolejnym roku muzeum odwiedziło 100 tys. ludzi. Jestem pewien, że to się nam uda. Zapraszamy!

Które artefakty wzbudzają największe zainteresowanie?

Na pewno zakrwawiona stuła ks. Ignacego Skorupki – to jest wręcz relikwia, choć ks. Ignacy nie jest ani świętym, ani błogosławionym Kościoła katolickiego. Jego ciało przeleżało kilka godzin na polu bitwy, a kilkakrotnie przecho-

eprasa.pl c25b34d838

dzący obok niego bolszewicy okradli jego zwłoki i zmasakrowali je bagnetami.

Wielką wartość stanowi zbiór odznak wojskowych – znawcy i kolekcjonerzy są nimi zachwyceni. Jestem dumny ze zbiorów pochodzących z artylerii ciężkiej, m.in. z wielkiej armaty De Bange. Wspomnę jeszcze o kluczowym i jednocześnie strasznym zabytku, Muzeum Wojska Polskiego kupiło go kilka miesięcy temu. Ten przedmiot odpowiada na pytanie, co by się stało, gdyby nie zwycięska Bitwa Warszawska. To skórzana teczka z początku XX w. z metalowymi okuciami, opatrzona polskim napisem: „Towarzyszowi Marchlewskiemu robotnicy Białegostoku". Nad nim widnieją herb z sierpem i młotem oraz skrót napisany cyrylicą: PSSR – Polska Socjalistyczna Sowiecka Republika. Polski miało nie być. W ślad za Armią Czerwoną poruszał się Polrewkom, czyli rząd sowiecki wyznaczony przez Moskwę na Polskę. Marchlewski był jego szefem. Oni chcieli zwycięstwa Sowietów. Na podstawie wspomnień ks. Wiktora Mieczkowskiego (proboszcza parafii św. Idziego w Wyszkowie) opisał to Stefan Żeromski w opowiadaniu „Na probostwie w Wyszkowie".

Jak wyglądałaby Polska?

Polska inteligencja, wojskowi, ziemianie, duchowieństwo, przedsiębiorcy, urzędnicy byliby skazani na wymordowanie. To samo z bogatymi chłopami. Pamiętajmy, że Polska była krajem chłopskim, większość mieszkańców Rzeczypospolitej mieszkała na wsi i prowadziła gospodarstwa rolne. W sowieckiej Rosji kolektywizacja rolnictwa, walka z kułakami była przerażająco brutalna. To samo stałoby się w Polsce. Gdyby nie zwycięska Bitwa Warszawska, trudno powiedzieć, jakim narodem bylibyśmy teraz.

Czy od otwarcia muzeum przybywa eksponatów?

Oczywiście. Jeden z tutejszych mieszkańców przyniósł nam odznaki wojskowe. 20–30 lat temu Ossów był miejscowością rolniczą. Ludzie łączyli pracę zawodową z prowadzeniem małych gospodarstw. A ziemia „rodziła" artefakty, przede wszystkim związane z bitwą warszawską, lecz z tą z 1944 r. Pamiętajmy, że między Okuniewem i Wołominem, Ossowem, Radzyminem miała miejsce druga największa bitwa pancerna II wojny światowej. Walczyły w niej korpusy pancerne dwóch naszych największych wrogów – Niemców i Sowietów. W tym starciu Polacy byli wyłącznie ofiarami.

Są też inne pamiątki z 1920 r., np. odznaki: jedna Ochotniczej Legii Kobiet i druga, też należąca do kobiety z Pogotowia Ratunkowego w Warszawie. Wiemy do kogo, bo jest numerowana. Łączy się z tragiczną historią: 17-letni pianista Zygmunt Karol Płoszko był ochotnikiem 236. pułku. W walkach o Ossów został ciężko ranny. Jego matka była sanitariuszką i znalazła syna na pobojowisku. Niosła go na rękach, błagając o lekarza, o wóz, który dowiezie ciężko rannego do Warszawy. Chłopiec umarł na jej rękach. Tak wyglądało wówczas poświęcenie polskich rodzin.

Jak młodzież reaguje na pokazaną tu historię?

Młodzież jest wspaniała. Chce oglądać historię pokazaną w sposób przystępny i nowoczesny. A nasze muzeum spełnia wymogi XXI w. Hitem jest wirtualna strzelnica, w której z replik broni krótkiej i długiej strzela się do wirtualnych obiektów, takich jak tarcze lub przedmioty porozmieszczane w terenie. Moim marzeniem jest, aby każdy uczeń, który kończy szkołę podstawową czy średnią, przynajmniej raz odwiedził to miejsce.

Muzeum Bitwy Warszawskiej jest jedną z najważniejszych placówek tego typu w Polsce. Znajduje się na autentycznym polu bitwy, tak jak Muzeum Bitwy pod Grunwaldem, z którym z rozpoczynamy współpracę.

Muzeum organizuje też widowiskową inscenizację bitwy.

Inscenizacje były organizowane od końca lat 90. na błoniach ossowskich, wzdłuż rzeki Długiej. Oglądało je nawet 10 tys. osób, jednak z poziomu ziemi, co nie pozwalało na dokładniejsze przyjrzenie się bitwie. Dzisiaj za sprawą 17-metrowego sztucznego wzniesienia na trybunie mieści się wygodnie blisko 3 tys. osób. Są jeszcze alejki, z których dobrze widać taras widokowy.

W tym roku rekonstrukcja rozpocznie się 16 sierpnia o godz. 14.30. Pojawi się ponad 100 rekonstruktorów, repliki pojazdów, a także oryginały z tamtej epoki. Będzie piechota, kawaleria – by symbolicznie pokazać zwycięstwo pod Komarowem – i efekty pirotechniczne. Rekonstrukcja potrwa ponad godzinę. Po wydarzeniu odbędzie się piknik wojskowy i pokaz współczesnego sprzętu polskiej armii. Zapraszamy od 14 sierpnia na wiele innych atrakcyjnych wydarzeń (szczegóły na www.muzeumwp.pl).

Jakie są plany rozwoju muzeum?

Chcemy przyjmować kolejne eksponaty, zwiększać liczbę zwiedzających, stać się centrum mikrohistorii. Chcemy tłumaczyć, dlaczego muzeum wielkiego polskiego zwycięstwa, ważnego dla Europy, jest położone w niewielkiej wiosce. Wiosną wraz z historykami ukraińskimi zorganizowaliśmy konferencję o polsko-ukraińskim sojuszu wojskowym w 1920 r. Będziemy łączyć siły z innymi muzeami pól bitewnych, aby wspólnie pokazywać wielkie polskie wiktorie: pod Grunwaldem, Wiedniem czy w Bitwie Warszawskiej.

Naszym celem jest, aby muzeum żyło przez cały rok i było nowoczesnym centrum edukacji oraz budowania świadomości historycznej kolejnych pokoleń.

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl c25b34d838

Państwo chore na wszystko

Na co choruje Hiszpania? To kraj, przez którego granice jednego dnia może się przebić 60 tys. najeźdźców i zdobyć 80-tysięczne miasto. Szturm Marokańczyków na położoną na kontynencie afrykańskim hiszpańską Ceutę jest widowiskową, choć tragiczną egzemplifikacją patologii, które jak nowotwór zżerają Reino de España. Nie chodzi tylko o kryzys migracyjny, lecz także ustroju, tożsamości, wszystkich struktur państwa, a nawet jego idei jako bytu jednoczącego i chroniącego wspólnotę

DARIUSZ MATUSZAK

Podróż w głąb hiszpańskiego szaleństwa rozpoczniemy właśnie od Ceuty. Co to państwo musiało sobie zrobić, by pozwolić na taki najazd? Przede wszystkim pozbawić się mocy ochronnych. Hiszpania jest – obok Niemiec – najmniej lojalnym sojusznikiem NATO. Właściwie jego wrogiem. Mimo interesów na skalę niemal globalną – w Afryce, w Ameryce Łacińskiej – przez dekady wydawała na obronność mniej niż 1 proc. PKB. Dopiero ostatni rok to wzrost do 2 proc. Hiszpania wysysa Pakt i tak jak Francja nie jest już w stanie kontrolować szlaków imigrantów oraz terrorystów przez Zachodni Sahel czy Saharę Zachodnią, która była jej kolonią. Ochronę tej części świata przed ISIS biorą na siebie Stany Zjednoczone, którym Hiszpania odmawia możliwości wykorzystywania położonych na jej terenie amerykańskich baz w wojnie z Iranem. Lewacki rząd doprowadził do tego, że relacje z USA są najgorsze w historii. Jest to m.in przyczynkiem do spekulacji, że to Ameryka zainspirowała swego sojusznika – Maroko – do nasłania imigrantów. Do zdobytego przez najeźdźców miasta Hiszpania zdołała wysłać ledwie 150 żołnierzy. Dopiero po trzech dniach nadciągnęły posiłki Gwardii Cywilnej.

Okazało się rówież, że Hiszpania nie ma oczu i uszu, jakby wywiad nie istniał i nie miał pojęcia, że tuż przy jej granicy zgromadziło się kilkadziesiąt tysięcy młodych mężczyzn. Albo to zignorował. Władze informują, że w czasie szturmu i plądrowania Ceuty zginęło ponad 100 Marokańczyków, ale większość najeźdźców wróciła już do swego kraju. Skoro tak, to może Maroko urządziło ćwiczenia? Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy można wszak przebrać w cywilne ciuszki i nasłać na Hiszpanię, a ona się przed nimi rozłoży jak swego czasu Merkel przed imigrantami. A ISIS z Sahelu może wysłać np. kilkuset szahidów, którzy jako męczennicy za wiarę wysadzą się w powietrze w atrakcyjnych miejscach. Hiszpania pozostaje bezbronna, na łasce obcych.

IMPORT ELEKTORATU

Przyjmijmy wariant optymistyczny i załóżmy, że kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn zorganizowało się spontanicznie pod wpływem informacji w sieci, że Hiszpanie dają pieniądze, legalizujące pobyt papiery i inne. Cóż, ta bajkowa opowieść jest bliska prawdy, bo 30 czerwca br. zakończył się program przyjmowania wniosków o legalizację pobytu składanych przez nielegalnych imigrantów. Wystarczy rok pobytu w Hiszpanii, a otrzyma się dokumenty, prawo podróży po Unii Europejskiej, prawo do zasiłków i jest się na szybkiej ścieżce do uzyskania obywatelstwa. Lewacki rząd Pedra Sáncheza spodziewał się 500 tys. wniosków, a złożono ich 1,3 mln. Teraz trwa ich rozpatrywanie, a my czekamy na gry i zabawy, które rozpoczną imigranci, którym odmówiono, chociaż przyjęto ich kuzynów z wioski w górach Atlas.

Dzierżąca władzę Hiszpańska Socjalistyczna Partia Robotnicza (PSOE) przeprowadza właśnie wielką operację importu elektoratu, by zapewnić sobie władzę na dekady. Pisaliśmy o tym w poprzednim numerze tygodnika. Irene Montero, oszalała komunistka, europoseł i była minister równości w rządzie Sáncheza, której kochanek Pablo Iglesias był wicepremierem w tym samym gabinecie, wprost wzywa do wymiany populacji. Do zastąpienia prawicy i faszystów imigrantami. Opętana, ale wpływowa kobieta odmawia hiszpańskiej wspólnocie prawa do kształtowania się, do istnienia. Odrzuca hiszpańską kulturę i tożsamość. Podobnie nikczemne brednie głosi u nas choćby Sławomir Sierakowski.

Drugim elementem programu importu elektoratu jest ustawa o pamięci i demokracji, nazywana „ustawą o wnukach". Jej istotą jest bowiem to, że potomkowie – nawet prawnuki tych, którzy uciekli z Hiszpanii lub wyemigrowali w czasach gen. Franco, czyli w latach 1936–1978 – teraz, nie przebywając w Hiszpanii nawet godziny, nie mając żadnych związków z nią, mogą uzyskać jej obywatelstwo. Do października 2025 r. odpowiednie wnioski złożyło ponad 3 mln cudzoziemców, głównie z Ameryki Łacińskiej. To wspaniała okazja dla liczącego kilkadziesiąt tysięcy członków salwadorskiego gangu Mara Salvatrucha. Ciekawe, ile papierów poświadczających, że pradziadek przyjechał z Hiszpanii w 1938 r., są w stanie wyprodukować kolumbijskie i meksykańskie kartele. Szacuje się, że za czasów Franco kraj opuściły 3 mln osób. Ilu mają potomków?

eprasa.pl c25b34d838

Fot. East News

Na razie złożono ponad 3 mln wniosków o obywatelstwo, co oznacza, że wraz z nielegalnymi imigrantami lewacki rząd Sáncheza chce importować ponad 4 mln świeżutkich wyborców.

ZDEWASTOWANA WSPÓLNOTA

Ale tak naprawdę socjaliści zrobili jeszcze jedno: zniszczyli istotę demokracji, w której władzę ma suwerenny lud. Ale jaki on suwerenny, skoro cały lud można wymienić na inny, jak zepsutą część albo jednorazówkę?

Lewacy zdewastowali też ideę obywatelstwa, którego fundamentem jest przynależność do wspólnoty oraz wynikające z tego prawa i obowiązki. Teraz to kaprys władców, administracyjny świstek dla banków i urzędów, patent na organizowanie przestępczości w kraju chaosu i anarchii. Co z tego, hiszpański dziadku, że całe życie budowałeś potęgę Hiszpanii? Teraz masz mniej praw niż byle 20-letni pasożyt z zagranicy, dla którego twoja ojczyzna jest warta tyle co zasiłek.

W praktyce wygląda to tak: dzienna stawka żywieniowa na osobę w hotelach i ośrodkach dla imigrantów wynosi 21 euro, a dla niepotrzebnych już nikomu staruchów w domach seniora – 6,85 euro. Dla żołnierzy w 2026 r. wyliczono 8,8 euro. W czasie ćwiczeń i akcji rośnie do 10,5 euro, przy czym precyzyjnie ustalono: 0,5 euro śniadanie, obiad – 6 euro, kolacja – 4 euro.

Jak zdegenerowane musi być państwo, by robić to swym obywatelom? Porzucać nie tylko tych mieszkających w miastach takich jak Ceuta czy Barcelona, w której 76 proc. przestępstw popełniają przybysze, lecz także tych z przytułków, domów starców, szpitali, szkół? Eksperci z Centrum Studiów Społecznych (CEU-CEFAS) i Uniwersytetu San Pablo przewidują całkowite załamanie się podstawowych zadań państwa, np. edukacji, opieki zdrowotnej, bezpieczeństwa. Wszystko runie pod ciężarem importowanych przybyszy. We wciąż bogatej, ale koszmarnie zadłużonej na 1,8 bln euro Hiszpanii zaczyna brakować pieniędzy na wszystko. Problemem są też kadry. Związki zawodowe policji twierdzą, że funkcjonariusze nie mogą się zajmować ściganiem przestępców, bo weryfikują miliony wniosków o legalizację pobytu imigrantów i nadanie obywatelstwa cudzoziemcom.

Społeczne skutki są właściwie nieodwracalne na dekady, więzy wspólnotowe – nie do odbudowania. Jak ma funkcjonować państwo, w którym 32 proc. młodych mężczyzn do 34. roku życia i 21 proc. kobiet ma wykształcenie podstawowe i żadnych kompetencji zawodowych? To najgorszy wynik w OECD. Nic dziwnego, że bezrobocie wśród młodych sięga 35 proc. Jak naprawić sytuację, w której jedna trzecia pokolenia nie robi nic, nie ma najmniejszego nawyku pracy? Co będzie z tymi ludźmi za 10–15 lat? Jakie rodziny założą? Hiszpania to kraj schizofreniczny – wicepremier, minister pracy i gospodarki Yolanda Diaz w nagrodę za osiągnięcia jest typowana na szefową Światowej Organizacji Pracy.

W OGNIU I POD WODĄ

Słynny amerykański showman Bill Maher szydzi, że Hiszpania jest jak Kalifornia. Na południu jest szturmowana granica, a reszta płonie. Polska wysłała 105 strażaków, którzy mają pomóc gasić pożary, jedne z największych w historii Hiszpanii. Ogień strawił już ponad 200 tys. ha i kosztował życie kilkudziesięciu osób. Z dymem poszły

eprasa.pl c25b34d838

całe doliny wokół Madrytu, przy czym w pobliskiej prowincji Ávila odnotowano największy pojedynczy pożar w historii – na obszarze o powierzchni 50 tys. ha. A minęły niecałe dwa lata od największej w dziejach powodzi, która kosztowała życie 240 osób, straty zaś sięgnęły blisko 50 mld euro.

Temu wszystkiemu winne są oczywiście wywołane przez ludzi zamiany klimatyczne – drogi czytelniku, spaliłeś i utopiłeś Hiszpanię. Tymczasem socjalistyczny rząd niemal zaprzestał prowadzenia gospodarki leśnej i gruntowej, mającej m.in. zapobiegać pożarom, bo to wbrew naturze. Postanowił też przywrócić naturalny stan wód i dlatego w ciągu trzech lat zlikwidowano ponad 250 zapór i zbiorników retencyjnych. Jesienią 2024 r., gdy spadły potężne deszcze, nie było więc gdzie i jak zatrzymać wody, za to latem 2026 r. wody do gaszenia pożarów nie było wcale, bo wcześniej nigdzie jej nie zmagazynowano.

Lewacki rząd, utrzymujący się przy władzy tylko dzięki nieudolności prawicy, od trzech lat nie jest w stanie nawet przygotować budżetu, więc wszystko bazuje na przedłużanej prowizorce z 2023 r. Udał się za to utworzony przez minister finansów Maríę Jesús Montero fundusz na ratowanie firm. Zdefraudowano z niego co najmniej 1 mld euro, a wszyscy trzej jego kolejni prezesi są oskarżeni (jeden nawet już siedzi) o łapownictwo.

I tu dochodzimy do tego, co jest specjalnością Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) oraz jej komunistycznych sojuszników. To malwersacje, łapownictwo, handel wpływami, pranie brudnych pieniędzy, oszustwa na skalę wyjątkową nawet jak na standardy lewicy. Moglibyśmy snuć opowieść długą niczym „Saga o ludziach lodu", bo chodzi o setki spraw i osób.

Teraz najgorętszym tematem jest historia byłego premiera José Luisa Zapatero, który stworzył wokół rządu Sánchezа i PSOE całą siatkę łapowników oraz ludzi od handlu wpływami. W jego domu znaleziono biżuterię wartą miliony euro, a jedną z form opłacania go było zatrudnianie jego córek jako specjalistek od PR za setki tysięcy euro rocznie. Nie napisały nawet jednego e-maila. Śledztwo obejmuje kilkadziesiąt osób, w tym członków rządu, np. ministra spraw wewnętrznych Marlaskę.

W tzw. sprawie Koldo za łapówki i malwersacje skazano już kilkadziesiąt osób, w tym ministra transportu Luisa Abalosa, który usłyszał wyrok 25 lat więzienia. Jego następca poszedł siedzieć. Wśród skazanych w różnych sprawach jest czterech premierów – Andaluzji i Nawarry, kilkunastu ministrów z rządu centralnego i regionalnych, szef Gwardii Cywilnej, prokurator generalny, senatorowie, deputowani i kilkanaście osób z partyjnej wierchuszki PSOE.

I tak dochodzimy do samego premiera. Jego brat Daniel Sánchez usłyszał już wyrok, a na żonę Begoñę nałożono sankcje prokuratorskie, m.in zakaz wyjeżdżania z kraju w związku ze śledztwem o łapówki i malwersacje na madryckim Uniwersytecie Complutense, na którym jest szefową jednej z katedr.

> Co z tego, hiszpański dziadku, że przez całe życie budowałeś potęgę Hiszpanii? Teraz masz mniej praw niż byle 20-letni pasożyt z zagranicy, dla którego twoja ojczyzna jest warta tyle co zasiłek

KRONIKI PORNO-BRUTALNE

A teraz deser – coś z rubryk kryminalno-plotkarskich. Otóż teść pana premiera, nieżyjący już Sabiniano Serrano, był właścicielem sieci saun dla homoseksualistów. Zainstalował w nich kamery i mikrofony, by nagrywać dla służb figle i igraszki opozycji, głównie z baskijskiej partii Batasuna.

Wspomniany już wcześniej były minister transportu i sekretarz PSOE Abalos zatrudniał na państwowych posadach i w podległych mu firmach prostytutki, nie musiał więc płacić im za usługi. Niektóre latały z nim po świece na konferencje i takie tam, a jak wynika z z dochodzenia, całe tabuny kobiet „zwożono furgonetkami na różne imprezy". Pablo Iglesias z komunistycznej partii Podemos jako wicepremier najął za publiczne pieniądze prywatną ochronę, w tym skazanego za zabójstwo boksera. Jej zadaniem było także napadanie i rozbijanie – nieraz za pomocą młotków – wieców partii VOX.

Znany nam Juan Aguilar jako minister sprawiedliwości w rządzie Zapatero przeforsował najbardziej radykalne na świecie prawo o walce z przemocą domową i ze względu na płeć. W praktyce usuwało ono zasady równości płci, domniemania niewinności i słowa przeciwko słowu. Rzucone przez kobietę oskarżenie mężczyzny o „maczystowską przemoc" stawało się wyrokiem. Nowe prawo uczyniło mężczyzn bezbronnymi. Aguilero sformułował wtedy sentencję: „Fałszywe doniesienia trzeba wpisać w koszty tego prawa". Znamy tego polityka, bo jako europoseł i przewodniczący LIBE – Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych w europarlamencie – organizował nagonki na Polskę w czasach PiS. Otóż ten bojownik o równość tłukł żonę i znęcał się nad dziećmi. Ale prawo, które skonstruował, jest dla hiszpańskiego plebsu, a nie ludzi wyższego gatunku jak on. Jego słowo znaczy więcej niż słowo jakiejś tam żony czy byle syna. W Hiszpanii obowiązuje system kastowy, więc Aguilar nie stanął przed normalnym, powszechnym sądem. Te są dla pospólstwa. Jaśniepaństwo, ludzie wyższej jakości, należą do kasty aforado, objętej specjalnym immunitetem i nimi zajmuje się Sąd Najwyższy.

Takich gatunkowo lepszych osób jest w Hiszpanii ok. 20 tys. To rodzina królewska, urzędnicy oraz członkowie rządu centralnego i rządów regionalnych, szefowie instytucji, deputowani, sędziowie i adwokaci. Mimo zeznań świadków i relacji ofiar Aguilar został uniewinniony, a żona wszystko mu wybaczyła. Zupełnie jak mama Robertowi Biedroniowi. Trzeba jednak przyznać, że lewica Czarzastego, dla której ta hiszpańska jest wzorem, musi się jeszcze sporo nauczyć.

eprasa.pl c25b34d838

Niemcy – zmierzch giganta

Friedrich Merz jest dziś jednym z najmniej popularnych polityków w Europie – według badań jedynie 22 proc. Niemców myśli o nim pozytywnie, a 78 proc. uważa go za złego kanclerza, który nie radzi sobie z sytuacją. Gospodarka Niemiec tonie, otwarta zaś na współpracę z Rosją AfD rośnie w siłę. Co się wydarzy za naszą zachodnią granicą?

MAREK BUDZISZ

Po tym, jak reprezentacja Niemiec po słabej grze po raz trzeci z rzędu szybko odpadła z mundialu, niemiecka prasa pisała o dramacie, tragedii, farsie, a Joshua Kimmich, kapitan drużyny, wspominał w publicznych wystąpieniach o „wstydzie". Jedynie kanclerz Merz był zadowolony. Po porażce z Paragwajem w rzutach karnych napisał w środku nocy: „Co za mecz!", a potem dodał, że zaangażowanie i duch zespołu „zachwyciły cały naród". Te wpisy, tak odmienne od powszechnych nastrojów, skłoniły wielu komentatorów do stwierdzenia, że lider państwa jest odklejony od rzeczywistości, nie potrafi prawidłowo odczytać sytuacji albo powtarza frazesy, które już nikogo nie mobilizują. Jürgen Kaube z FAZ ironicznie zauważył, że „może ludzie w kancelarii prezydenta powinni skonfiskować mu smartfon po północy", czyniąc też czytelną aluzję do tego, że umiejętność komunikacji z wyborcami i współpracownikami nie jest najsilniejszą stroną Merza, uchodzącego za „sztywnego" i zarządzającego CDU jak korporacją, a nie państwem.

Gdybyśmy sytuację w Niemczech chcieli mierzyć stanem nastrojów czy emocji społecznych, to jest ona dramatycznie zła. Merz pozostaje dziś jednym z najmniej popularnych szefów rządów w Europie, bo według YouGov, międzynarodowego instytutu zajmującego się badaniem opinii publicznej, pod koniec maja pozytywnie myślało o nim jedynie 22 proc. Niemców, a 78 proc. uważa go za złego kanclerza, który nie radzi sobie z sytuacją.

W kryzysie znalazła się też rządząca chadecja. Po dymisji federalnego ministra transportu Patricka Schniedera, bardzo źle przyjętej w partii, „zbuntowała się" organizacja w Nadrenii-Palatynacie. Relacjonujący sytuację dziennikarze piszą, że nastrój w CDU jest określany jako „przerażający", „katastrofalny", a w rządzącej partii narasta niezadowolenie. Nie należy wykluczać nawet buntu przeciw Merzowi, zwłaszcza – a to raczej pewne – że wrześniowe wyniki wyborów do landtagów nie będą korzystne dla jego formacji.

Heiko Strohmann, przewodniczący CDU w Bremie, powiedział dziennikarzom, że sytuację chadecji dobrze oddaje fakt, iż jej notowania w tym mieście, tradycyjnie zdominowanym przez socjaldemokrację, są obecnie lepsze niż na szczeblu federalnym. Kurt Kister z lewicującego „Süddeustche Zeitung" napisał, że CDU „może pójść w ślady" socjaldemokratów, którzy w ciągu kilku ostatnich lat stracili połowę swego elektoratu i dziś w sondażach często znajdują się na czwartym miejscu, a w niektórych landach nie są w stanie przekroczyć 5-procentowego progu.

Podobne trendy można zauważyć w kwestii poparcia dla CDU, która regularnie otrzymywała powyżej 30 proc. głosów, a teraz „testuje" granicę 20 proc. Co gorsze, obecnie to „partia emerytów", formacja, od której odwróciło się młode pokolenie. W wyborach federalnych w 2025 r. 60 proc. tych, którzy oddali głos na chadecję, miało powyżej 60 lat. Młodzi Niemcy głosują dziś na AfD, Zielonych i Lewicę (ale nie SPD). Stare formacje, które przez dziesięciolecia rządziły państwem, odchodzą do przeszłości.

BRAK WIZJI

Powód tej zmiany nastrojów jest oczywisty – sytuacja gospodarcza, ale przede wszystkim brak wizji, jak rozwiązać narastające problemy. Od 2019 r. gospodarka Niemiec rozwija się średnio o 0,3 proc. w skali roku, co jest najniższym wynikiem spośród wszystkich państw OECD. Na naszych oczach rozsypuje się mit kraju bezpiecznego dla pracownika, w którym koncerny z zasady nie zwalniają robotników z powodów ekonomicznych. Volkswagen, który przez dziesięciolecia prowadził politykę pełnego zatrudnienia, zapowiada w tym roku redukcję aż 50 tys. pracowników i nie wyklucza zamknięcia 4 fabryk. Mercedes przenosi produkcję na Węgry, bo w tamtejszej fabryce jej koszty są o 70 proc. niższe. W ubiegłym tygodniu BMW zapowiedział zmniejszenie liczby zatrudnionych o 8 tys. osób. Michael Scheibe, członek zarządu Mercedesa, powiedział w wywiadzie dla „Handelsblatt", że w najbliższym czasie Niemcy będą musieli pracować więcej niż do tej pory, nie licząc na wyższe wynagrodzenie. Dlaczego?

Bo niemieckie koncerny samochodowe tylko w tym roku straciły 30 proc. najważniejszego dla nich rynku chińskiego, a presja konkurencyjna

eprasa.pl c25b34d838

Z badań wynika, że od 2015 r. niemieckie firmy straciły 15 proc. udziału w rynku produktów przemysłowych o najwyższych marżach i „wkładzie" nowatorskich technologii. To wyjaśnia, dlaczego samochody produkowane przez BMW czy Mercedesa są w wielu segmentach mniej innowacyjne i nowoczesne niż ich tańsze chińskie odpowiedniki

w Europie jest coraz większa. Globalny eksport samochodów z Chin wzrósł z 1,2 mln sztuk w 2019 r. do 6,4 mln w 2024 r. i 8,3 mln w 2025 r., co stanowi prawie siedmiokrotny wzrost w ciągu sześciu lat. W ciągu roku Chińczycy podwoili (z 3,1 do 6,1 proc.) swą obecność na europejskim rynku, co przełożyło się na redukcję 104 tys. miejsc pracy w europejskim przemyśle samochodowym w latach 2024–2025 (ten rok będzie zapewne jeszcze gorszy), a 19 proc. małych i średnich dostawców znajdowało się „w strefie krytycznej" i grozi im upadłość. Tylko jeden producent – BYD – w ciągu dwóch ostatnich lat zwiększył swą sprzedaż w Europie o 270 proc., a specjaliści dowodzą, że to dopiero początek i zmiany będą następowały w rytmie miesięcy, a nie lat.

Zarządy niemieckich koncernów, spętane układami zbiorowymi pracy, mające nad sobą rady zakładowe, w których – jak w przypadku Volkswagena – większość mają związkowcy i politycy, nie będą w stanie zmieniać się odpowiednio szybko. Nie lepsza sytuacja panuje w przemyśle chemicznym, drugim pod względem znaczenia sektorze niemieckiej gospodarki. W pierwszej połowie 2026 r. firma chemiczna BASF zredukowała więcej miejsc pracy niż w dwóch poprzednich latach łącznie, a to dopiero początek „odchudzania".

TECHNOLOGICZNY ZAŚCIANEK

Niemcy od lat są coraz mniej atrakcyjne dla zagranicznych inwestorów. Według badania firmy konsultingowej EY w 2025 r. liczba ogłaszanych inwestycji bezpośrednich spadła ósmy rok z rzędu, osiągając najniższy poziom od 2009 r. Inne kraje europejskie już dawno odrobiły pracę domową, cyfryzując administrację i upraszczając systemy podatkowe. Niemcy od lat mówią o reformach, ale działania nie są podejmowane. Z badań Instytutu DIW wynika, że od 2015 r. niemieckie firmy straciły 15 proc. udziału w rynku produktów przemysłowych o najwyższych marżach i „wkładzie" nowatorskich technologii. To wyjaśnia, dlaczego samochody produkowane przez BMW czy Mercedesa są w wielu segmentach mniej innowacyjne i nowoczesne niż ich tańsze chińskie odpowiedniki. Jak zauważył komentator liberalnego FAZ, od utworzenia SAP (firmy softwarowej), czyli od 1972 r., żaden start-up w Niemczech nie osiągnął kapitalizacji rynkowej na poziomie 100 mld euro, podczas gdy w tym samym czasie w Ameryce powstało co najmniej pół tuzina koncernów, dziś wartych więcej niż 1 bln euro.

Nawet niemieckie banki nie liczą się już w Europie. Po przejęciu Commerzbanku przez Włochów z UniCredit – czemu energicznie, ale nieskutecznie sprzeciwiał się rząd Merza – największym pozostającym w niemieckich rękach bankiem jest Deutsche Bank. Tyle że jest on co najwyżej europejskim „średniakiem", bo kapitały, którymi dysponuje, wynoszą mniej więcej połowę tego, co mają do dyspozycji najwięksi rywale w Hiszpanii (Santander), Francji (BNP Paribas) czy właśnie we Włoszech.

Co gorsza, rząd nie wie, jak przezwyciężyć gospodarczego pata.

Fot. East News

eprasa.pl c25b34d838

NIE TYLKO ZBROJENIOWE MIRAŻE

Polityka zbrojeń, która ma na celu również pobudzenie gospodarki – bo 80 proc. zamówień jest plasowanych w niemieckim sektorze zbrojeniowym – nie przyniesie oczekiwanych efektów. „Nic nie jest kosztowniejsze dla społeczeństwa niż groteskowa nieefektywność zbrojeń" – powiedział Moritz Schularick, prezes Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej, którego think tank opublikował właśnie raport na temat niemieckiej polityki zbrojeniowej. Zdaniem tego ekonomisty dotychczasowe zakupy sprzętu przez Berlin – a trzeba pamiętać, iż rząd Merza przeforsował zwiększenie długu publicznego na zbrojenia i rozbudowę armii o 500 mld euro – są „całkowicie szalone", bo politycy, zamiast inwestować w najnowsze technologie, kupują „złom", czyli czołgi i stare systemy, których pozyskanie ani nie zmieni sytuacji gospodarczej, ani tym bardziej nie poprawi efektywności i zdolności sił zbrojnych do działania.

Podobnie jest z niemieckimi wydatkami na infrastrukturę komunikacyjną, bo, jak się okazuje, pieniędzy – w związku z zaniedbaniami ostatnich dziesięcioleci – i tak jest zbyt mało, a na dodatek nie są one wydawane na drogi czy linie kolejowe, lecz na łatanie dziur budżetowych. Komentatorzy piszą o „upadku" Deutsche Bahn, bo wskaźnik punktualności państwowych linii kolejowych wynosi 52 proc., a szczytem aspiracji jest osiągnięcie 60 proc.

POLITYCZNE TRZĘSIENIE ZIEMI

Frank Lübberding, komentator „Die Welt", napisał, że powodem kryzysu – oczywiście oprócz trendów ekonomicznych – jest niemiecki system polityczny. Jego zdaniem różnice między partiami głównego nurtu są niewielkie, a zmiana rządów nie prowadzi do rewizji polityki. Wyborcy czują się oszukani i przenoszą swoje poparcie na formacje antysystemowe, co dodatkowo zmniejsza pole manewru głównych formacji, które boją się podejmowania odważniejszych decyzji, czując, że nie mają na to demokratycznego mandatu. Już we wrześniu niemiecką politykę może czekać kolejny, dramatyczny wstrząs – wybory do wschodnioniemieckich landów, gdzie AfD ma szansę nawet na samodzielne rządy.

AfD prowadzi w Saksonii-Anhalt kampanię pod hasłem 45+, co jest odniesieniem do wyniku, który chce osiągnąć ta partia. Na razie formacja, która w sondażach uzyskuje 41–42 proc. poparcia, nie może być pewna, iż obejmie władzę w landzie. Jak zauważył Thomas Jansen, komentator liberalnego „Frankfurter Allgemeine Zeitung" najwięcej – jeśli chodzi o zaplanowane na 6 września wybory – zależy od kampanii przeciwników. FDP i Zieloni balansują na progu 5 proc., także CDU może zmniejszyć stratę do lidera.

Jednak nastroje w rządzącej chadecji po ostatnich aferach są dramatyczne i trudno się spodziewać, że w czasie wakacji politycy wznieśli się na wyżyny aktywności. Nie trzeba nawet pogłębionych badań socjologicznych, aby wiedzieć, jak bardzo niepopularne w tym wschodnioniemieckim landzie są partie łączone przez wyborców z establishmentem. Wszystkie, nie tylko wchodzące w skład koalicji rządzącej. Korespondenci lewicowego „Tageszeitung" pisali z nieskrywanym żalem, że w dniu, w którym AfD rozpoczęła w Magdeburgu swą kampanię, na demonstrację jej przeciwników przyszło raptem 300 osób. Tymczasem by uczestniczyć w wiecu wyborczym AfD, „ustawiały się długie kolejki", a na stronie partii swój akces zgłosiło 3 tys. osób chcących wspierać kampanię Ulricha Siegmunda, lidera tej formacji i kandydata na przyszłego premiera landu.

Jeśli wygra on wybory, to ze względu na zapisy niemieckiej konstytucji rządzenie Republiką Federalną stanie się znacznie trudniejsze niż obecnie. Rząd raczej nie wdroży niezbędnych reform, z których wypracowaniem i tak ma wielkie problemy, a na dodatek dojdą nowe wyzwania. Choćby w zakresie bezpieczeństwa i polityki międzynarodowej, bo Siegmund, pytany pod koniec lipca przez dziennikarzy, oświadczył, że „zdecydowanie opowiada się przeciwko sankcjom i za przystępną cenowo energią, niezależnie od kraju pochodzenia". Doprecyzował następnie, że ma na myśli dostawy gazu i ropy naftowej z Federacji Rosyjskiej. Dziennikarze „Die Welt" ujawnili też, że władze federalne zastanawiają się, co zrobić, jeśli zagrożenie ze strony Rosji dla państw wschodniej flanki zacznie narastać, a wschodnimi landami – bo prócz Saksonii-Anhalt we wrześniu odbędą się również wybory w Meklemburgii-Przedpomorzu, gdzie na czele stawki, choć z mniejszą przewagą, także jest AfD – będą rządzić politycy przychylni wobec idei kooperacji i porozumienia z Moskwą. Chodzi przede wszystkim o kwestie logistyki wojskowej, bo transporty wojska i sprzętu z holenderskich i zachodnioniemieckich portów muszą dotrzeć na Wschód. Problem sprowadza się do tego, że będą się one przemieszczać w czasie pokoju, zanim jeszcze wybuchnie gorący konflikt, NATO-wska polityka odstraszenia Rosji zakłada bowiem szybkie przerzucenie oddziałów. W czasie pokoju obowiązują jednak niezwykle zbiurokratyzowane reguły uzyskania pozwoleń dla transportów specjalnych. W Niemczech to obszar odpowiedzialności landów i dlatego eksperci obawiają się, że jeśli tymi położonymi na wschodzie będą rządzić „przyjaciele Moskwy", to na szybki transport wojska nie ma co liczyć.

Jak ujawnił w ub.r. dziennik „Financial Times", już po wybuchu wojny na Ukrainie Francuzi chcieli przerzucić do swych baz w Rumunii dodatkowe siły, jednak biurokratyczna mitręga, z jaką musieli się mierzyć w Niemczech, skłoniła ich ostatecznie do wyboru drogi morskiej – do greckich Salonik i dalej przez Bułgarię. Stało się to w czasie, kiedy nikt w Niemczech celowo tego nie utrudniał. Po prostu przełamanie biurokratycznych barier zajęło 45 dni, a Francuzom się spieszyło.

Jeśli AfD wygra wybory w Saksonii-Anhalt, to może się okazać, że opisywany przez niektórych politologów czarny scenariusz, który przewiduje, iż w 2033 r. partia ta będzie rządziła Niemcami, stanie się coraz bardziej realny. Narzędziem otwierającym jej drogę do fotela kanclerza może być wymuszenie zakończenia wojny kosztem ustępstw na rzecz Rosji. Taka jest cena nieudolnych rządów Merza, który niezależnie od składanych obietnic nie jest w stanie osiągnąć pożądanych celów. Warto, aby pamiętali o tym ci polscy politycy, który „bardziej boją się bezczynności Berlina", bo jego aktywność w obecnej formule wcale nie prowadzi do korzystnego dla Polski rezultatu.

eprasa.pl c25b34d838

Granica wolności słowa

W Oksfordzie, malowniczo położonym w dolinie Tamizy, zwanym „miastem rozmarzonych wież", pod koniec czerwca br. wydarzył się prawdziwy brytyjski koszmar. W samym centrum miasta zderzyły się dwa obozy protestujących, a policjanci w żółtych kamizelkach desperacko walczyli o utrzymanie kruchego pokoju.

Jedni przybyli przed budynek mieszczący Oxford Union, studenckie stowarzyszenie dyskusyjne, by poprzeć Tommy'ego Robinsona, znanego prawicowego aktywistę, założyciela English Defence League. Drudzy, by próbować zagłuszyć, a nawet uniemożliwić jego wystąpienie.

Tego wieczoru debatowano bowiem, czy „Zachód ma prawo być nieufny wobec islamu?". To zagadnienie kontrowersyjne i najwyraźniej niewygodne dla lewicowych protestujących, którzy wznosili okrzyki: „Nie dla rasistów!", „Precz z faszystowskimi szumowinami!" oraz „Wsadzicie sobie brytyjskie flagi w tyłek!". Propalestyńscy aktywiści szarpali się z dziennikarzami i pluli na tych, którzy kupili bilety na debatę i usiłowali wejść do budynku na końcu

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

St Michael's Street. Robili to na tyle skutecznie, że ostatecznie sala została zapełniona w mniej niż jednej trzeciej. Zdjęcia przedstawiały ponury obraz pustych rzędów drewnianych ławek. Tymczasem uczestnicy debaty, jak były aktor Laurence Fox, lider partii Reclaim, potrzebowali pomocy ochroniarzy, by bezpiecznie na nią dotrzeć. Według „The Daily Telegraph" policyjna oprawa imprezy kosztowała brytyjskich podatników ponad 80 tys. funtów.

CYWILIZACYJNY DŻIHAD

Nic więc dziwnego, że treść debaty nie odbiła się wówczas zbyt głośnym echem. Dopiero teraz, gdy nagrania z niej zostały opublikowane w sieci, stały się wiralem. A występy debatujących – trzech po każdej stronie – zostały rozebrane na czynniki pierwsze.

Za nieufnością wobec islamu opowiedzieli się wymienieni już Laurence Fox i Tommy Robinson, a także pisarz i publicysta „The Spectator" Jonathan Sacerdoti.

Fox bez ogródek porównał islam do faszyzmu, mówiąc, że oznacza on „uległość". „Moje podejrzenia wobec islamu są silne i uważam je za całkowicie uzasadnione. Islam to wszechstronna doktryna społeczna, polityczna i militarna, która nie pozostawia żadnego aspektu życia swoich wyznawców nietkniętego. Jest to bardziej bezlitosna machina wojenna niż religia. Islam to ekspansja bez granic, której jedynym celem jest poddanie świata Allahowi" – przekonywał.

Z kolei Sacerdoti wymienił Bractwo Muzułmańskie jako narzędzie „cywilizacyjnego dżihadu", którego celem jest „cicha transformacja społeczeństw Zachodu od środka", aż „religia Allaha stanie się dominująca nad wszystkimi innymi religiami". Jego zdaniem naprzeciw tej inwazji stoją „naiwne i poprawne politycznie zachodnie społe-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl c25b34d838

Oksfordzka debata o tym, czy Zachód słusznie podejrzliwie patrzy na islam, wywołała ogromne kontrowersje. Protestujący zablokowali wejście na salę, a dyskutanci broniący islamu określili go jako antidotum na bolączki Zachodu, jak „alkohol, prostytucja, narkotyki i lichwa"

czeństwa". Jak podkreślił, wolałby nie rozmawiać o islamie, ale „islam wciąż wdziera się do mojego życia, narzuca mi swoje zasady". „Przyszedłem tu z miłością w sercu, miłością dla Zachodu, jego wartości. Nienawiść jest po drugiej stronie" – dodał.

Sacerdoti wymienił ataki na Salmana Rushdiego, autora „Szatańskich wersetów", jako przykład „średniowiecznej nietolerancji" muzułmanów, „próbujących zamordować tłumaczy jego książki i palących te książki publicznie". Mówił także o licznych zamachach dokonanych w imię Allaha, których autorzy uważali się za żołnierzy na świętej wojnie. „Czy widzicie ten wzór? Bo ja go widzę!" – dodał.

LEDWO ZAWOALOWANA GROŹBA

Także Robinson starał się dowieść, że islam nie jest religią pokoju, a muzułmanie wcale nie są – wbrew deklaracjom ich liderów – gotowi do zawarcia kompromisu z przedstawicielami innych cywilizacji. „Są gotowi znaleźć wspólną płaszczyznę tak długo, jak długo tą wspólną płaszczyzną jest islam" – zaznaczył. Robinson dodał, że w 24 krajach muzułmańskich homoseksualizm jest karany – w 8 z nich śmiercią – „zgodnie z zapisami Koranu". Podobnie jak cudzołóstwo. Ponadto założyciel English Defence League stwierdził, że działania ISIS, w tym ścinanie głów, „nie były sprzeczne z Koranem, bo sam prorok Mahomet ściął wiele głów, w tym 900 członkom podbitego plemienia żydowskiego".

Przypomniał także, że Mahomet miał ponad 50 lat, gdy poślubił Aishę, która miała wówczas 6 lat, „a małżeństwo zostało skonsumowane, gdy miała 9 lat". „Dziś w wielu krajach muzułmańskich wydawanie za mąż dziewczynek jest czymś normalnym. Który z panów obecnych na sali to popiera? Proszę podnieść ręce" – ironizował, by skończyć słowami: „Mahomet nie jest dobrym przykładem do naśladowania, tymczasem muzułmanie go za takiego uważają, i tu leży problem".

Jego słowa wywołały ogromne oburzenie na sali. Gdy studentka Aisha Khan Aziz weszła na mównicę, by przedstawić oponentów Robinsona, Foxa i Sacerdotiego, brzmiała nieco złowrogo: „Stephen [Robinson tak naprawdę nazywa się Stephen Christopher Yaxley-Lennon – przyp. red.], na zewnątrz zebrał się tłum ludzi protestujących przeciwko tobie. Gdyby nie ochrona i hojność muzułmańskiej przewodniczącej [Oxford Union – przyp. red.] oraz komitetu wykonawczego złożonego głównie z przedstawicieli Azji Południowej, byłbyś dosłownie ugotowany" – mówiła. Robinson się śmiał i być może miał to być żart, ale odkąd nagranie zostało opublikowane w sieci, jest odbierane jako ledwo zawoalowana groźba.

Zresztą inicjatorka debaty, wymieniona przez Aishę Khan Aziz przewodnicząca Oxford Union Arwa Elrayess, starała się podkreślić przy każdej okazji, jak bardzo jest tolerancyjna i otwarta na różne poglądy oraz jak wielką ofiarę poniosła, by zorganizować debatę (zresztą wielokrotnie przekładaną). I jak tolerancyjni są więc również umiarkowani muzułmanie.

MĄDROŚCI OSAMY

Był to zresztą główny argument dyskutantów odrzucających tezę, że należy pozostać nieufnym wobec islamu.

eprasa.pl c25b34d838

Obok Elrayess byli to dawny poseł Partii Konserwatywnej, gorliwy katolik Jacob Rees-Mogg, konwertyta Dowie Al-Rijal oraz aktywista Abdullah Al-Andalusi, który kiedyś pod nazwiskiem Mouloud Farid na zlecenie brytyjskiego rządu zwalczał terroryzm – jak można przeczytać na łamach „The Daily Telegraph". Jednocześnie w wolnym czasie przekonywał w ramach „Islamskiego Forum Debat", sponsorowanego przez Arabię Saudyjską, że ISIS „nie różni się od zachodnich armii", niemuzułmanin „trafia do piekła", a brytyjski rząd „chce zniszczyć islam". Gdy jego podwójne życie wyszło na jaw, został zwolniony z pracy, ale bynajmniej nie zniknął z brytyjskiego życia publicznego.

Al-Andalusi mówił więc o tym, że sprawcy zamachów to „nie są prawdziwi muzułmanie", a koronną zasadą islamu jest „żyć i dać żyć innym". Przy tej okazji zacytował Osamę bin Ladena, który miał powiedzieć, że „jeśli Zachód da nam spokój, to i my damy mu spokój". „Oni nigdy nie twierdził, że Koran mówi, iż należy zabijać niewiernych" – dodał. Zabrzmiało to wręcz komicznie, biorąc pod uwagę, że Bin Laden zlecił zamachy z 11 września 2001 r., w których zginęło ponad 3 tys. osób.

Tymczasem konwertyta Al-Rijal argumentował, że islam stanowi wartościową alternatywę dla „alkoholu, narkotyków, pornografii i lichwy". Alternatywę dla „grzechów tego świata". Dla Weinsteinów i Epsteinów. A zabijanie choćby homoseksualistów w krajach islamskich to tylko „odpowiedź na Zachód, który ten homoseksualizm stworzył i promuje" oraz „eksportuje do krajów muzułmańskich", gdzie jest „czymś obcym".

Elrayess tymczasem stwierdziła, że w debacie chodziło o to, by odpowiedzieć na pytanie, czy powinniśmy być nieufni wobec islamu jako religii, a nie „wobec niektórych jego wyznawców", jak wymienieni przez Sacerdotiego liczni zamachowcy i terroryści. Bo ci – zdaniem przewodniczącej Oxford Union – oczywiście nie mają z islamem nic wspólnego, a każdy werset z Koranu, który nawołuje do przemocy, jest po prostu błędnie interpretowany. „Zapewniam, że ja również, jak wielu muzułmanów, jestem nieufna wobec tych ludzi i radykalnych organizacji, z którymi są związani" – argumentowała. „Islam nie jest nietolerancyjny" – podkreśliła jeszcze raz.

CHWILE GROZY

Zachód jest bezpieczny, a islam otwarty i tolerancyjny, od czego trzeba odjąć kilku wyznawców, którzy ewidentnie źle go zrozumieli. Tyle że podczas debaty Laurence Fox wystawił tę tolerancję na ciężką próbę, podobnie jak deklarowaną przez Elrayess chęć obrony wolności słowa.

Zachód jest bezpieczny, a islam otwarty i tolerancyjny, od czego trzeba odjąć kilku wyznawców, którzy ewidentnie źle go zrozumieli. Tyle że podczas debaty Laurence Fox wystawił tę tolerancję na ciężką próbę, pokazując brązową kopertę

Jak opisuje Sacerdoti na łamach „The Spectator", razem z liderem partii Reclaim przygotował brązową kopertę, na której umieścił litery C.H., oznaczające Charlie Hebdo. Na początku swojego wystąpienia Fox uniósł kopertę do góry, ostrzegając publiczność, że zawiera karykaturę, którą chce im pokazać później. „Większość początkowo nie zareagowała, ale kilka minut później, gdy po raz drugi sięgnął po kopertę, ława opozycji podskoczyła jak stado drzemiących kotów, które usłyszały nagły hałas" – opisuje Sacerdoti. „Moja żona poprosiła mnie, bym tego nie pokazywał z obawy przed reperkusjami dla mojej rodziny" – zaznaczył Fox. „Ale powiedziałem jej, że gdybym tego nie zrobił, podporządkowałbym się islamowi" – dodał. „Mówcy opozycji i ich goście wiercili się na siedzeniach, przerażeni samą sugestią, że wkrótce zostanie ujawniony rysunek Mahometa – i to nie byle jaki, tylko »ten rysunek«" – czytamy na łamach „The Spectator". Zgodnie z przewidywaniami, maski opadły. Arwa, która cieszyła się swoimi 15 minutami sławy jako samozwańcza obrończyni wolności słowa w Wielkiej Brytanii, zerwała się na równe nogi z okrzykiem.

Według Sacerdotiego, „gdy Laurence powoli odwijał sznurek spinający staromodną, brązową kopertę, czas się zatrzymał. Publiczność wstrzymała oddech i nerwowo się zaśmiała, gdy wyjął jej sprośną zawartość. Karykaturę Jacoba Rees-Mogga" – czytamy. Na sali było czuć wyraźną ulgę. Można, a nawet należy śmiać się z byłego brytyjskiego posła, ale nigdy z Mahometa. Tu najwyraźniej leży granica wolności słowa.

CZEGO SIĘ BOICIE?

Rees-Mogg był zresztą ostatnim mówcą debaty i jedynym niemuzułmaninem po stronie oponentów. Po długim wywodzie o tym, że Zachód skorzystał na istnieniu świata islamu – jako przykład podał wynalezienie liczb, które przyczyniło się do powstania współczesnego kapitalizmu, „wzbogacającego nas wszystkich" – ostatecznie doszedł do wniosku, że nie boi się islamu, bo „chrześcijańskie fundamenty Zachodu są wystarczająco silne, by nic im nie mogło zagrozić". „Czego wy się właściwie boicie?" – pytał.

Na zakończenie wyciągnął z kieszeni małe pudełko, które według niego zawierało relikwię – cząstki drewna z krzyża, na którym zmarł Jezus Chrystus. „Christus vincit! Christus regnat! Christus imperat!" – zawołał na tle pobladłych twarzy swoich współdyskutantów. Ostatecznie jednak to oni wygrali debatę – po głosowaniu obecnych na sali – 57 do 41. Nie powinno to nikogo dziwić. W 1933 r. Oxford Union zorganizowało debatę o tym, czy należy walczyć za kraj i króla. Odpowiedź „nie" zwyciężyła decydującą większością głosów. Tak już tam mają, w tym Oksfordzie.

eprasa.pl c25b34d838

Fot. PAP

Rozwój Plus, czyli PiS minus rewolucja

Stowarzyszenie Rozwój Plus wyszło na pozycje umożliwiające mu układ z obozem władzy, choćby za cenę przełamywania prezydenckiego weta. A jego programowa nadprodukcja to jedynie wyprzedaż starych haseł z planu Morawieckiego. Takie są skutki rewolucji odwołanej w 2018 r.

MACIEJ WALASZCZYK

Neoliberalne hasła nieustannego wzrostu utraciły siłę, liberalna wiara w świetlaną przyszłość przegrała w sferze symbolicznej. Lecz liberalizm nie tyle został pokonany, ile zapadł się pod własnym ciężarem. Atakująca go prawica nie zastąpiła go jednak nowymi rozwiązaniami, dzięki czemu nie utracił on swej władzy.

W polskich warunkach hasło „rozwoju" zostało wyniesione przez zwolenników Mateusza Morawieckiego z arsenału PiS, które przez lata, choćby akcentując konieczność budowy podmiotowości w Europie, nadawało mu konkretne znaczenie. Na zewnątrz to tylko miłe dla ucha wyborców, ale pozbawione siły neutralne narzędzie używane przez prawicę i lewicę. Innymi słowy, składana przez lewicę obietnica postępu, nowoczesnego życia w nowoczesnym otoczeniu, w nowoczesny sposób, obietnica politycznego zbawienia w nieokreślonej przyszłości. Słabe echo hasła „Wybierzmy przyszłość" lub leninowskiej „władzy Rad i elektryfikacji"

eprasa.pl c25b34d838

wyrażonej w propagandowej sowieckiej kreskówce „Plus elektryfikacja".

TECHNOKRATA Z EXCELEM

„Ten facet ciągle wszystko kalkuluje Excelem" – stale powtarza mi jeden ze znajomych. Słuchając charakterystycznego sposobu ujmowania spraw przez byłego premiera, jestem skłonny uwierzyć, że właśnie tak widzi on politykę. Jest wręcz wzorcowym technokratą, rozumiejącym życie w kategoriach koniunktur i procesów, gdzie ludzi przesuwa się niczym pionki na planszy, traktując jako element „realizacji projektów". „Technokrata staje się kapłanem, a zmechanizowani ludzie tworzą masy wiernych" – zauważył Thomas Molnar.

Mateusz Morawiecki był związany z bankowością już od połowy lat 90. XX w., politycznie orbitując wokół wrocławskiego establishmentu. W marcu 2010 r. jako prezes zarządu Banku Zachodniego WBK wszedł w skład wąskiego grona współpracowników Donalda Tuska. Radę Gospodarczą pod kierunkiem jednego z liderów dawnego KLD Jana Krzysztofa Bieleckiego tworzyli oprócz niego m.in. ówczesny prezes PZU Andrzej Klesyk, ekonomista Witold Orłowski i socjolog Ireneusz Krzemiński, jeden z fanatycznych wręcz krytyków PiS. Czytając exposé Donalda Tuska z 2011 r., momentami widać jakby Morawieckiego. W 2013 r. jako prezes banku WBK finalizował fuzję z Kredyt Bankiem i zapowiadał, że pod szyldem Santander uczyni go drugim bankiem w Polsce. Porzucił jednak plany ekspansji, wchodząc do rządu PiS. Dla wąskiego grona wtajemniczonych nie było to zaskoczeniem, ale dla wyborców Prawa i Sprawiedliwości pozostawał postacią kompletnie nieznaną. Dziś kreuje się niemal na ich wybawiciela: „Mógłbym siedzieć w Nowym Jorku albo Londynie i zarabiać 15 mln dol. rocznie" – oświadczył w jednym z ostatnich wywiadów.

Jednak debaty prowadzone podczas tzw. grilla u Morawieckiego kompletnie nie zaskoczyły, przypominając to, co jako premier serwował przez prawie sześć lat swego urzędowania – a właściwie od momentu wejścia do rządu Zjednoczonej Prawicy na stanowisko wicepremiera ds. gospodarczych w listopadzie 2015 r. Był to czas szczególny, bo rządy prawicowej większości i stworzony wtedy nowy układ w Sejmie okazały się absolutnie wyjątkowe. Poprzedziło je prezydenckie zwycięstwo Andrzeja Dudy i jednocześnie spektakularna porażka Bronisława Komorowskiego, kończąca jego karierę polityczną. Ten system leżał na deskach, przynajmniej przez długi czas oszołomiony utratą wiary dużej części dotychczasowych zwolenników PO i PSL. Jednocześnie PiS to niemal od początku ugrupowanie o potencjale rewolucyjnym. Choć zdolne do taktycznych zwrotów, przez całe otoczenie polityczne było odbierane jako monstrum, zdolne wywołać silne wstrząsy systemowe, choćby takie jak likwidacja WSI i dezubekizacja lub reforma sądownictwa.

> Mateusz Morawiecki i wielu jego dzisiejszych współpracowników wysiedli z pisowskiego pociągu, który nie daje dziś władzy, pieniędzy i obietnicy łatwego powrotu na stanowiska. W podjęciu tej decyzji pomogła również porażka Viktora Orbána

ODWOŁANA REWOLUCJA

Szokujące było jednak to, że właśnie rewolucyjne PiS, planujące obłożyć podatkiem banki (Rada Gospodarcza Tuska tego nie chciała) czy uregulować sprawę przekrętów na kredytach hipotecznych udzielanych we frankach uczyniło bankowca twarzą polityki gospodarczej.

Stało się więc to, co obserwujemy we wszystkich państwach, w których do władzy doszła antyestablishmentowa prawica. Populizm okazał się jedynie skuteczną strategią obalenia silnie zakorzenionej władzy, ale zajmując jej miejsce, po pewnym czasie miękł. To w końcu odwieczny problem rewolucjonistów starających się utrzymać ster rządów, gdy buntowniczej energii wystarcza tylko na pewien czas.

W 2018 r. Jarosław Kaczyński postanowił więc odwołać „rewolucję", redukując ją do „rozwoju" i wymienić premier Beatę Szydło. Już rok wcześniej rząd przyjął Strategię na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju (SOR), a więc dokument, który miał nakreślać plany rozwoju i transformacji polskiej gospodarki. Mieliśmy się stać m.in. potęgą w dziedzinie dronów, samochodów elektrycznych czy w przemyśle stoczniowym. Luxtorpeda, E-Bus, Samochód Elektryczny, Batory, Inteligentna Kopalnia – dziś te projekty brzmią niemal jak wyjęte z programu grilla wraz rozdawaną za darmo pieczoną kiełbasą i hasłem „Polski w smartfonie".

„Laboratorium idei" tak jak zapomniany dokument nazywany „Planem Morawieckiego" okazało się jedynie wyprzedażą pomysłów, oferowanych już wielokrotnie. Choć zakładało reindustrializację czy zlikwidowanie dystansu rozwojowego między regionami, sprowadzało się do przekładania pieniędzy z kieszeni do kieszeni, mnożenia wizji, projektów, obietnic, funduszy i podatków, wręcz prowokując wyrośnięcie na prawej flance Konfederacji, pozlepianej z politycznych outsiderów. Niestety to w premierze Morawieckim ujrzeli oni uosobienie politycznego antychrysta, o którym od dziecka opowiadał im Janusz Korwin-Mikke. Zielona transformacja i kapitulacja wobec UE czy Polski Ład stały się samospełniającą się przepowiednią. Zjednoczona Prawica zapłaciła utratą władzy również za całkowicie nieudaną reformę podatkową. Ale ta lista jest dłuższa.

To fiasko bezsensownego programu Bezpieczny kredyt 2 procent, firmowa-

eprasa.pl c25b34d838

nego przez ówczesnego ministra rozwoju i technologii Waldemara Budę, dziś jednego z członków Stowarzyszenia Rozwój Plus. Skorzystało z niego ok. 93 tys. gospodarstw przy jednoczesnym wzroście cen nieruchomości. A likwidacja kopalń i rozbiórka niedokończonego bloku węglowego Ostrołęka C? Choć w 2015 r. PiS dokonało niemożliwego, zdobywając władzę niemal absolutną, to skorzystali z niej ci, którzy nie mieli udziału w jej wywalczeniu. Kończyli swoją misję, sprowadzając Donalda Tuska z powrotem do rządów.

MEDIA KIBICUJĄ ROZBICIU PiS

Dziś trwa festiwal Matusza Morawieckiego i hasła „rozwój". Media chętnie promują nową inicjatywę, bo pojawiła się wyjątkowa okazja do zatopienia wyjałowionego i słabego jak nigdy dotąd PiS. Być może inicjatywa Rozwój Plus to wyprawa po złote runo, a więc wyborców środka, których przejęcie pozwoliłoby na odzyskanie władzy. To mityczne pole werbunkowe dla wszelkich inicjatyw centrowych, chcących potem coś znaczyć przy podziale politycznych wpływów. Jedna z dziennikarek Kanału Zero mówiła, że Rozwój Plus stanowi ofertę dla normalsów, dość otwarcie przyznając, że ci na prawo od ucywilizowanych już zwolenników Stowarzyszenia normalsami nie są.

Czy wyborcy PSL, Szymona Hołowni albo zawiedzeni rządami Tuska będą więc skłonni poprzeć partię, w której są Olga Semeniuk czy Ryszard Terlecki? Czy rozdawanie pizzy na Jagodnie przekona ich do zmiany zdania? A może finałem będzie zejście się za rok i utworzenie wspólnych list z Prawem i Spraweidliwością? Hasła rozwojowe tracą znaczenie poza PiS, choć w tej chwili można nimi maskować polityczną grę, dzieląc scenę polityczną w poprzek, np. przełamując weta prezydenta Karola Nawrockiego. To wielka pokusa, tak jak możliwość partycypowania w rządzeniu samorządami wojewódzkimi, np. na Dolnym Śląsku, gdzie ludzie Michała Dworczyka gwarantowaliby zwolennikom Michała Jarosa nową stabilną większość.

Historia rozłamów, które miały miejsce w PiS, pokazuje, że politycy szukający nowej szansy lub skonfliktowani z partią kończyli albo jako część obozu Donalda Tuska, albo poobijani i doświadczeni działalnością „na swoim" wracali w orbitę Jarosława Kaczyńskiego. Dziś liderzy duopolu nie są tak silni jak kiedyś, ale dla większości wyborców wciąż stanowią główne punkty orientacyjne w polskiej polityce.

Odchodzący w 2007 r. Marek Jurek chciał zbudować nową, narodowo-konserwatywną prawicę, być dla PiS alternatywą posiadającą zdolność budowy sojuszy. Także wtedy media kibicowały rozłamowi, a pierwsze sondaże dawały miejsca w parlamencie. Rzeczywistość okazałą się trudniejsza, a postępująca polaryzacja zmarginalizowała Przymierze Prawicy. Co ciekawe, czasowe bojkoty telewizyjnych występów prowadzone przez PiS sprawiały, że w dyskusjach musieli brać udział politycy niepisowskiej prawicy. Wyborcy ich jednak nie odróżniali, a ci byli zmuszani do obrony linii politycznej Prawa i Sprawiedliwości.

Wyjście grupy Kazimierza Ujazdowskiego (był w niej też Jan Rokita) dla wyborców było właściwie niewidoczne, choć w 2009 r. istniała w Sejmie inicjatywa o nazwie Polska XXI, a potem Polska Plus (!). Polityczne życie – jak w przypadku Pawła Zalewskiego – dawała jednak albo współpraca z PO, albo szybki powrót do PiS, co uczynili Jarosław Sellin i Jerzy Polaczek.

Sztandarowym rozłamem było oczywiście trwające całymi tygodniami przy wydatnej pomocy TVN24 rozbijanie PiS przez grupę PJN. Był 2010 r., jeden z najtrudniejszych dla partii Jarosława Kaczyńskiego. W katastrofie smoleńskiej zginął nie tylko jego brat i prezydent Lech Kaczyński, lecz także ważni współpracownicy, m.in. Przemysław Gosiewski. Wybory prezydenckie zostały nieznacznie, ale przegrane, w mediach rozpętano zaś kampanię totalnej nienawiści. Z pomocą m.in. Janusza Palikota zrujnowano szczątkową, ale wciąż obowiązującą kulturę polityczną, tworząc nieprzekraczalne dla wielu wyborców podziały. Odejście grupy Michała Kamińskiego, Joanny Kluzik-Rostkowskiej, Pawła Poncyliusza czy Pawła Kowala zakończyło się dla nich w szeregach dzisiejszej KO lub jej satelitów. Inni, jak Adam Bielan, odbyli długą drogę powrotną. Solidarna Polska również zakończyła istnienie przez zjednoczenie z PiS.

SŁABNĄCA SIŁA POPULIZMÓW

Decyzja, by wreszcie „pójść na swoje" i porzucić niewygodną zbroję prawicowego krzyżowca, nie jest zaskoczeniem także z innego powodu. Mateusz Morawiecki i wielu jego dzisiejszych współpracowników było w tej wyprawie pasażerami na gapę, których lider PiS postanowił włączyć do budowy szerokiego obozu władzy. Znakomicie nadawali się do zarządzania spektrum władzy działającej w trybie odwołanej rewolucji. Ale czas opozycji okazuje się trudny. Wysiedli z pisowskiego pociągu, który nie daje dziś władzy, pieniędzy i obietnicy łatwego powrotu na stanowiska. W podjęciu tej decyzji pomogła też porażka Viktora Orbána – polityka, który choć osiągnął niesłychany sukces, został obalony przez czynniki zewnętrzne, a także swoją łagodną imitację w postaci Pétera Magyara.

Poza tym – jak już wcześniej powiedziano – gdy prawicowi populiści, startując często z antyestablishmentowej, a nawet „antysystemowej" platformy, zdobyli już władzę, przyjmowali politykę przyjazną establishmentowi – wielkiej finansjerze, korporacjom, unijnej biurokracji. W całej Europie będący u władzy prawicowi populiści zostali „udomowieni", skłaniając się do przyjęcia formuły konwencjonalnej centroprawicy, niezdolnej do zmiany reguł systemu.

Donald Trump, choć naprawdę zerwał z technokratycznym i globalistycznym neoliberalizmem, nie zastąpił go spójnym programem nacjonalizmu gospodarczego. On i zwolennicy brexitu, Meloni, antyliberalne siły takie jak Orbán i PiS, wykorzystali niezadowolenie „przegranych globalizacji" czy „transformacji", ale mijająca właśnie populistyczna dekada, choć przyniosła drobne korekty, umiera z powodu neutralizacji. Poszukujący swej niszy w centrum Mateusz Morawiecki jest tego idealnym przykładem.

eprasa.pl c25b34d838

Nie tylko ambicje

Opisując rozłam w Prawie i Sprawiedliwości, wielu komentatorów dostrzega rywalizację ambicjonalną. W rzeczywistości konflikt w PiS w sprawie obecności i polityki, a raczej zachowania Mateusza Morawieckiego, toczy się od 2015 r., od początku rządu Beaty Szydło

WITOLD WASZCZYKOWSKI

Było zauważalne, iż Morawiecki nie akceptował społecznej i socjalnej polityki Szydło, Rafalskiej, Szałamachy. Ze względu na sukcesy polityki społecznej oraz międzynarodowej (obecność NATO w Polsce, wizyta Donalda Trumpa, pielgrzymka papieża Franciszka i inne) nie mógł otwarcie kontestować rządu. Jawnie robił to senior Kornel Morawiecki, tymczasem junior urządzał prezesowi PiS indywidualne seminaria ekonomiczne na Nowogrodzkiej. Pokazywał wizje przyspieszonego rozwoju i prezentował siebie jako realizatora przyspieszenia.

Jesienią 2017 r. rozpoczęła się wewnętrzna dyskusja o „rekonstrukcji" rządu. Namawiano Jarosława Kaczyńskiego, aby stanął na jego czele. Przejąłby sukcesy na własne konto oraz zakończyłby rzekomy dualizm decyzyjny. Co prawda premier Szydło zachowywała się bardzo lojalnie wobec prezesa PiS, ale jej popularność drażniła najbliższe jego otoczenie. Prezes Kaczyński wahał się. Nie mógł zarządzać krajem jak w latach 2006–2007. Traktat lizboński zmienił Unię Europejską. Obowiązki premiera znacznie rozszerzono o politykę europejską, tymczasem prezes nie lubił zajmować się problemami międzynarodowymi. Utrzymywał, że polityką zagraniczną nie wygrywa się wyborów. Zakładał, że polityką europejską zajmie się minister spraw zagranicznych, np. Krzysztof Szczerski, ekspert w sprawach unijnych. Jako szef rządu nie mógłby się jednak odciąć od spraw europejskich. Uświadomiono mu, że jeśli nie będzie jeździł do Brukseli, to Europa przyjedzie do niego z decyzjami do przyjęcia. To zniechęciło prezesa do fotela premiera. I tu zjawia się Mateusz Morawiecki z ofertą przyspieszenia oraz porozumienia się z Unią.

Fot. Andrzej Skwarczyński

POLITYKA USTĘPSTW Z BRUKSELĄ

Rząd Beaty Szydło prowadził dialog z UE, wyjaśniając reformy PiS. Twardo odrzucał próby rozszerzenia kompetencji Komisji Europejskiej poza obszary traktatowe. W lutym 2016 r., na prestiżowej konferencji w Monachium, odpowiedziałem Fransowi Timmermansowi, że nie będzie nam interpretował naszej konstytucji. Wyjaśnialiśmy, że debata w Polsce na temat praworządności była sporem politycznym. Taka też była konkluzja raportu Komisji Weneckiej w 2016 r.

Morawiecki przekonał prezesa PiS, że zdoła porozumieć się z Komisją Europejską. Przekonywał do łagodniejszej polityki i swojego obycia międzynarodowego. Wspierał go Konrad Szymański. Zapomniał jednak poinformować, że porozumienia będzie poszukiwał przez negocjacje i ustępstwa. Zapyta ktoś, co jest złego w negocjacjach. Otóż podjęcie rozmów z Komisją w sprawie praworządności było równoznaczne z przyznaniem Brukseli prawa do ingerencji w nasz wymiar sprawiedliwości. Ustrój prawny państw członkowskich nie był częścią regulacji traktatowych. Nie istniał żaden europejski wzorzec.

Kandydatura Morawieckiego na premiera zniechęciła Szczerskiego do MSZ. Rozumiał, że nie miałby żadnej autonomii w kształtowaniu polityki europejskiej. Pospiesznie wyszukano Jacka Czaputowicza – eksperyment – jako szefa MSZ, który realizował politykę białej flagi wobec Brukseli.

eprasa.pl c25b34d838

Komisja Europejska z radością powitała kompromisową postawę nowego polskiego premiera. Rozpoczęła proces kuszenia nas kompromisami. Morawieckiego łudzono, że jeszcze jedno ustępstwo i dojdzie do zawarcia kompromisu oraz akceptacji naszych reform. I tak doprowadzono do akceptacji przez polskiego premiera... mechanizmu warunkowości. Polska zgoda na negocjacje z Komisją legitymizowała zatem stworzenie mechanizmu warunkowości dla wszystkich państw członkowskich.

W kraju premier Morawiecki przez długi czas przekonywał, iż mechanizm warunkowości to tylko klauzule zabezpieczające przed malwersacjami finansowymi. Komisja Europejska otrzymała jednak mechanizm dyscyplinujący państwa członkowskie. Tą dyscyplinką szantażowała nas i inne państwa, aby akceptować jej politykę zawłaszczania dalszych, nieobjętych traktatami dziedzin ekonomicznych, społecznych, a nawet kulturowych. I tak Komisja wkroczyła w energetykę, ekologię i klimat, narzucając normy odbiegające od zasad zdrowej ekonomii.

Rząd premiera Morawieckiego dał się wciągnąć w tę politykę ustępstw. Wszelkie rady, aby wetować ideologicznie motywowane projekty Komisji Europejskiej, odrzucał i dyskredytował jako bezskuteczne kapiszony. Szef rządu komunikował się z Polakami żargonem unijnej biurokracji, co miało dowodzić, że panuje nad polskimi interesami w negocjacjach z Brukselą. Tymczasem Komisja szalała i obwarowała KPO – fundusze rekompensujące straty po pandemii COVID-19 – tzw. kamieniami milowymi, licznymi warunkami w wielu dziedzinach politycznego i ekonomicznego życia państwa. Rząd akceptował te warunki, a nawet proponował dodatkowe, aby tylko usatysfakcjonować Komisję. Obserwowałem tę samobójczą politykę z perspektywy europarlamentu. Bruksela w porozumieniu z opozycją w Polsce mroziła jednak fundusze. Wbrew tej sytuacji rząd obiecywał Polakom pozyskanie od UE 770 mld zł. Brak tych pieniędzy brutalnie wykorzystano w kampanii wyborczej przeciw rządowi PiS. Tuż przed wyborami dobiła nas rzekoma afera o sprzedaży wiz na straganach w Afryce, nieumiejętnie wytłumaczona przez kolejny eksperyment w MSZ. I tak polityka zagraniczna przyczyniła się do słabego wyniku PiS oraz utraty rządu.

ROZWÓD ZAMIAST KOREKTY POLITYKI

Morawiecki utrzymuje, że prezes Kaczyński wszystko akceptował. To prawda, ale czynił to na podstawie mocno spreparowanych opowieści na temat polityki Komisji Europejskiej. Premier dezinformował prezesa, by uzyskać jego zgodę na decyzje, które uzgodnił z KE. Jako były bankier uważał, że zdobycie funduszy jest warte wszelkich ustępstw. Nie rozumiał, że Komisja arbitralnie i uznaniowo wytyczała normy i pod nie zarządzała pieniędzmi. Nie przyszło mu go głowy, że wstrzyma KPO, by w Polsce wygrali ludzie kierujący się dyrektywami Komisji i poglądami Berlina na Europę. Wierzył, że swoimi ustępstwami zasłużył na akceptację. To był błąd. Wprawdzie pozostawał globalistą i unijczykiem, ale pomijał fakt, że Berlin wspiera tylko swoich ludzi.

Zwróciłem na to uwagę byłemu już premierowi w styczniu 2024 r. na spotkaniu z europosłami EKR. Niestety odrzucał on takie uwagi. Bezrefleksyjnie bronił swojej polityki wobec Unii. To prowadziło do napięć w PiS. Zamiast refleksji nad błędną polityką, kampania wyborcza do Parlamentu Europejskiego w 2024 r. stała się etapem budowania własnej frakcji w Prawie i Sprawiedliwości. Faworyci byłego premiera dysponowali znacznymi funduszami i wsparciem logistycznym. Zdobyli mandaty europejskie. Niestety cała sekcja polityków PiS zajmujących się sprawami międzynarodowymi z Jackiem Saryuszem-Wolskim na czele została wyeliminowana z europarlamentu. To zjawisko po czasie dostrzegł prezes Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla Kanału TAK!

> Grill 31 lipca pokazał chęć nowej formy dialogu politycznego, nie zaprezentowano jednak żadnych nowych treści. Debaty wskazały, że nowy twór polityczny wielkomiejskiej inteligencji marzy o zaistnieniu na salonach III RP. Rozwój Plus jest kolejną odsłoną starej iluzji o zagospodarowaniu mitycznego centrum

Zamiast korekty swojej polityki wobec Unii Europejskiej, Mateusz Morawiecki wybrał zatem rozwód z PiS. Znowu wrócił żargon salonów europejskich o rozwoju i nowym, łagodniejszym dialogu ze środowiskami umiarkowanymi. Grill 31 lipca br. pokazał chęć nowej formy dialogu politycznego, jednak nie zaprezentowano żadnych nowych treści. Debaty wskazały, że nowy twór polityczny wielkomiejskiej inteligencji marzy o zaistnieniu na salonach III RP. Stowarzyszenie Rozwój Plus jest kolejną odsłoną starej iluzji o zagospodarowaniu mitycznego centrum.

Stowarzyszenie Rozwój Plus jest również kolejną edycją politycznego manewru „wybierzmy przyszłość". Taki zabieg był stosowany w przeszłości jako ucieczka do przodu, odcinanie się od niewygodnej historii. Od czego chce się odciąć frakcja Morawieckiego? Ciekawi mnie, kiedy Mateusz Morawiecki wystąpi ze swoim przesłaniem politycznym w Fundacji Batorego lub podobnej świątyni postępowego liberalizmu.

Zastanawia mnie jednak, czy dla odnowienia starych iluzji warto było dokonywać rozłamu w największej partii opozycyjnej, i to wtedy, gdy perspektywy zwycięstwa wyborczego stawały się bardzo realne.

Autor był ministrem spraw zagranicznych w latach 2015–2018, a w okresie 2019–2024 – posłem do Parlamentu Europejskiego.

eprasa.pl c25b34d838

Kaplica św. Maksymilina Kolbego w Mugenzai no Sono

Japoński Niepokalanów

Relikwiarz zawiera cząstki włosów świętego

14 sierpnia przypada 85. rocznica męczeńskiej śmierci św. Maksymiliana Kolbego, zabitego przez Niemców zastrzykiem fenolu w obozie zagłady Auschwitz. W czerwcu podążyłem jego śladem do Nagasaki, gdzie pamięć o nim nadal jest obecna

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Doktor teologii i filozofii, wydawca, wybitny organizator, wykładowca, założyciel Niepokalanowa, krótkofalowiec, misjonarz – jeszcze długo można by wyliczać, a i tak trudno by było zebrać określenia, w pełni charakteryzujące o. Kolbego. We własnych oczach był przede wszystkim człowiekiem całkowicie oddanym Maryi, posłusznym jej woli, poprzez nią nawracającym i prowadzącym ludzi do Boga.

Nie sposób nie wspomnieć o jego wizjonerstwie podwójnej natury – Maryja miała mu się objawić już w dzieciństwie, dając do wyboru dwie korony: białą, oznaczającą czystość, i czerwoną, symbolizującą męczeństwo. Młody Rajmund (imię Maksymilian przyjął, rozpoczynając nowicjat) poprosił o obie.

Jego działania charakteryzował rozmach, sięgał po najnowsze osiągnięcia techniki, by zaprzęgać je do pracy na chwałę Niepokalanej. Do obsługi utworzonego przez siebie wydawnictwa zbudował drukarnię, magazyny papieru i elektrownię. By chronić je przed ogniem, zorganizował straż pożarną złożoną z braci zakonnych. Jako krótkofalowiec o znaku SP3RN (Radio Niepokalanów) założył pierwszą w Polsce radiostację, której katolicki przekaz docierał do odbiorców na terenie całego kraju. W latach 30. XX w. myślał o stworzeniu telewizji i budowie lotniska przy drukarni, by „Rycerz Niepokalanej" – pisma, którego był redaktorem naczelnym – i inne tytuły szybciej trafiały do czytelników. Wysłał nawet dwóch braci zakonnych na kurs pilotażu! Podczas studiów w Rzymie szkicował projekty rakiety kosmicznej.

JAPOŃSKIE PRAGNIENIE

Taki człowiek, ponadto franciszkanin – a jednym z celów tego zakonu jest ewangelizacja – w 1927 r. wziął

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl c25b34d838

Izba pamięci św. Maksymiliana Kolbego w jego pierwszym domu w Nagasaki

Ikuko Suyama

udział w zjeździe misyjnym w Poznaniu. Powiedzielibyśmy, że nawiązanie bliższego kontaktu z japońskimi studentami, poznanymi w pociągu z Zakopanego niewiele później, to zwykły przypadek. Maksymilian Kolbe wiedział, że to wola Maryi.

Trzy lata później zwierzył się swojemu przełożonemu, że pragnieniem Matki Boskiej jest, by w Japonii powstał drugi Niepokalanów oraz by wydawano tam po japońsku „Rycerza Niepokalanej". Zdziwiony ojciec prowincjał zadał mu trzy pytania: czy ma na to środki, czy zna język i czy na miejscu będzie ktoś, kto wesprze go w tym dziele. Kolbe na wszystkie odpowiedział „nie", ale od razu dodał z przekonaniem: „Niepokalana zaradzi!".

Musiał mieć rację, bo pod koniec kwietnia 1930 r. wraz z czterema innymi franciszkanami zszedł z pokładu statku w porcie w Nagasaki. Zakładając Rycerstwo Niepokalanej, Kolbe chciał zdobyć cały świat dla Maryi – na japońskiej ziemi miał zrobić ku temu kolejny krok.

Nie mając nic, za cel postawił sobie wydanie pierwszego numeru obcojęzycznego „Rycerza Niepokalanej" w ciągu miesiąca od przybycia. Gdy tylko miejscowy biskup Januarius Kyūnosuke Hayasaka (pierwszy w historii japoński duchowny tej rangi) dowiedział się, że Maksymilian Kolbe był doktorem filozofii i do tego studiował w Rzymie, z radością na to pozwolił i okazał pomoc w pracach nad czasopismem. W miejscowym seminarium brakowało akurat nauczyciela z tej dziedziny. Kluczowym elementem tej symbiozy okazała się łacina, dzięki której Kolbe mógł wykładać, a klerycy tłumaczyli z tego języka na japoński artykuły „Rycerza Niepokalanej".

Wytrwałość o. Maksymiliana, nadludzki wysiłek braci i piła o. Zenona Żebrowskiego, którą z braku środków na właściwe urządzenia rozcinano nakład na egzemplarze, oraz pomoc Maryi sprawiły, że nowe dzieło Kolbego stało się ciałem – w zaplanowanym czasie do rąk czytelników trafiło 10 tys. sztuk „Seibo no Kishi" – japońskojęzycznego „Rycerza Niepokalanej".

OGNISTA KULA

O. Maksymilian, zaczynając od zera, zmagając się z trudnościami finansowymi, klimatem, chorobami (przez większość życia walczył z gruźlicą, w Japonii zaniemógł tak ciężko, że do Polski dotarła fałszywa informacja o jego śmierci), osiągnął cel. W 1931 r. kupił ziemię z przeznaczeniem na klasztor franciszkanów w Nagasaki. Miejscowy biskup polecał parcelę w chrześcijańskiej dzielnicy Urakami, w pobliżu Katedry Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, wybór padł jednak na teren na obrzeżach miasta, na stoku góry Hikoyama. Ze względu odległość od centrum i konieczność żmudnego karczowania roślinności na zboczu zakonnicy narzekali na lokalizację, lecz Kolbe nie ustąpił. „Wkrótce spadnie tu ognista kula i wszystko zniszczy" – mówił, że tak Maryja przepowiedziała mu o Urakami.

Mugenzai no Sono (pol. Ogród Niepokalanej) powstał w miejscu wskazanym przez o. Maksymiliana, które

eprasa.pl c25b34d838

Figura św. Maksymilina w Mugenzai no Sono

Msza w Honkouchi

Kielich mszalny ojca Kolbego

Oryginalna cela Maksymiliana Kolbego

okazało się zbawienne. W sierpniu 1945 r. nad Nagasaki wybuchła druga zrzucona na Japonię bomba atomowa. Ze względu na zachmurzenie Fat Man eksplodował 3 km od wyznaczonego celu – nad Urakami. Zgodnie ze słowami Maryi dzielnica – łącznie z murowaną katedrą – legła w gruzach. W kościele Kolbego, oddalonym w prostej linii od epicentrum o 4 km i osłoniętym jedną z gór otaczających miasto, na skutek atomowego wybuchu wypadły jedynie szyby z okien.

Wraz z upływem czasu przybywało braci zakonnych, pochodzących również z Japonii, a w ośrodku dobudowywano kolejne obiekty mieszczące klasztor, seminarium, wydawnictwo i sierociniec. Stworzono też ogród, a w nim grotę z figurą Maryi – na wzór francuskiego Lourdes, gdzie Kolbe modlił się przed podróżą na Daleki Wschód. Japońskie dzieło o. Maksymiliana stało się najważniejszym ogniskiem ewangelizacji i miłosierdzia w całym kraju. W 1936 r. przekazał je w ręce następców i na zawsze powrócił do Polski.

Dalekowschodni Niepokalanów działa nieprzerwanie do dziś i stanowi jedno z najistotniejszych miejsc na katolickiej mapie Japonii.

CZERWONY DYWAN DO ŚWIĘTEGO

Zanim dotarłem do Mugenzai no Sono, skierowałem kroki do Bazyliki Oura, w pobliżu której Maksymilian Kolbe rozpoczynał misję. Pośród straganów z pamiątkami i słodyczami trafiłem na angielskojęzyczny drogowskaz: Aleja św. Kolbego. Choć był to niezbyt imponujący odcinek chodnika, kończył się schodami pokrytymi czerwonym dywanem. Prowadzą one do budynku, na którego fasadzie znajduje się postarzała już pokaźnych rozmiarów plansza ze zdjęciem o. Maksymiliana i niebieska tablica z napisem „Pierwszy dom św. Kolbego w Nagasaki". Tuż przy nim stoi maszt z dumnie powiewającą biało-czerwoną flagą.

Tam poznałem Ikuko Suyamę, Japonkę prowadzącą sklepik z dewocjonaliami i innymi pamiątkami (kawa z podobizną naszego świętego wzbudza lekkie zdziwienie) oraz izbę pamięci polskiego franciszkanina. Sala jest wypełniona planszami opisującymi życie Kolbego ze szczególnym uwzględnieniem jego ostatnich tygodni, gdy przedstawiciele niemieckiej rasy panów umieścili go w obozie zagłady Auschwitz i po nieudanej próbie zagłodzenia zabili zastrzykiem fenolu w serce.

Najcenniejszym eksponatem jest ceglany piec z kominem, którym polscy misjonarze się ogrzewali. To jedyny element oryginalnego domu, który przetrwał do naszych czasów. Jest on wpisany do miejscowego rejestru zabytków, a współczesny budynek został zbudowany tak, by ostaniec mieścił się w jego wnętrzu.

W STRUGACH DESZCZU

Klasztor założony przez o. Kolbego znajduje się w innej części Nagasaki. Całą drogę do niego przebyłem pieszo, by zrozumieć narzekania franciszkanów na jego lokalizację. Panująca duchota, utrzymująca się mimo strug rzęsistego deszczu, i położenie klasztoru na

eprasa.pl c25b34d838

Jedna z maszyn drukarskich wykorzystywanych do druku „Seibo no Kishi” – japońskiego „Rycerza Niepokalanej”

Liczba znaków, a zatem też czcionek, w języku japońskim jest znacznie wyższa niż w łacińskim alfabecie

Brat Zenon „Zeno” Żebrowski

uboczu, daleko poza zasięgiem komunikacji miejskiej, szybko dowiodły, o ile trudniej było pokonać tę drogę braciom w drewnianych chodakach i ciężkich habitach niż mnie w wygodnym obuwiu i przewiewnym ubraniu.

Do Ogrodu Niepokalanej dotarłem całkowicie przemoczony. Japończyk pracujący w tamtejszej recepcji niemal na progu podarował mi suchy ręcznik. Ucieszył się, kiedy usłyszał, że dziwny gość pochodzi z „Poorando”, kraju św. Maksymiliana. Z kupieckim błyskiem w oczach wskazał mi różańce, przy których znajdowała się polskojęzyczna informacja, iż są one ręcznie robione przez jednego z braci zakonnych.

Cała ta instytucja założona przez Kolbego stanowi jego pomnik i muzeum. Jest tu również wydzielona izba pamięci, gdzie miałem okazję wejść do oryginalnej celi świętego, zobaczyć używany przez niego kielich liturgiczny (opisany po angielsku jako święty Graal), a także japońskie czcionki i maszynę drukarską wykorzystywane do druku „Seibo no Kishi”. W tym miejscu nie zabrakło też części poświęconej męczeństwu świętego – obrazy, linoryty i zdjęcia przypominają o poświęceniu o. Maksymiliana, który oddał życie w zamian za życie ojca rodziny Franciszka Gajowniczka.

Ekspozycja zawiera również eksponaty związane z innym polskim franciszkaninem – bratem Zenonem „Zeno” Żebrowskim, współpracownikiem i kontynuatorem dzieła Kolbego. Zaczynał od rozdawania „Rycerza Niepokalanej” na ulicach Nagasaki, by dzięki zasługom w organizacji sierocińców, pomocy ofiarom wojny, tworzeniu wolontariatu i animaloterapii w Japonii otrzymać zaproszenie na cesarski dwór, gdzie cesarz Hirohito oddał mu pokłon. Przydomek „Zeno”, pochodzący od japońskiego słowa *zennō* – wszechmocny, nadali mu sami podopieczni. Obok Chopina i Bronisława Piłsudskiego należy on do najbardziej znanych Polaków na Wyspach Japońskich. Jego pomnik stoi u stóp góry Fuji, a w izbie pamięci poza zdjęciami są m.in. jego buty oraz nieodłączne skórzana teczka i kapelusik. Zmarł w 1982 r. w Tokio, gdzie rok przed śmiercią odwiedził go Jan Paweł II.

JAPOŃSKA MSZA

Współczesny budynek kościoła Hongōchi pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny w japońskim Niepokalanowie został wzniesiony w 1964 r. Początkowo jeden z zakonników zabronił mi wstępu do jego wnętrza, tłumacząc, że właśnie trwa liturgia i nie można zwiedzać. Krzyżyk na mojej szyi otworzył jednak drogę do świątyni.

Okładka jednego z wydań „Seibo no Kishi”. U stóp Maryi katedra Urakami i bazylika Oura

Wprawdzie kapłan odprawiał mszę w języku japońskim, lecz identyczny na całym świecie porządek obrządku pozwalał na rozpoznanie jej poszczególnych momentów. Znak pokoju z kulturowo obcymi, ale wierzącymi w tego samego Boga ludźmi nie był jedynie zwykłym gestem.

Po zakończeniu mszy ksiądz, słysząc z moich ust słowo „Polska”, otworzył kaplicę św. Maksymiliana Kolbego, gdzie w relikwiarzu w formie dwóch róż jest przechowywany najcenniejszy skarb Mugenzai no Sono – cząstki włosów świętego, zachowane w Polsce przez klasztornego fryzjera.

Japoński Niepokalanów to również ogród z alejkami na zboczu. Pośród tablic ze scenami z życia Maryi znalazłem w nim również pomnik św. Maksymiliana w formie statuy naturalnej wielkości oraz upamiętnienie wizyty Jana Pawła II (w 1981 r., obok na fot.).

Nad wszystkim góruje jednak grota, w której Kolbe wzorem Loudres nakazał umieścić figurę Maryi, by mogła być przez wszystkich adorowana. Ona, najwyraźniej zadowolona z tego, odwdzięcza się stałą opieką nad dziełem o. Maksymiliana.

eprasa.pl c25b34d833

Sukcesy i tragedie. Gorzka cena himalaizmu

Najwyższe góry świata od zawsze fascynowały ludzi. Są areną ustanawiania kolejnych rekordów i przekraczania granic ludzkich możliwości. Jednak Himalaje i Karakorum nie wybaczają błędów. W ciągu kilku dekad pochłonęły życie wielu wybitnych wspinaczy, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w historii światowego alpinizmu. Ostatnią ofiarą gór został m.in. znany na całym świecie Nirmal Purja

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że dla Nirmala Purji nie istnieje słowo „niemożliwe". Nepalczyk, były żołnierz elitarnej brytyjskiej jednostki Gurkhów i brytyjskich sił specjalnych SBS, zrewolucjonizował współczesny himalaizm. Nie tylko bił rekordy, lecz także zmienił sposób myślenia o zdobywaniu najwyższych szczytów świata. Stał się bohaterem narodowym Nepalczyków, symbolem determinacji i odwagi.

REKORDZISTA

Nazwisko Purji obiegło świat w 2019 r. Między kwietniem a październikiem podjął się przedsięwzięcia, które było uznawane za nierealne: wejścia na wszystkie 14 ośmiotysięczników w ciągu zaledwie 7 miesięcy. W tamtym czasie zaledwie 40 wspinaczy zdobyło Koronę Himalajów i Karakorum. Przez blisko trzy dekady rekord najszybszego zdobycia wszystkich ośmiotysięczników należał do Jerzego Kukuczki i wynosił 7 lat, 11 miesięcy i 14 dni. Dopiero w 2013 r. poprawił go Koreańczyk Kim Chang-ho, skracając ten czas jedynie o miesiąc i osiem dni. W ramach „Project Possible" Purja stanął na wszystkich 14 ośmiotysięcznikach w zaledwie 189 dni! Historia Nepalczyka została przedstawiona w dokumencie Netfliksa „14 Peaks: Nothing Is Impossible", a jego autobiografia stała się międzynarodowym bestsellerem. Mimo iż Purja zdobył światową sławę, starał się pozostać skromnym człowiekiem. Wielokrotnie podkreślał, że w górach nie ma miejsca na pychę.

Dwa lata później ponownie zapisał się w historii. Stanął na czele nepalskiego zespołu, który jako pierwszy zimą zdobył K2 – ostatni ośmiotysięcznik niezdobyty dotąd o tej porze roku. Jego sukces w pewnym sensie domknął także rozdział polskiego himalaizmu. To właśnie Polacy przez lata bezskutecznie próbowali po raz pierwszy wejść zimą na ten szczyt. Nagranie przedstawiające wspinaczy śpiewających hymn Nepalu tuż przed wejściem na wierzchołek obiegło cały świat i stało się symbolem nowej epoki. Po raz pierwszy to nie zachodnie ekspedycje wyznaczały kierunek rozwoju himalaizmu, lecz nepalscy wspinacze, przez dziesięciolecia postrzegani głównie jako przewodnicy i tragarze.

TRAGICZNY BROAD PEAK

Pod koniec lipca 2026 r. Purja prowadził międzynarodową wyprawę na liczący 8051 m Broad Peak w Karakorum w Pakistanie. To góra od lat uznawana za jedną z najbardziej zdradliwych wśród ośmiotysięczników. Choć technicznie łatwiejsza od K2, wielokrotnie zbierała śmiertelne żniwo. 30 lipca, pomiędzy drugim a trzecim obozem, na wysokości ok. 6,6 tys. m, na zespół zeszła potężna lawina. Akcja poszukiwawcza z udziałem śmigłowców i dronów trwała od świtu następnego dnia. Wraz z upływem czasu malała nadzieja na odnalezienie ocalałych, a ratownicy natrafiali na kolejne ciała. Po kilku dniach kierujący akcją Mingma David Sherpa potwierdził najgorszy scenariusz. Nikt nie przeżył katastrofy. Zginęło 10 uczestników wyprawy: wspinacze z Chin, Omanu, Pakistanu, Stanów Zjednoczonych i Nepalu, wśród nich Nirmal Purja.

Śmierć człowieka, który przez lata uchodził za symbol niemal nieograniczonych możliwości, stała się kolejnym dowodem na to, że w górach nie ma ludzi niezwyciężonych. Właśnie dlatego himalaizm od dziesięcioleci budzi jednocześnie zachwyt i niezrozumienie. Za spektakularnymi zdjęciami wykonanymi na szczytach często kryją się dramaty tych, którzy nigdy nie wrócili do domu. Tę najwyższą cenę zapłacili także najwybitniejsi polscy himalaiści, którzy na zawsze zapisali się w historii światowego alpinizmu.

NAJWIĘKSZY W HISTORII

Nie sposób opowiedzieć historii polskiego himalaizmu bez Jerzego Kukuczki. Dla wielu pozostaje on najwybitniejszym wspinaczem, jakiego wydała Polska, i największym himalaistą w dziejach. Jego droga na najwyższe szczyty świata w niewielkim stopniu przypominała współczesne wyprawy, dysponujące milionowymi budżetami i najnowocześniejszym sprzętem. W czasach PRL zdobywanie ośmiotysięczników wymagało nie tylko wyjątkowych umiejętności, lecz także ogromnej determinacji. Aby sfinansować kolejne ekspedycje, Kukuczka podejmował się prac wysokościowych, m.in. malowania kominów. Mimo wielu ograniczeń osiągnął niebywały sukces. Jako drugi człowiek na świecie zdobył wszystkie 14 ośmiotysięczników. Przez lata rywalizował z Reinholdem Messnerem o miano pierwszego zdobywcy Korony Himalajów i Karakorum. Choć ostatecznie ukończył ten wyścig jako drugi, wielu ekspertów uważa, że osiągnięcie Polaka miało większą wartość sportową.

Kukuczka zdobywał większość szczytów, poruszając się po nowych, często znacznie trudniejszych drogach. Co więcej, skompletowanie wszystkich ośmiotysięczników zajęło mu niespełna 8 lat, czyli niemal dwukrotnie mniej niż Messnerowi, który potrzebował na to 16 lat. Kukuczce nigdy nie chodziło o kolekcjonowanie kolejnych wierzchołków, liczył się styl. Wytyczył 11 nowych dróg na ośmiotysięcznikach, a poprowadzonej przez niego trasy na południowej ścianie K2 do dziś nie powtórzono. Zdobył także cztery ośmiotysięczniki zimą, w tym trzy jako pierwszy

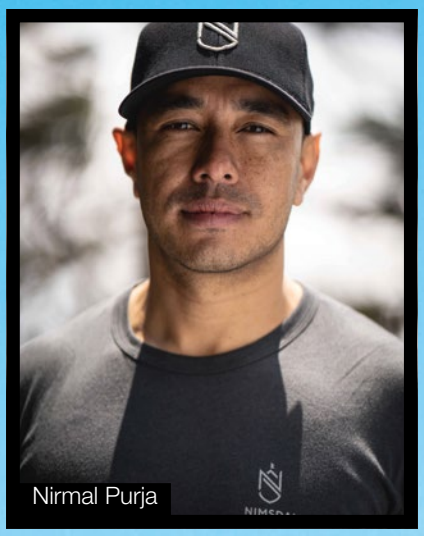
Nirmal Purja

człowiek w historii: Dhaulagiri, Kanczendzongę i Annapurnę.

24 października 1989 r. Kukuczka wspinał się południową ścianą Lhotse. Droga uchodziła za jedną z najtrudniejszych na świecie i do dziś pozostaje jednym z największych wyzwań himalaizmu. Na wysokości ok. 8,3 tys. m pękła lina, a Kukuczka spadł blisko 2 tys. m. Towarzyszący mu Ryszard Pawłowski był świadkiem tragedii, ale na tej wysokości nie miał najmniejszych szans, by udzielić partnerowi pomocy.

KOBIETA, KTÓRA PRZEŁAMAŁA STEREOTYPY

Kilka lat przed największymi sukcesami Jerzego Kukuczki świat himalaizmu zachwyciła Wanda Rutkiewicz, pierwsza kobieta, która zdobyła trwałe miejsce w elitarnym gronie zdobywców najwyższych gór świata. 16 października 1978 r. jako pierwszy Polak i pierwsza Polka, a zarazem trzecia kobieta w historii, stanęła na szczycie Mount Everestu. W czasach, gdy Polska dopiero budowała swoją pozycję w światowym himalaizmie, a kobiece wyprawy

Fot. Iamthanes/CC BY-SA 4.0, Shutterstock

sprzedaj.pl c25b34d838

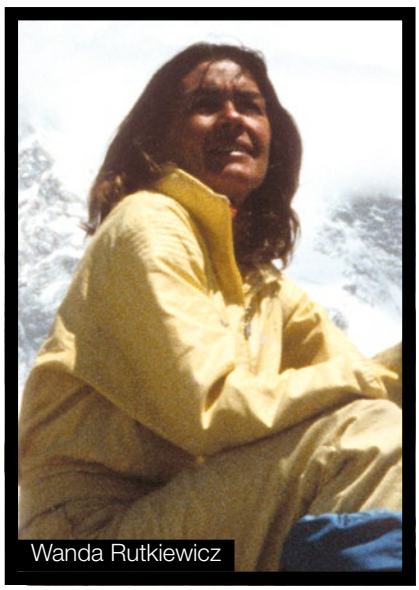
Wanda Rutkiewicz

Fot. PAP

wysokogórskie należały do rzadkości, jej sukces odbił się głośnym echem.

Rutkiewicz przełamywała nie tylko bariery wysokości, lecz także stereotypy dotyczące płci. Nie zamierzała jednak poprzestać na Mount Everestcie. Osiem lat później, 23 czerwca 1986 r., jako pierwsza kobieta na świecie i pierwszy Polak zdobyła K2. Kolejne ośmiotysięczniki przybliżały ją do realizacji marzenia o zdobyciu Korony Himalajów i Karakorum.

Jej bezkompromisowy charakter nie zawsze spotykał się z akceptacją środowiska, zdominowanego wówczas przez mężczyzn. Z czasem zyskała jednak ogromny autorytet, organizując kobiece ekspedycje, które osiągały historyczne sukcesy, m.in. pierwsze kobiece wejścia na Nanga Parbat i oba Gaszerbrumy.

Ostatnią wyprawę rozpoczęła wiosną 1992 r. Jej celem była Kanczendzonga, trzeci najwyższy szczyt świata. 12 maja Rutkiewicz po raz ostatni widział meksykański himalaista Carlos Carsolio. Zaproponował jej wspólne zejście, jednak odmówiła. Powiedziała, że odpocznie i następnego dnia ponowi próbę zdobycia szczytu. Nigdy więcej jej nie zobaczono. Czy zginęła podczas ataku szczytowego? Czy zabrakło jej sił na zejście? A może schroniła się w ścianie i zmarła kilka dni później? Odpowiedzi na te pytania nie ma do dziś. Ciała Wandy Rutkiewicz nigdy nie odnaleziono.

TRIUMF, KTÓRY ZAMIENIŁ SIĘ W NARODOWĄ ŻAŁOBĘ

5 marca 2013 r. polski himalaizm świętował sukces, na który czekał od dziesięcioleci. Adam Bielecki, Artur Małek, Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski jako pierwsi w historii zdobyli Broad Peak zimą. Było to jedno z ostatnich wielkich wyzwań zimowego himalaizmu, a Polacy po raz kolejny potwierdzili opinię najlepszych specjalistów w tej dziedzinie.

Cena sukcesu była jednak wysoka. Atak szczytowy trwał znacznie dłużej, niż zakładano. Zmęczenie, zapadający zmrok, ogromna wysokość i pogarszające się warunki atmosferyczne sprawiły, że zespół się rozdzielił. Po zdobyciu wierzchołka Adam Bielecki i Artur Małek zdołali wrócić do obozu, Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski pozostali wysoko na górze. Próbowano nawiązać z nimi łączność radiową i rozważano możliwość podjęcia akcji ratunkowej, jednak na wysokości przekraczającej 8 tys. m możliwości udzielenia pomocy są jednak skrajnie ograniczone. 8 marca kierownik wyprawy Krzysztof Wielicki poinformował, że uznaje obu himalaistów za zmarłych. Kilka miesięcy później brat Macieja, Jacek Berbeka, zorganizował specjalną wyprawę poszukiwawczą. Podczas ekspedycji, w lipcu 2013 r., na grani na wysokości ok. 7960 m, odnaleziono ciało Tomasza Kowalskiego. Nie natrafiono na ślady szczątków drugiego z himalaistów.

Szczególnie poruszająca była historia Macieja Berbeki. Doświadczony himalaista miał na swoim koncie pierwsze zimowe wejście na Manaslu w 1984 r. – wraz z Ryszardem Gajewskim – oraz Czo Oju rok później – z Maciejem Pawlikowskim. W 1988 r. był przekonany, że jako pierwszy zdobył zimą Broad Peak. Dopiero po zejściu okazało się, że zatrzymał się na skalistym przedwierzchołku, niższym o kilkanaście metrów. Przez następne lata Broad Peak pozostawał dla niego niedokończoną historią. Wrócił tam w 2013 r., aby ostatecznie zamknąć ten rozdział. Tym razem stanął na właściwym wierzchołku.

Śmierć Macieja Berbeki i Tomasza Kowalskiego wywołała w Polsce jedną z największych debat w historii rodzimego himalaizmu. Największa fala krytyki spadła na Adama Bieleckiego i Artura Małka, którym część opinii publicznej zarzucała, że nie podjęli próby ratowania partnerów. Pojawiły się pytania o granice ryzyka, odpowiedzialność uczestników i sens podejmowania tak ekstremalnych wyzwań. Dyskutowano o organizacji wyprawy, decyzjach podejmowanych podczas ataku szczytowego oraz możliwościach udzielenia pomocy w strefie śmierci.

Jerzy Kukuczka

Kilka lat później wydarzenia pod Nanga Parbat pokazały jednak, że w górach zdarzają się też cuda. W 2018 r. cały świat śledził akcję ratunkową Adama Bieleckiego i Denisa Urubki, którzy w ekspresowym tempie pokonali ok. 1 tys. m ściany Kinshofera, by dotrzeć do wspinaczki Elisabeth Revol. Jej partnera Tomasza Mackiewicza nie zdołano już uratować, jednak Francuzkę udało się bezpiecznie sprowadzić na dół.

* * *

Historia himalaizmu jest pełna rekordów, spektakularnych sukcesów i pięknych historii. Każda wyprawa wiąże się jednak z ogromnym ryzykiem. Jerzy Kukuczka, Wanda Rutkiewicz, Maciej Berbeka, Tomasz Kowalski, a dziś także Nirmal Purja i wielu innych przypominają o cenie, jaką płacą ludzie decydujący się zmierzyć z najwyższymi górami świata.

eprasa.pl c25b34d838

Marcin Kwaśny, reżyser filmu „Odzyskany", w którym Filip Gurłacz zagrał swoją pierwszą kinową główną rolę, mówi o nim, że jest jak wystrzelony nabój i że zaangażować go to jak wygrać w totka. A co myśli o tym aktor?

Wolę grać w otwarte karty

Fot. rafael.pl

eprasa.pl c25b34d838

Z aktorem ***Filipem Gurłaczem*** *rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Umówiliśmy się w samo południe. Czy ta pora z czymś się panu kojarzy?

Filip Gurłacz: Środek dnia. Jestem zwolennikiem dnia, a nie nocy, więc myślę, że to dobra pora na rozmowę.

Czyli nie żadne westernowe „W samo południe" ani „Na Anioł Pański biją dzwony"?

Szczerze powiedziawszy, nie miałem takich skojarzeń, chociaż Anioł Pański byłby mi bliższy. Na pewno nie western. Nie dążę do stawania na ubitej ziemi.

A czy jest pan człowiekiem odważnym?

To trudne pytanie. W pewnych sytuacjach – jak sądzę – wykazuję się odwagą, asertywnością, działaniem mimo lęku, ale w innych pewnie nie. Nie stawiałbym siebie w roli herosa – kogoś „trwale odważnego", ale nie czuję się człowiekiem słabym i lękliwym. Na tyle, by lęk hamował mnie w widoczny sposób.

Spytałam o odwagę, bo coraz częściej zastanawiam się, czy trzeba być odważnym, by dziś otwarcie i publicznie mówić o swojej wierze.

Dla mnie to dwie zupełnie różne kwestie. Uważam, że trzeba być odważnym. Koniec. Tu bym postawił kropkę. To przejaw szlachetności, rodzaj cnoty, męstwa. Oczywiście pod warunkiem, że stajemy oko w oko z problemami i lękami, mając też w sobie rozwiniętą cnotę uczciwości, by walczyć o prawdę. Co natomiast znaczy „mówić odważnie o wierze"? Ja po prostu wierzę. Nie czuję w związku z tym żadnego lęku. Dlaczego miałbym się zdobywać na odwagę? Co mi grozi, jeżeli się do tego przyznam? No nie wiem. Denzel Washington mówił, że „jeżeli diabeł się o ciebie nie upomina, to najprawdopodobniej robisz rzeczy, które mu się podobają. Jeżeli się o ciebie upomina, to może faktycznie robisz rzeczy, które mu się nie podobają, a może wtedy podobają się Bogu". Może też na tym polegałaby ta odwaga. Na działaniu, które diabłu się nie podoba.

Czy propozycja zagrania głównej roli w filmie „Odzyskany" przyszła w dobrym dla pana czasie? I czy w jakimś wymiarze pan też czuje się odzyskany?

Był moment, gdy w pewnym stopniu straciłem kontrolę nad swoim życiem. Straciłem z oczu wyraźny kierunek, może mój moralny kręgosłup stał się bardziej miękki, stawiałem ściany bez odpowiedniego fundamentu, ale dziś czuję, że odzyskałem to, co wtedy mogłem utracić. A może nigdy tego nie miałem, tylko to się kształtowało, budowało i umacniało na przestrzeni lat?

A pański bohater? W jakim sensie został odzyskany? Dla kogo?

Dla nieba i dla innych ludzi. Bo jeżeli Bóg pozostaje na pierwszym miejscu, to życie jest również służbą drugiemu człowiekowi. To taka oczywistość, która po prostu do nas przychodzi. W tym sensie został więc odzyskany dla świata, dla Boga, a także odzyskał sam siebie, znalazł sposób na zwrócenie sobie godności. Poprzez miłość i wybaczenie. Godność to jedna z najwyższych, najważniejszych wartości. Ważniejsza nawet niż życie. Tu przypomina się ofiara o. Maksymiliana Kolbego [film trafi do kin 14 sierpnia, w 85. rocznicę śmierci świętego – przyp. red.].

Trudny do powtórzenia wzór. Co było najcięższym doświadczeniem w przypadku pańskiego bohatera?

eprasa.pl c25b34d838

Najtrudniej jest wstać, jeżeli leży się na łopatkach. Gdy ojciec opuszcza rodzinę na rzecz choroby, alkoholu, hazardu, narkotyków lub innej kobiety, to – w odczuciu dziecka – czyja to jest wina? Jego. Nie potrafi sobie tego inaczej wytłumaczyć. Jak człowiek ma świadomie istnieć, dojrzewać, rozwijać się w świecie z taką raną? Myślę, że to rodzaj traumy, z którą niewiele osób może sobie poradzić. Mój bohater nie korzysta z żadnego rodzaju terapii. Jest pozostawiony sam sobie. Do tego ma chorą matkę, którą się opiekuje, bo to naturalna kolej rzeczy, naturalny ludzki odruch, ale czy jest na to gotowy? Kiedy ojciec odchodzi, ten 10-latek musi zadbać o mamę, także w sposób bardzo intymny, bo nie jest samowystarczalna. Myślę, że to potworny, wręcz kosmiczny ciężar. Jak taki człowiek może odzyskać godność, wiarę, że nie jest do niczego, że jeszcze coś czeka na niego w życiu, że potrafi kochać i że sam zasługuje na miłość, że potrafi przebaczyć ojcu alkoholikowi? Okazuje się, że takiej siły można szukać np. w wierze. Też tego doświadczyłem.

I na ile przekazał pan to doświadczenie swojemu bohaterowi?

Ten film był dla mnie bardzo osobisty, chociaż znajdowałem się w skrajnie innej sytuacji niż Janek. To też trzeba podkreślić.

Moi rodzice to artyści – często organizowali imprezy, uwielbiali to. Nasz dom zawsze był otwarty, przewijała się przez niego masa osób. Jednocześnie widziałem, jak moi rodzice dobrze się bawią, jak dogadują się z ludźmi, budują relacje, często pomagają tym osobom. Co również ważne – nigdy się nie rozstali, do tej pory są małżeństwem, więc nigdy nie musiałem nieść takiego brzemienia jak mój bohater. Pojawiały się natomiast doświadczenia, odczucia i refleksje, z których mogłem czerpać w filmie. Mam młodszego o rok brata. Już jako dorośli odbyliśmy zaskakującą rozmowę – każdy z nas uważał, że tata kocha bardziej tego drugiego. Musieliśmy walczyć o uwagę ojca, odczuwaliśmy jego brak, bo to były czasy, kiedy jako aktor dużo jeździł po Polsce za chlebem. Kiedyś mama mądrze powiedziała: „Syty głodnego nie zrozumie". Teraz jestem syty w tym sensie, że mam rodzinę, własne życie, które jest pełne. Oczywiście jest pełne również odpowiedzialności, trosk, zmartwień związanych z tym, jak opłacę dom, czy w przyszłym sezonie będę miał pracę, czy zrezygnować z pracy tam, gdzie mi niedobrze, czy nie, bo to jednak chleb i inne.

Czy jako tata 5-letniego Michasia i 2-letniego Józia uważa pan, by żaden z nich nie przeżywał dylematu, którego z nich bardziej pan kocha?

Uważam na wiele rzeczy, ale nie da się nie popełniać błędów. Nie jestem też taki skrupulatny. Po prostu staram się nie zapominać – nie o tym, że mam dzieci, tylko że chcę być ojcem. Bo to są dwie różne rzeczy. Mieć to nie znaczy być. Chciałbym dla nich „być". No i staram się wprowadzać jakieś zasady, choćby ograniczenia telefonu, kiedy spędzam z nimi czas.

Rozmawiamy w związku z filmem „Odzyskany" – pełnometrażowym reżyserskim debiutem aktora Marcina Kwaśnego. Jak wyglądała wasza współpraca?

Wcześniej zrobiliśmy krótkometrażowy film „Spowiedź". „Odzyskany" jest kontynuacją tamtego projektu, choć mocno się zmieniał w trakcie realizacji. W połowie zdjęć wycofał się jeden z głównych producentów. Zdjęcia zostały przerwane. Na plan wróciliśmy po roku, w bardzo okrojonym składzie, w trudnych warunkach. Scenariusz ewoluował. Finalnie to film zupełnie o czymś innym. Tu wrócę do jednego z pierwszych pytań: znacznie łatwiej mówić mi o wierze, bo ona uratowała mi życie. Moje nawrócenie sprowadziło mnie na drogę, z której wszyscy korzystamy. Pani – bo kiedyś by pani tak ze mną nie rozmawiała – moja żona, moi bliscy i ja również na tym korzystamy. Uspokoiłem się. Zacząłem dużo więcej czerpać z życia. Stało się ono barwniejsze, inspirujące, robię w nim masę rzeczy. Znacznie łatwiej jest mi mówić o tym, co sprawiło, że żyję, niż o tym, co sprawiało, że umierałem. I nie traktowałbym ludzi tak małostkowo, że ocenialiby mnie tylko przez to, że wierzę.

Zostańmy w przeświadczeniu, że ludzie nie są małostkowi, a wracając do filmu – czy spowiedź jest w nim kluczem?

Wszystko zaczyna się od sceny spowiedzi. Można powiedzieć, że spotykamy głównego bohatera w punkcie zwrotnym jego życia, choć on nawet nie podjął decyzji, rzeczy zaczęły się „po prostu" dziać, a on starał się „jedynie" odnajdywać i podejmować decyzje w sytuacjach, w których się znalazł.

Czy to trochę nie tak jak pan w doświadczeniu aktorskim? Dał się pan poznać widzom w bardzo różnych strefach i wyzwaniach. Zaczął pan mocno: kinowy debiut w „Mieście 44" (2014) Jana Komasy, po nim „Powidoki" (2016).

Owiane legendą śp. Andrzeja Wajdy. Bezcenne, kolejne wprowadzenie w świat kina.

W obu filmach zagrał pan chłopaka jak gdyby wyjętego z pokolenia Kolumbów – wizerunkowo, charakterologicznie, w związku z deklarowanymi wartościami, ale nie urodził się pan w Warszawie?

Fot. rafael.pl

Nie, jestem przez to miasto adoptowany, przysposobiony. Mam tu już swoje ścieżki.

Co pan czuje, gdy o godzinie W zaczynają wyć syreny?

Ogarnia mnie wtedy jakiś smutek.

A nie flesz scen z filmu Jana Komasy?

Nie. Ten film był dla mnie bardzo ważny, ale aż się wstydzę pomyśleć, jak by o mnie świadczyło, gdyby dźwięk syren – symbolu upamiętniającego zryw ku wolności, przelaną krew dziesiątek tysięcy ludzi i powstanie, dzięki któremu, mimo jego klęski dziś mogę chodzić z dziećmi po ulicach, na place zabaw, w poczuciu wolności i bezpieczeństwa – prowadził mnie tylko do wspomnień, jak było na planie. Smutek wiąże się natomiast ze świadomością ceny, jaką przyszło zapłacić za ten zryw, przychodzi więc niełatwa zaduma. Ponieważ jednak jestem z natury optymistą, szybko wracam do pozytywów.

Jakie swoje ekranowe role jeszcze by pan przywołał z perspektywy 12 lat od debiutu?

Na pytanie, jaka rola jest dla mnie najważniejsza, zawsze odpowiedziałbym: „ta, w której jestem teraz" albo ta następna. Ciężko mi wskazywać jakieś konkretne tytuły, bo przede wszystkim było to dla mnie spotkanie z ludźmi.

Np. na planie „Dzielnicy strachu", a także „Korony królów" czy niecodziennej telewizyjnej produkcji „Będzie dobrze, kochanie" z okresu pandemii, który dla pana – z tego co słyszę – był również czasem życiowego przeformatowania.

Tak, to były ogólnie trudne doświadczenia, a w nich to nietypowe zadanie: podczas kwarantanny nagrywaliśmy się w prywatnych domach i przesyłaliśmy materiał, który po montażu stał się serialową próbą oswojenia czegoś nieznanego, co spadło wtedy na nas wszystkich.

Poza typowo aktorskimi wyzwaniami świetnie pan wypadł zarówno w show „Twoja twarz brzmi znajomo", jak i w „Tańcu z gwiazdami" oraz ostatnio w „Kocham Cię, Polsko". Dlaczego przestał pan być kapitanem drużyny?

Niestety miałem wcześniejsze zobowiązania – zdjęcia do filmu Bodo Koxa według powieści „Horyzont". Rzecz o zespole stresu pourazowego żołnierzy po Afganistanie.

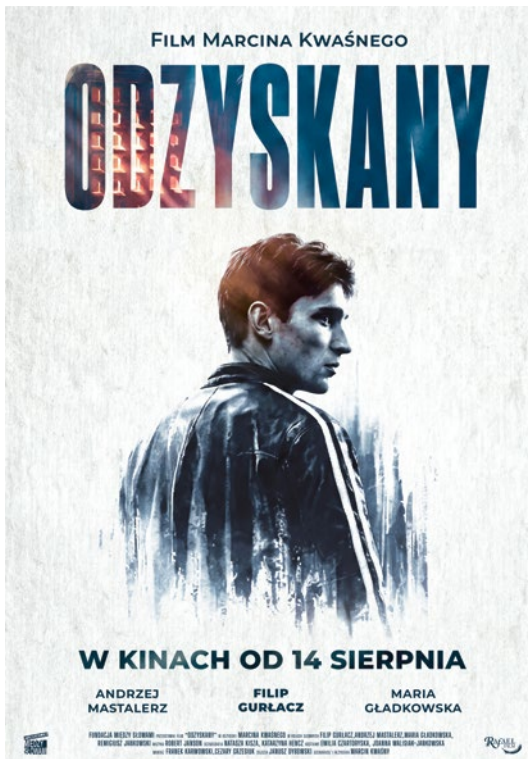

Trudny temat, czekamy na ekranowy efekt. A wracając do telewizyjnych widowisk – skąd u pana ta swoboda showmana? Czy miało na nią wpływ śpiewanie z gitarą na ulicy?

Tu impulsem i wzorcem był mój tata. To on sprawił, że jestem pracowity i uparty, że kiedy mam cel, to do niego dążę. I wytrzymam, choćby było ciężko. Popłaczę, ale idę.

Tata nauczył mnie grać na gitarze. W domu to on śpiewał, mama grała na skrzypcach. To tata mi powiedział: „A może idź do szkoły teatralnej?". Gdyby nie on, nie wiem, czy byłbym aktorem. Gdy mnie pytają, skąd u mnie taka zawziętość, a także wytrwałość, skąd pewność siebie, otwartość, a według niektórych również sceniczna bezkompleksowość, odpowiadam, iż to dzięki temu, że miałem takiego tatę.

Tata aktor, pan też. Czy doświadczyliście tego zawodu tak samo? Co dla pana znaczy być aktorem?

Zupełnie nie jestem postępowy, nie idę za tym, co modne. I szczerze wierzę, że aktorstwo to rodzaj służby, którą pełni się na wielu polach. Wierzę, że to dzięki sztuce mówimy po polsku, to sztuka utrwala w nas szeroką wersję naszego języka, kiedy sięgamy w teatrze po klasyczne dzieła. Sztuka ubogaca, uwrażliwia, pokazuje nam ważne rejony. Jest też wentylem w trudnych czasach. Zawsze była. Dzięki ojcu, który całe życie oddał scenie, kabaretowi, który niósł widzom uśmiech. Od dziecka uważałem, że aktorstwo to najpiękniejszy zawód świata.

W jednym z wywiadów powiedział pan: „Wolę bawić, niż wzruszać".

Ludziom przede wszystkim radość i światło. Kiedy rozbawię widzów, czuję naprawdę dużą satysfakcję, a gdy uda mi się ich wzruszyć, wewnętrznie rosnę. Służę widzom na wielu polach, ale wolę ich bawić, bo wydaje mi się, że w obecnych czasach – coraz trudniejszych, bardziej skomplikowanych, w których następuje redefinicja różnych rzeczy, a jednocześnie coraz trudniej jest zdefiniować kwestie fundamentalne: miłość, wolność, pokój – nie lubię oszukiwać siebie i innych, że „robię sztukę", kiedy moim zadaniem jest dać ludziom chwilę wytchnienia i oddechu. Wolę grać w otwarte karty. Jeśli wiem, że robię rozrywkę, to robię ją najlepiej, jak potrafię, z podniesioną przyłbicą.

A czy „Odzyskany" ma szansę nas wzruszyć?

Większą szansę wzruszyć, niż bawić. I gdyby, daj Boże, zostawił kogoś z refleksją na życie, to miałbym wielkie poczucie sukcesu.

Fot. rafael.pl

eprasa.pl c25b34d838

Rekordowy rok ubezpieczycieli wzajemnych. Sektor rośnie szybciej niż rynek

W świecie zdominowanym przez największe grupy finansowe łatwo uznać, że to one wyznaczają kierunek rozwoju rynku ubezpieczeniowego. Tymczasem najnowszy raport Międzynarodowej Federacji Ubezpieczycieli Wzajemnych i Spółdzielczych (ICMIF) pokazuje, że coraz silniejszą pozycję mają również ubezpieczyciele wzajemni. Co więcej, rozwijają się nieco szybciej niż cały światowy rynek ubezpieczeniowy

Raport Global Mutual Market Share 2026 pokazuje, że w 2024 r. ok. 4,5 tys. ubezpieczycieli wzajemnych i spółdzielczych zebrało 1,61 bln dol. składek wobec 1,50 bln dol. rok wcześniej. Oznacza to wzrost o 7,2 proc., podczas gdy cały światowy rynek ubezpieczeniowy zwiększył się o 7 proc. Tym samym udział ubezpieczycieli wzajemnych w światowym rynku osiągnął 26,1 proc. Po wyłączeniu Chin, gdzie model wzajemny pozostaje słabo rozwinięty, wskaźnik ten wzrasta do 29,9 proc.

Nie jest to efekt tylko jednego udanego roku. Z danych zebranych przez ICMIF wynika, że również w perspektywie pięciu lat sektor ubezpieczeń wzajemnych rozwijał się szybciej niż cały światowy rynek ubezpieczeniowy. Rekordowy wynik z 2024 r. nie jest zatem wyjątkiem, lecz wpisuje się w dłuższy trend.

Skala tego sektora pokazuje, że trudno mówić o niszowym modelu działalności. Ubezpieczyciele wzajemni zarządzają aktywami o wartości 10,8 bln dol., obejmują ochroną ok. 856 mln członków i ubezpieczonych oraz zatrudniają ok. 1,2 mln osób. Szczególnie silną pozycję zajmują na dojrzałych rynkach Europy i Ameryki Północnej, które odpowiadają za zdecydowaną większość światowego przypisu składki w tym sektorze.

Z czego wynika ta stabilna pozycja? Autorzy raportu zwracają uwagę, że w warunkach rosnącej niepewności gospodarczej coraz większego znaczenia nabierają organizacje budujące działalność opartą na długoterminowej odpowiedzialności i relacji z członkami. Jak podkreśla Liz Green, Chief Executive ICMIF, model bazujący na własności członkowskiej pozwala łączyć stabilność finansową z tworzeniem trwałej wartości dla członków i społeczności. Właśnie dlatego pozostaje on atrakcyjną formą prowadzenia działalności również w zmieniającym się otoczeniu rynkowym.

„Wyniki prezentowane w raporcie pokazują, że model ubezpieczeń wzajemnych pozostaje stabilny i skutecznie odpowiada na wyzwania współczesnego rynku. Rekordowy wynik światowego sektora potwierdza siłę modelu opartego na długoterminowym podejściu, odpowiedzialności i zaufaniu" – mówi ***Grzegorz Buczkowski, wiceprezes Zarządu SALTUS Ubezpieczenia oraz przewodniczący Rady Dyrektorów AMICE***.

Raport pokazuje również, że ubezpieczyciele wzajemni odgrywają istotną rolę na rozwiniętych rynkach ubezpieczeniowych. W wielu krajach Europy Zachodniej odpowiadają za znaczną część rynku, a ich działalność obejmuje zarówno ubezpieczenia majątkowe, zdrowotne i komunikacyjne, jak i ubezpieczenia na życie oraz rozwiązania emerytalne.

Najnowsza edycja raportu ICMIF nie pozostawia wątpliwości w jednej kwestii – ubezpieczyciele wzajemni nie są marginalnym segmentem światowego rynku ubezpieczeniowego. To sektor działający na skalę globalną, który konsekwentnie umacnia swoją pozycję. Rekordowy wynik osiągnięty w 2024 r. pokazuje, że model bazujący na długofalowym podejściu i odpowiedzialności wobec członków pozostaje ważnym elementem współczesnego rynku ubezpieczeniowego.

SALTUS UBEZPIECZENIA

Artykuł sponsorowany | 01/0126/F/ZAL

eprasa.pl c25b34d838

HITY i KITY ZAREMBY

Z pasją i bez złych intencji

Tym razem piszę o filmie z 2014 r., który także w tym roku, 1 sierpnia, w rocznicę Powstania Warszawskiego, powtórzono w TVP1. „Miasto 44" Jana Komasy to obraz kontrowersyjny, choć nakręcony z pasją i bez złych intencji, które mu przypisywali niektórzy konserwatywni recenzenci

„Miasto 44" to następstwo konkursu, który umożliwił pokazanie tego obrazu jakby trochę za późno – w 70. rocznicę Powstania, kiedy topniała liczba jego uczestników. Realizację powierzono Janowi Komasie, młodemu reżyserowi, którego głównym osiągnięciem był film całkiem współczesny – odwołująca się do estetyki internetu „Sala samobójców". Choć Komasa to również autor pomysłu na film „Powstanie Warszawskie", mającego premierę kilka miesięcy przed „Miastem 44". To niezwykle oryginalny obraz dokumentalny – zmontowano stare kroniki kręcone przez powstańczych filmowców. Zostało w nich utrwalone życie codzienne Warszawy kontrolowanej przez powstańców, a także obraz nadciągającej zagłady miasta.

W tamtym filmie Komasa schował się za materiały z epoki, tu zaś nakręcił autorską fabułę. W „Mieście 44" nie zobaczymy naradzającego się dowództwa. Bohaterami są zwykli młodzi ludzie, którzy 1 sierpnia idą na miejsce zbiórki, aby często bez odpowiedniej broni rzucić się na Niemców. Już to wzbudziło rozczarowanie u części widzów. Oczekiwali historycznego fresku, a dostali garść indywidualnych historii. Komasa, korzystając z dużych funduszów, nakręcił je tak, jak dziś kręci się kino wojenne. Mamy naturalistyczny obraz rozpryskujących się mózgów, grozę budzi obraz wielkiej eksplozji pojazdu opancerzonego, wysłanego przez Niemców w tłum Warszawiaków. To okrucieństwo odrzuca wielu ludzi, przyzwyczajonych do pokazywania wojny łagodniejszymi środkami.

Na dokładkę Komasa bardzo skrócił obraz pierwszych dni Powstania, gdy w niektórych częściach Warszawy świętowano wyzwolenie (za to w kronikarskim dokumencie jest tego pełno). Tu mamy decyzję pójścia do boju i niemal od razu jatkę. A film trafił na moment, gdy decyzję o wybuchu Powstania coraz mocniej kontestowano zarówno z prawa, jak i z lewa. W tej sytuacji obrońcy powstańczego mitu dostrzegli w przedstawieniu Powstania jako jedynie drogi przez piekło zagrożenie. Pewien konserwatywny krytyk nazwał nawet film „obelgą rzuconą w twarz powstańcom".

Bohaterem jest raczej całe miasto niż poszczególne postaci, a młodzi bohaterowie, grani przez mniej znanych aktorów, mają niewiele czasu, by o sobie opowiedzieć. Są bardziej tworzywem niż podmiotem historii.

Skądinąd debiutujący Józef Pawłowski wspaniale zagrał główną postać, chłopaka zmienionego niemal w zombie, w maszynę do walki po tym, jak zobaczył zamordowanie matki i brata na Woli. Ale sprzyja to wrażeniu, że mamy do czynienia z krwawym koszmarem.

Na uroczystym pokazie tego filmu na Stadionie Narodowym w Warszawie była obecna garstka powstańców, którzy mieli łzy w oczach. Byli wdzięczni reżyserowi, że nie zrobił kolejnej, ugrzecznionej, czystej opowiastki.

Ja zaś przypominałem w dyskusjach, że liczą się intencje. Komasa odcinał się od politycznej debaty o sensie Powstania, mówił za to o ponadczasowej wartości buntu, walki o wolność (snując analogie z ukraińskim Majdanem). Ten godnościowy wątek jest obecny w filmie, np. w scenie, w której jedna z bohaterek opowiada dzieciom w powstańczym szpitalu bajkę o złym królu, któremu trzeba się przeciwstawić. I choćby z tego punktu widzenia nie uważam tego filmu za klęskę czy tym bardziej obrazę kogokolwiek, chociaż sam opowiadałbym o Powstaniu inaczej.

Piotr Zaremba

Fot. Kino Świat

O prezydencie twardzielu

„Skąd się wziął Karol Nawrocki" – odpowiedź obiecuje prof. Andrzej Nowak w pierwszym wywiadzie rzece z prezydentem. Ta obietnica zostaje w dużej mierze spełniona

To prof. Nowak firmował zgłoszenie Karola Nawrockiego jako obywatelskiego kandydata na prezydenta, właściwie trudno się zatem spodziewać dialogów choć w małym stopniu na kontrze. Znakomity historyk rzadko bawi się nawet w adwokata diabła, konfrontującego prezydenta z krytycznymi głosami innych.

A jednak w tej niespiesznej pogawędce, w której pytania są niemal tak długie jak odpowiedzi, ujawnia się osobowość Nawrockiego, jego nietypowa droga do polityki, a zwłaszcza jego wieloletnie zmagania z elitami Trójmiasta.

Książka stała się znana z powodu jednego fragmentu, ujawnionego przez profesora przed jej wejściem na rynek. Nagłośnienie opowieści o tajemniczym zatruciu kandydata można by uznać za niefortunne. Dziś ciężko cokolwiek ustalić, a tzw. drugiej stronie dano okazję do drwin – z domniemanego zamachu. Skądinąd wierzę, że coś takiego się wydarzyło. Myślę, że to oddaje atmosferę wokół tego kandydata, zwalczanego na wszelkie sposoby. I rozumiem, że prof. Nowak wybrał zdarzenie najbardziej sensacyjne, aby przyciągnąć nim czytelników.

Z opowieści historyka, który stał się prezydentem, wyłania się jego natura. Pracował za młodu, kiedy koledzy ze studiów się bawili. Wierzył w tradycyjną wersję polskości, podczas gdy wiele ważnych postaci w Gdańsku, Gdyni czy Sopocie miewało problem z polskością w ogóle. Jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, a potem prezes IPN prowadził własne krucjaty, dotyczące takich oczywistości jak pochowanie szczątków obrońców Westerplatte czy upamiętnienie obrony polskości Pomorza. Jest wszechstronnie przygotowany do życia publicznego, ale dla salonu na zawsze pozostanie prostakiem.

Do ciekawych opowieści Karola Nawrockiego Andrzej Nowak dołączył swoje stare wywiady z „Arcanów" – z Anną Walentynowicz i aż trzy z Lechem Kaczyńskim. Pamiętałem je. A jednak zwłaszcza wywody dawnego prezydenta są arcyinteresujące, w kilku miejscach zaś prorocze.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

POWSTANIE: GROZA I NADZIEJA

Co roku 1 sierpnia o północy Muzeum Powstania Warszawskiego zaprasza na spektakl teatralny. W tym roku zobaczyliśmy „Było niegorąco", montaż tekstów Anny Świrszczyńskiej i Mirona Białoszewskiego. To opowieść apokaliptyczna i okrutna, pesymistyczna, choć z przebłyskami nadziei

Te przedstawienia bywały rozmaite, czasem luźno powiązane z rocznicą Powstania – jak wtedy, gdy Iwan Wyrypajew reżyserował monodram Andrzeja Seweryna, opowieść czeczeńskiej dziewczynki z Groznego, albo kiedy oglądaliśmy skróconego „Króla Leara" Szekspira. Były też wariacje wokół samego Powstania, nieraz sprzeczne z patriotycznym zapałem, jaki wyziera z muzealnych zbiorów. Trudno zapomnieć Adama Woronowicza mówiącego tekstem Mirona Białoszewskiego – „Pamiętnik z powstania warszawskiego" to kronika męki ludności cywilnej, traktująca to zdarzenie jako nieszczęście.

Reżyserka Aleksandra Bielewicz zestawiła fragmenty nacechowanej lękiem prozy Białoszewskiego (gra go Grzegorz Artman) z poetyckimi wspomnieniami Anny Świrszczyńskiej (Aleksandra Bożek). Ona z kolei podczas Powstania była sanitariuszką w szpitalu. Z malowanych przez nią obrazów też wyziera biologiczna groza, opowieść o męczeństwie, przeplatana akcentami mniej oczywistymi, dotyczącymi ludzkiej natury. Obraz Powstania jest w tym montażu pesymistyczny. Zarazem nie ma tu publicystyki. Można powiedzieć, że to uniwersalny zapis ludzkiego cierpienia podczas wszelkich historycznych kataklizmów.

Przeplata się on z filmami utrwalającymi jedną z kosmicznych wypraw Amerykanów. Wzniosłość cywilizacyjnej misji ludzkości zderza się z okrucieństwem losów ludzi sprowadzonych do parteru przez historię. Spektakl jest minimalistyczny, żywe obrazy, tworzone przez aktorów, budzą grozę właśnie swoją niewymuszoną skromnością. Choć wrażenie byłoby mniejsze, gdyby nie śpiewający kontrtenor Michał Sławecki. „Cold Song" Henry'ego Purcella w jego wykonaniu brzmi nam w uszach po zakończeniu. Wypada też pochwalić muzykę Szymona Sutora.

Gdzie szukam optymizmu? Choćby w dopisanej przez reżyserkę historii matki przenoszącej 10-miesięczne niemowlę kanałem, którym przemieszczali się zarówno powstańcy, jak i cywile. Kobieta je upuszcza. Nie może nawet krzyczeć. Ktoś jednak znajduje dziecko. To rodzinna historia Aleksandry Bielewicz. Owo niemowlę to jej 83-letni dziś ojciec.

Groza tych opowieści kontrastuje z tegorocznymi obchodami. Radosne korowody towarzyszyły ostatnim powstańcom, wożonym po Warszawie limuzynami. Potem jeszcze większe tłumy śpiewały powstańcze piosenki na Placu Piłsudskiego. Myślę, że jedno jest dopełnieniem drugiego, zwłaszcza że ta euforia na ulicach to hołd składany bohaterom. On wręcz powinien być radosny.

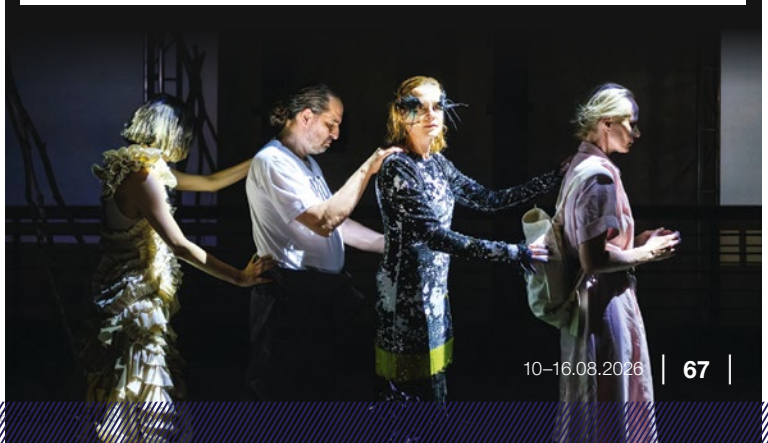

BERENIKA WYRZYKOWSKA-NOVI*

Zakochałam się we Francji

Urodziłam się w Warszawie, ale od ponad dziesięciu lat mieszkam we Francji, a od trzech lat w Montpellier. Zaczęło się od Erasmusa. W ramach wymiany studenckiej 13 lat temu trafiłam na politologię do Lyonu i zakochałam się we Francji na tyle, że po studiach wróciłam do tego kraju. Poznałam tu mojego męża, Fabiena. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Lyonie, ale szukałam pracy i zdobyłam ją w Arte – europejskiej telewizji, która od dekady jest też obecna w Polsce. Ponieważ jej siedziba znajduje się w Strasburgu, przeprowadziliśmy się tam.

Jednym z niewielu plusów pandemii było to, że praca zdalna stała się trochę bardziej popularna, więc mój mąż – pochodzący z południa Francji – po siedmiu latach pobytu w Strasburgu i dwóch latach w Warszawie tupnął nogą i powiedział, że potrzebuje więcej słońca i śródziemnomorskiego klimatu. Wyprowadziliśmy się więc bliżej jego rejonów, czyli właśnie do Montpellier w Oksytanii.

W Warszawie mężowi podobała się otwartość ludzi, mnóstwo zielonych przestrzeni i to, jak wspaniale rozwija się miasto. Wrażenie robiła historia. Z turystycznego punktu widzenia Warszawa nie daje szans na miłość od pierwszego wejrzenia, ale ci, którzy zostają w niej na dłużej, zakochują się w jej charakterze. Ma wspaniałą historię i kiedy się ją pozna, pojawia się szacunek do drogi, jaką przeszło to miasto.

Trochę się obawiałam przeprowadzki do Strasburga, znacznie mniejszego od Warszawy, ale dziś widzę, że w takim miejscu pełniej korzysta się z tego, co oferuje. Strasburg, miasto ciekawe i piękne, ma bogatą scenę kulturalną i jako jedyne poza Paryżem – teatr narodowy. Są też inne sceny, a na nich organizuje się wspaniałe spektakle, koncerty, festiwale. W Strasburgu mam mnóstwo przyjaciół i znajomych.

Wybraliśmy Montpellier, bo bardzo przypomina nam Strasburg. Jest tej samej wielkości (250 tys. mieszkańców), bardzo studenckie, pełne młodych ludzi z różnych stron świata, co daje dobrą energię.

Montpellier jest bardziej francusko-hiszpańskie (ze względu na niedaleką odległość od hiszpańskiej granicy), Strasburg – bardziej francusko-niemiecki. To chyba najbardziej rowerowe miasto we Francji, z najmocniej rozbudowaną infrastrukturą rowerową. Tu wszędzie można dojechać na dwóch kółkach.

Bardzo lubię południe Francji, Prowansję, która według mnie jest mniej znana. To prosty region, bez blichtru, który czasem kojarzy się z Francją i Paryżem. Ludzie są bardziej prostolinijni, otwarci, uśmiechnięci. Warto tu przyjechać.

W Polsce, gdzie jako mieszane małżeństwo spędzamy jakiś czas, pokazałam mężowi Kraków, Wieliczkę, Wrocław, polskie morze i Mazury. Żubry jeszcze na nas czekają.

Pięć lat temu mieliśmy wspaniały wyjazd na Jamajkę – mąż jest wielkim fanem muzyki reggae. Spędziliśmy tam trzy tygodnie z plecakami, przejechaliśmy całą wyspę i zaręczyliśmy się, więc to miejsce jest mi bardzo bliskie, aczkolwiek geograficznie odległe.

Ostatnio byliśmy na Gwadelupie, która jest częścią Francji, mimo że niemal w sąsiedztwie Jamajki. To niesamowite doświadczenie – znajdować się na terenie Unii Europejskiej, będąc jednocześnie na tak dalekich, pięknych, bajkowych plażach. To były nasze pierwsze egzotyczne wakacje z półtoraroczną córeczką. Wspaniale sobie poradziła. Gwadelupa to miejsce bardzo przyjazne dzieciom, więc polecam. W najbliższym czasie czeka nas jeszcze kilka dni w Rzymie.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

** redaktorka naczelna platformy arte.tv w Polsce*

eprasa.pl c25b34d838

SŁODKO-SŁONY

Arbuzowa

ANNA MONICKA

Istnieją różne nietypowe święta, ale jedno warto obchodzić częściej niż raz do roku. 3 sierpnia przypada Międzynarodowy Dzień Arbuza. Podobno to amerykańska tradycja, chociaż tak naprawdę mogłaby być nasza, bo ten owoc uprawiano amatorsko nad Wisłą już w XVI w. (tak przynajmniej podaje WWF Polska). Teraz, w miarę ocieplania klimatu, afrykański przysmak coraz częściej udaje się nie tylko ogrodnikom, lecz także plantatorom, zwłaszcza na Mazowszu czy Podlasiu.

Czy warto się pokusić o próbę samodzielnego wyhodowania zielonej kuli? Tak. Powinniśmy jeść arbuzy jak najczęściej, zwłaszcza gdy żar leje się z nieba. Ten owoc doskonale nawadnia, uzupełnia poziom elektrolitów, można się nim również najeść.

Gdy ostatnio temperatura zaczęła się niebezpiecznie zbliżać do 40 st. Celsjusza, skusiłam się i ja. Na podobny pomysł wpadło najwyraźniej kilka osób, bo w moim sklepie zostały tylko dwa okazy, w dodatku żółte, a nie różowe. „Klienci podchodzą do nich nieufnie, zupełnie niesłusznie, bo są naprawdę smaczne" – przekonywała mnie ekspedientka. Ryzyk-fizyk, wzięłam. I to była bardzo dobra decyzja.

Mój arbuz miał cieniutką, delikatną skórkę, a znajdująca się pod nią biała otoczka była niemal tak słodka jak sam miąższ. Ten z kolei bardziej przypominał miodowego melona. No i najważniejsze – bardzo delikatne zawiązki pestek, które można zjeść. Twardsze części, skropione sokiem cytrynowym, zastąpiły całej rodzinie obiad. Miękkie postanowiłam wykorzystać do orzeźwiającej zupy gazpacho – zwykle robię ją z pomidorów, ale koleżanka namówiła mnie na eksperyment. Kilogram miąższu zmiksowałam w blenderze z dwoma pachnącymi ogórkami gruntowymi, niedużą słodką cebulką cukrową, ząbkiem czosnku i sokiem z limonki. Do tego odrobina oliwy, sól, pieprz i szczypta chili do smaku. To oczywiście chłodnik, więc musi co najmniej godzinę postać w lodówce. Potem doprawiamy go pokruszoną fetą, listkami mięty i podajemy z czosnkową grzanką. Składniki można oczywiście modyfikować, np. dorzucić miąższ żółtego pomidora albo słodką żółtą paprykę. Moc witamin daje siłę, by przetrwać upał.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Polskie oliwki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zmiany klimatyczne rodzą pytania. Jak w ogóle je przetrwać? Kluczowa jest woda – pamiętajmy, że jej ilość w ziemskim ekosystemie jest stała, zmienia się tylko dostępność w poszczególnych regionach. To od nas zależy – w naprawdę dużo większym stopniu, niż moglibyśmy sądzić – czy będziemy potrafili ją przyciągnąć, zatrzymać i mądrze nią gospodarować. Nie jesteśmy skazani na suszę, ale sami możemy się na nią skazać.

A może jednocześnie zadać sobie również pytanie, jak skorzystać na zmianach?

W rejonach Europy leżących bardziej na południu, w miejscach, w których do niedawna było to niewyobrażalne, widok owocującego figowca nie jest już niczym niezwykłym. Ba, są takie przypadki również w Polsce, zwłaszcza w zacisznych zakamarkach. Ponadto od jakiegoś czasu centrum uprawy winorośli odpowiednich na białe wina zaczyna się przesuwać z Francji i Niemiec do naszego kraju.

Może więc szukać dalej? Wprowadzać uprawy roślin, które nie tylko będą dostosowane do zmieniających się warunków, lecz także może właśnie u nas znajdą nowe centrum uprawy? To nie fantastyka – pamiętajmy, że zdecydowana większość naszych roślin uprawnych to rośliny sprowadzone z innych części świata.

Wzdłuż śródziemnomorskich wybrzeży Europy uprawia się cytrusy. Tam zimy są lekkie, a lata łagodzone bliskością morza. W częściach o klimacie kontynentalnym, np. w centralnej Hiszpanii, dominują oliwki europejskie, przetykane uprawami migdałowców pospolitych.

Zimy w tamtych rejonach bywają mroźne, niemal co roku spada też śnieg. W Polsce wciąż mamy klimat surowszy, ale przecież również w naszym kraju są rejony, w których mróz i śnieg są ewenementem. Poza tym – podobnie jak w przypadku każdej z roślin uprawnych – istnieją bardziej mrozoodporne odmiany oliwki i migdałowca. A jeżeli takich kultywarów jeszcze nie ma, na pewno można je wyhodować. Jeżeli zawsze wychodziłoby się z założenia, że się nie da, dziś nie mielibyśmy w Polsce nie tylko kapusty, ogórków czy pomidorów, lecz także zbóż, których uprawa zaczęła się na Bliskim Wschodzie.

Warto to przemyśleć, a przy okazji, szukając odpowiednich odmian, wybrać się na południe i skorzystać z doświadczeń tamtejszych rolników, tak jak kiedyś zrobili nasi przodkowie, czyniąc z Polski rolniczą potęgę.

eprasa.pl c25b34d838

3 MIŁOŚCI

Łowcy wolności

ROBERT TEKIELI

Trwa okres intensywnego werbunku do sekt. W wakacje żądni wrażeń młodzi ludzie są łatwiejszym łupem. Nastawieni na przygodę, otwarci, nie są w stanie rozpoznać polujących na nich łowców wolności.

Od połowy września i przez cały październik do instytucji pomagających ludziom pokaleczonym przez destrukcyjne grupy przychodzi najwięcej zainteresowanych. Przeważnie są to rodzice dzieci, u których można zaobserwować negatywne skutki zaangażowania w sektę w czasie wakacji.

Nikt nigdy nie wstąpił do sekty. Ludzie spotykają fajną grupę, charyzmatycznego guru, zaspokajają swoje najbardziej bolesne deficyty i angażują emocje.

Mamy sekty psychologiczne, terapeutyczne, uzdrowicielskie, ekonomiczne. Mogą być zarejestrowane jako związki wyznaniowe, stowarzyszenia, fundacje, szkoły językowe, szkoły sztuk walki, gabinety odnowy psychologicznej, organizacje charytatywne, kursy pozytywnego myślenia, doskonalenia umysłu bądź poszerzania świadomości czy firmy sprzedaży bezpośredniej.

Łatwiejsze do zwerbowania są osoby przeżywające silny stres lub kryzys z powodów zawodu miłosnego, śmierci bliskiej osoby lub trudności w pracy czy w szkole. Równie narażone na destrukcyjny wpływ są osoby pochodzące z domów, w których panowały konflikty albo komunikacja była zaburzona.

Kiedy czytamy informację o kolejnym zbiorowym samobójstwie członków jakiejś sekty, często myślimy: ja nie dałbym się tak zmanipulować. Niestety prawda jest inna.

Ania już po pierwszym semestrze studiów na Uniwersytecie Gdańskim dostała stypendium naukowe. Kiedy poczuła się pewniej w nowym miejscu i sytuacji, zaczęła bezinteresownie szukać możliwości zrobienia czegoś dobrego dla potrzebujących. Na tablicy w rektoracie znalazła plakat zapraszający na spotkanie Grupy na Rzecz Uniwersalnej Miłości na Całym Świecie. Poszła. Spodobało się jej. Wysyłali paczki biednym ludziom w Sudanie i Indiach. Zaangażowała się mocniej w grupę. „Obudziła się" po dwóch latach na stadionie w Seulu. Była jedną z 7 tys. białych kobiet, które tego dnia miały zawrzeć zbiorowy ślub. Tak samo jak 70 proc. pozostałych panien młodych, po raz pierwszy zobaczyła swego przyszłego męża na stadionie. Uciekła stamtąd, kiedy ujrzała dwa razy starszego od niej, niższego o głowę, grubego Koreańczyka, który miał zostać jej mężem na całe życie. Ani się udało.

Jak rozpoznać, że ktoś z naszych bliskich znalazł się pod wpływem sekty? Jednym z sygnałów może być radykalna zmiana diety. Odrzucenie mięsa, kawy, herbaty, alkoholu, pieczenie własnego pieczywa, wydzielenie własnych nakryć, a także zmiana wyglądu zewnętrznego

W istocie ta sekta sprzedaje bogatym Koreańczykom młode białe kobiety. Kupił sobie białą kobietę.

Jak można przekonać młodą, rozsądną kobietę, że wielebny Moon, guru Kościoła Zjednoczeniowego, może dokonać za nią najważniejszego wyboru w życiu? Wyboru osoby, która staje się bliższa niż matka? Ania nie jest głupsza od większości z nas. Wręcz przeciwnie. Przecież już po pierwszym semestrze zdobyła stypendium naukowe. Jak sprawić, by ludzie działali wbrew swoim interesom?

Konrad nie jest głupszy od większości z nas. Dziś prowadzi dużą firmę komputerową. Pisze programy. Kiedy opowiadał mi swoją historię, czerwienił się.

Jako 17-latek nie utrzymywał dobrych relacji z ojcem. Po kolejnej kłótni trzasnął drzwiami domu i powiedział głośno: „Koniec". Poszedł na dworzec. Zdecydował: „Wyjeżdżam". Nie wsiadł do pociągu. Przed dworcem stała, śpiewając, grupa młodych, sympatycznych ludzi ubranych w zwiewne szaty. Na czole mieli kolorowe kropki. Zaczął rozmawiać. Było sympatycznie. Zauważył, że zwróciły na niego uwagę dwie ładne dziewczyny. Wylądował w ich świątyni, w trzypokojowym mieszkaniu na drugim piętrze. Po trzech dniach zadzwonił do ojca. Powiedział: „Nienawidzę cię, nigdy się już nie spotkamy". Po trzech miesiącach zadzwonił do ukochanej mamy. Powiedział: „Nienawidzę cię, nigdy się już nie spotkamy". Po półtora roku „obudził się", gdy do członków sekty przyjechał guru. Wcale nie z Indii, choć sekta głosi ludową odmianę XVII-wiecznego hinduizmu. Ze Stanów. Konrad wspominał: „Biliśmy się o miskę z wodą z mycia nóg tego człowieka. Piliśmy tę wodę szczęśliwi. Nikt nam nie przykładał pistoletu do głowy, a walczyliśmy o śmierdzące skarpety guru, a uszczęśliwiony zwycięzca nacią-

eprasa.pl c25b34d838

gał ją sobie na głowę i paradował wśród zazdrości innych".

Jak można doprowadzić rozsądnego człowieka do takiego stanu? Co sprawia, że ludzie robią rzeczy, których nie chcą? Czynią tak uzależnieni. Kto jeszcze? Ludzie poddani skutecznej psychomanipulacji. Na czym polega?

W USA po dworcach autobusowych krążą tzw. chickenhawk. „Chicken" można przetłumaczyć jako „mięsko". Dziewczyna, młody gej, kurczak do schrupania. „Hawk" – „jastrząb". Co chickenhawks robią na dworcach? Szukają najładniejszej, najmłodszej zmęczonej dziewczyny na gigancie. Są manipulatorami. Takimi uczyniła ich dysfunkcyjna rodzina, np. pełna przemocy. Jako dzieci byli zmuszeni nauczyć się bezbłędnie czytać mowę ciała agresora. Kiedy ojciec czy matka wchodzili do pokoju, musieli rozpoznać na podstawie najdrobniejszych niewerbalnych komunikatów, czy są w fazie agresji, czy chwilowo mają rzewny nastrój. Jako dorośli mężczyźni używają tej – czasami nieuświadomionej – umiejętności, by wśród młodych, wakacyjnych uciekinierek wyłowić najładniejszą, najbardziej zrozpaczoną. Patrzą na to, jak w czasie rozmowy dziewczynom układają się kąciki ust, w jakiej pozycji układają ramiona, stopy. Potrafią słuchać. „Zakochują się". Kiedy poznają już tragiczny powód buntu 15- czy 17-latki, dają do zrozumienia, że mogą pomóc. Oferują pełną lodówkę, prysznic, bezpieczeństwo. Dziewczyna najczęściej łyka przynętę. Doświadczając „bezinteresownej" pomocy, uratowana z trudnej sytuacji nastolatka odpowiada miłością na „miłość". Po dwóch miodowych tygodniach chickenhawk mówi: „Wiesz, mam interesy w Chicago. Nie będzie mnie trzy dni. Możesz tu zostać. Przez ten czas pomieszka tu czas mój serdeczny przyjaciel, rzuciła go dziewczyna. Jest potwornie zdołowany. Bądź dla niego miła". Po kolejnym miesiącu i kolejnym zdołowanym przyjacielu dziewczyna wychodzi na ulicę, by sprzedawać swe ciało. Z miłości do chickenhawk. Tak wygląda schemat psychomanipulacji. Człowiek robi rzeczy, których nie chce. Czasem z obrzydzeniem, głęboko przeczuwając, że dzieje się coś złego. Utrwalona emocja jest jednak silniejsza.

Jak to przekłada się na działalność sekt? W Hare Kryszna, by ludzie działali wbrew swoim interesom, wstaje się o 4.00 nad ranem. Codziennie ponad tysiąc razy powtarza się określony zestaw dźwięków. Ważne są obniżająca odporność na perswazję dieta niskobiałkowa oraz bezwzględnie egzekwowany autorytet guru i presja grupy. Najważniejszy jest jednak deficyt, niezaspokojona fundamentalna potrzeba adepta. Konrad nie miał w swoim życiu pozytywnego autorytetu. Nie spotkał ani jednego bezinteresownego dorosłego, którego mógłby szanować. Ojciec był w domu tylko ciałem. Ania odczuwała niezaspokojoną potrzebę wspólnoty i miłości. Podobnie ofiary chickenhawk. Warunkiem skutecznej psychomanipulacji jest jakiś dojmujący brak i 100-procentowa obietnica zaspokojenia go. Potem jest odcięcie od środowiska i osób kochających obiekt werbunku, dalej bombardowanie miłością, rozmrażanie światopoglądu poprzez stosowanie klisz intelektualnych i systemów zamkniętej logiki. Potem przebudowa światopoglądu i jego zamrożenie. Konrad uwierzył, że kontakt z rzeczą, która dotykała ciała guru – według ideologii sekty człowieka „urzeczywistnionego", ba, boga – pomoże mu skrócić okres karmiczny. Że picie brudnej wody po myciu nóg guru skróci mu czas cierpienia na tym świecie. Gdy „zamrozi" się taki system myślenia, można uwierzyć w zbawczą moc śmierdzących skarpet.

Fot. Shutterstock

Jak rozpoznać, że ktoś z naszych bliskich znajduje się pod wpływem sekty? Jednym z sygnałów może być radykalna zmiana diety. Odrzucenie mięsa, kawy, herbaty, alkoholu, pieczenie własnego pieczywa, wydzielenie własnych nakryć może – choć nie musi – niepokoić. Podobnie zmiana wyglądu zewnętrznego, preferowanie jakiegoś koloru (czarnego czy szafranowego) zmiana fryzury, zakrywanie włosów nawet w domu, noszenie amuletów, koralików, woreczków. Zrezygnowanie z oglądania telewizji, słuchania radia i muzyki rozrywkowej, rezygnacja z zabaw, kina, basenu, odrzucenie dotychczasowych przyjaciół. Praktyki medytacyjne, palenie kadzidełek, zbieranie dziwnych przedmiotów, obecność ulotek i broszur, rezygnacja z mszy świętych, żądania zdjęcia ze ścian domu krzyża czy świętych obrazów, pojawienie się nowych obyczajów, nowych znajomych, opuszczanie się w pracy czy szkole i wreszcie pojawienie się w języku określeń typu energia, czakramy, afirmacja, uzdrawianie – to powinno zaniepokoić najbliższych.

Kościół scjentologiczny, świadkowie Jehowy, Bractwo Zakonne Himavanti, sekta Rajneesha, Wspólnota Niezależnych Zgromadzeń Misyjnych „Rodzina", sataniści – tę listę można przedłużać. Nie ma to jednak większego znaczenia, ponieważ nie znam ani jednej osoby, która wstąpiłaby do sekty. Ludzie są zafascynowani niezwykłym guru czy wspólnotą pełną ciepła i zrozumienia. Gdyby wiedzieli, że mają do czynienia z grupą destrukcyjną, nigdy nie zdecydowaliby się do niej wstąpić.

eprasa.pl c25b34d838

OGNIEM NA WPROST

Oko za oko, czyli wojna specsłużb

Andrzej Rafał Potocki

W lipcu br. stolica Austrii gościła m.in. Tima Barrowa, byłego doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego Wielkiej Brytanii, Markusa Ederera, eksekretarza stanu niemieckiego MSZ oraz Pierre'a Vimonta, byłego francuskiego dyplomatę. Kreml reprezentowali dawni wysocy urzędnicy związani z moskiewską dyplomacją. Celem tego poufnego spotkania było omówienie możliwych warunków przyszłych negocjacji pokojowych mających zakończyć wojnę Rosji przeciwko Ukrainie. Informację o tym ujawnił Bloomberg, powołując się na osoby zaznajomione ze sprawą. Przedstawiciele rządów i służb dyplomatycznych, mimo że nie pełnią już funkcji państwowych, nadal utrzymują kontakty z decydentami i odgrywają istotną rolę w środowiskach eksperckich. Taka cicha „podgatowka" pod ewentualne zawieszenie broni, a docelowo pokój. Chyba nie trzeba dodawać, iż żadnego z byłych dyplomatów z naszego kraju nie zaproszono. Bo i po co wtajemniczać w poważne sprawy frajerów z Warszawy, którzy w UE mają opinię niezdolnych do niczego popychadeł Berlina i Brukseli? Według ujawnionych informacji wiedeńskie rozmowy nie były odosobnionym wydarzeniem. W ostatnich miesiącach podobne spotkania miały się odbyć także w Baku. Prezydent Azerbejdżanu Ilham Alijew potwierdził niedawno, że w jego kraju zorganizowano poufne rozmowy byłych niemieckich i moskiewskich przedstawicieli. Rzecz jasna bez udziału Polski. Cytując klasyka – w tym przypadku posła Przemysława Wiplera z Konfederacji – „Rządzą nami debile".

Zbydlęcenie Moskali nie maleje, a nawet osiąga wyższy poziom. W Chersoniu kremlowscy droniarze urządzili sobie polowanie na mężczyznę sprzedającego warzywa ze swojego busa. Cywil starał się uciec polującemu na niego bezzałogowcowi FPV, ale ten w końcu go dopadł, a mężczyzna został ranny w eksplozji. Ruski chwali się na Telegramie, jak załatwił Bogu ducha winnego sprzedawcę warzyw. Ale FSB nie pozostaje w tyle, opracowując obrzydliwy plan zabicia dużo większej liczby ludzi. Plan wywiadu Kremla mieli zrealizować zwerbowani za kasę zdrajcy. Kacapskie służby planowali zaangażować ich w przygotowania próby zabicia ukraińskich żołnierzy podczas „charytatywnego" eventu. Plan zakładał zwabienie wojskowych na „imprezę tematyczną". W tym celu agenci wynajęli dom poza miastem i zamieścili zaproszenia na wydarzenie na kilku lokalnych kanałach Telegramu. Do udziału w przyjęciu miało się zgodzić kilkadziesiąt osób. Według Służby Bezpieczeństwa Ukrainy większość z nich stanowili przedstawiciele SZU. Podczas imprezy agenci mieli dodawać do napojów substancje, których spożycie miało prowadzić do śmierci. Zadania zlecone przez rosyjskie służby na tym się jednak nie kończyły. Agenci mieli również otrzymać polecenie wykonania potężnej bomby z materiałem wybuchowym o masie 10 kg. Ukraińskie specsłużby zatrzymały jednego z podejrzanych, gdy ten miał przenosić w plecaku improwizowany ładunek wybuchowy. Drugą agentkę, mieszkankę obwodu charkowskiego, zatrzymano w wynajętym domu. Według SBU kobieta miała tam syntetyzować składniki bomby. Warto przytoczyć słowa Laokoona z „Eneidy" Wergiliusza: „Obawiam się Greków, nawet gdy niosą dary".

Dosyć zuchwale poczyna sobie wojskowy wywiad Tryzubów, którzy namierzyli w Moskwie knajpę, w której miał biesiadować na prywatnym przyjęciu gen. Aleksander Czajka. Odbywała się tam impreza na ok. 50 osób – bankiet urodzinowy ruskiego generała, który w maju został mianowany przez Władimira Putina naczelnym dowódcą Sił Powietrzno-Kosmicznych Rosji. Na początku pełnoskalowej inwazji na Ukrainę generał dowodził oddziałami, które są odpowiedzialne za zbrodnie wojenne w Buczy. Aż się prosiło o podłożenie bomby. Tak się stało. 1 sierpnia br. w moskiewskiej restauracji Balzi Rossi wybuchł ładunek, na miejscu nie było jednak Czajki, tylko jego zięć. Wot, kakaja raznica? (Jaka to różnica?).

A w Petersburgu wesoło. Monitoring jakiegoś sklepu uchwycił kobietę, która zaczęła się rozbierać i głośno wykrzykiwać nieskładne, chaotyczne zdania. Twierdziła m.in., że jest w Anglii, znajduje się w domu, nazywała siebie jasnowidzką. Mówiła też o amfetaminie, Stevie Jobsie i „świecie, który padł na kolana". Personel i inne osoby próbowały ją uspokoić i namawiały do ubrania się. Nic z tego. Incydent uznano za kolejny przykład absurdalnych sytuacji, które zdarzają się w kacapskich miastach. Sprawa stała się głośna, bo sami zauważają, że coś z nimi nie tak.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl c25b34d838

Michał Korsun prezentuje:
Kolorowy zawrót głowy Adama Bodnara, czyli wydatki Ministerstwa Sprawiedliwości

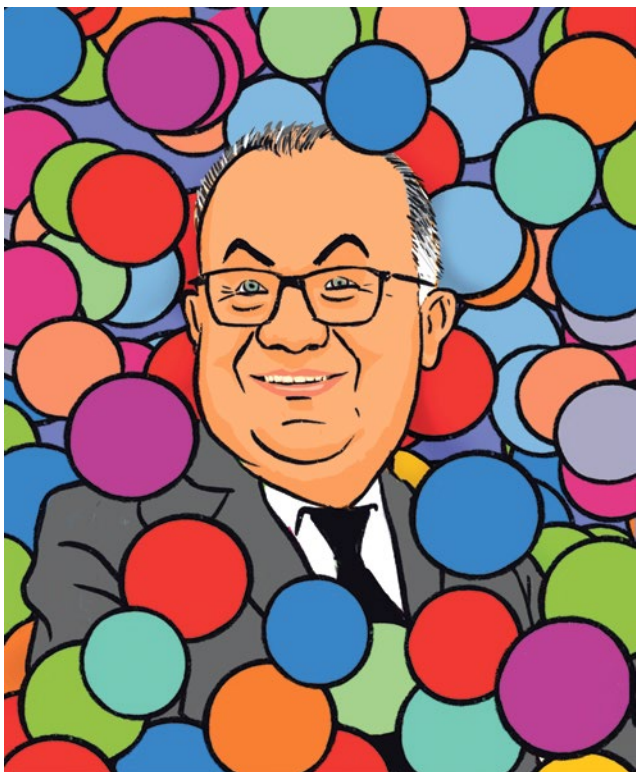

Wycinki z przeszłości

W „Ziemi Włodawskiej" z 1927 r. radzono, jak rozpoznawać „jadowite" grzyby: „należy ułamać kawałek surowego grzyba i ostrożnie położyć na język". Jeśli „nie odczujemy żadnego piekącego smaku [...], to grzyb [...] jest jadalny", a trujący „zaczyna palić w język jak żywym ogniem". Dziś wiemy, że to niebezpieczny mit – dla przykładu śmiertelnie trujący muchomor sromotnikowy ma łagodny, słodkawy smak.

(sp)

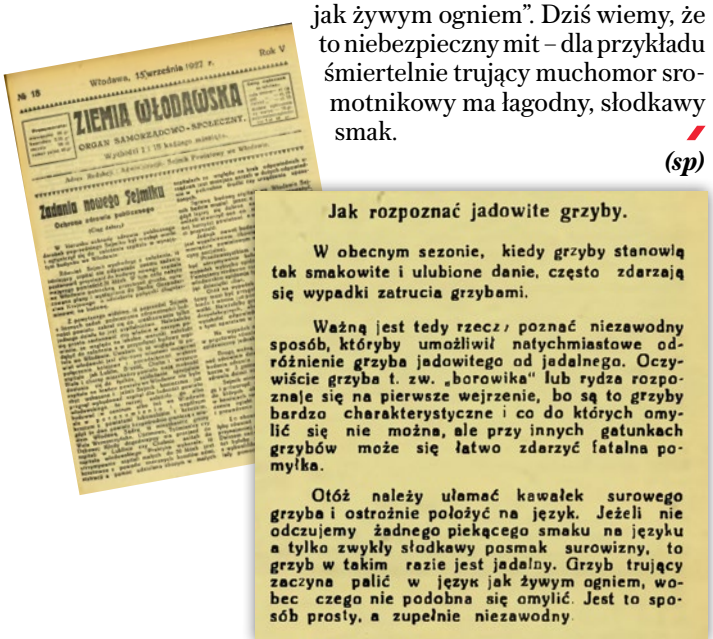

№ 15 Włodawa, 15 września 1927 r. Rok V

ZIEMIA WŁODAWSKA

ORGAN SAMOKZĄDOWO-SPOŁECZNY

Zadania nowego Sejmiku

Jak rozpoznać jadowite grzyby.

W obecnym sezonie, kiedy grzyby stanowią tak smakowite i ulubione danie, często zdarzają się wypadki zatrucia grzybami.

Ważną jest tedy rzeczą poznać niezawodny sposób, któryby umożliwił natychmiastowe odróżnienie grzyba jadowitego od jadalnego. Oczywiście grzyba t. zw. „borowika" lub rydza rozpoznaje się na pierwsze wejrzenie, bo są to grzyby bardzo charakterystyczne i co do których omylić się nie można, ale przy innych gatunkach grzybów może się łatwo zdarzyć fatalna pomyłka.

Otóż należy ułamać kawałek surowego grzyba i ostrożnie położyć na język. Jeżeli nie odczujemy żadnego piekącego smaku na języku a tylko zwykły słodkawy posmak surowizny, to grzyb w takim razie jest jadalny. Grzyb trujący zaczyna palić w język jak żywym ogniem, wobec czego nie podobna się omylić. Jest to sposób prosty, a zupełnie niezawodny.

Z WOLEJA

Infantino wyczyści buty Blatterowi?

RYSZARD CZARNECKI

Upały dają się we znaki. Turecki zapaśnik (styl klasyczny), który przegrał walkę półfinałową na mistrzostwach świata U-17 w Baku z Polakiem Tomaszem Mitalem (zdobył potem złoto, tak jak wcześniej podczas mistrzostw Europy) nie podał naszemu rodakowi ręki po pojedynku. Zapatrzył się w piłkarza Mbappé, tyle że ten strzelił focha po wygranym meczu z Paragwajem. „Kto wyjdzie z chama na pana – nie ma większego gałgana", jak mówi stare polskie powiedzenie.

To w ogóle były kiepskie dni, jeśli chodzi o wizerunek Turków w sportowym świecie. Zdjęcia tureckich policjantów kopiących leżącego kibica Górnika Zabrze w czasie meczu w Konstantynopolu (zwanym także Stambułem) czy turecki dziennikarz, który przedstawił Polskę jako kraj trzeciego świata, łżąc niczym imć Piekarski na mękach, pokazało brzydką twarz spadkobierców imperium osmańskiego.

Napiętnowani w tej rubryce ludzie sportu doprawdy powinni mieć się na baczności. Tydzień temu dokonałem tutaj egzekucji nieszczęsnego prezesa nieszczęsnej FIFA. Szwajcarowi Infantino ubzdurało się, że piłkarski mundial może organizować prywatna firma. Futbolowy świat wściekł się tak, że nie dość, iż projekt wylądował w koszu na śmieci, to jeszcze chcą Helweta odwołać. Nie będzie to łatwe, ale warto: zawsze to jeden buc mniej. Dymisji szefa FIFA domaga się jej poprzedni prezes – legendarny Sepp Blatter, skądinąd rodak Infantino. Znam Mr. Blattera osobiście i stwierdzam, że obecny prezes światowej piłkarskiej międzynarodówki mógłby czyścić poprzednikowi buty. Blatter, przy wszystkich jego wadach, owszem, był szczwanym lisem, ale lisem z klasą. Pamiętam naszą pierwszą rozmowę w szwajcarskiej siedzibie FIFA. Mr. Blatter wiedział, że jestem katolikiem i od razu podkreślił, że również jest katolikiem. Dodał również, że jego żona jest Polką. Oto umiejętność finezyjnego szukania wspólnych mianowników. Gianni mógłby się uczyć od Josepha (Seppa), ale woli kłonice.

eprasa.pl c25b34d838

OD A DO ZYBERTOWICZ

Goździki dla poety

Jeśli pamięć ma być tylko prywatna, nieheroiczna, niepomnikowa, to czy w ogóle ma szansę przetrwać?

Gdy słyszę „sierpień", oznacza to dla mnie: Warszawa. Miasto, które dla Brodniczanki prawie dziesięć lat temu stało się prawdziwą fascynacją.

Prawie codziennie przechodzę ul. Bagatela. Czasem się spieszę. Tak było tym razem. Wiedziałam, że gdy nie podbiegnę do Pl. Unii Lubelskiej, ucieknie mi tramwaj. Nie zrobiłam tego jednak. Zatrzymało mnie kilka biało-czerwonych goździków. Leżały na chodniku przy kamienicy nr 10. Tu urodził się Krzysztof Kamil Baczyński, poeta i żołnierz. Poległ czwartego dnia powstania warszawskiego. Ktoś zostawił te kwiaty w plastikowej butelce, która się przewróciła. Nie mogłam ich nie podnieść. Jest 3 sierpnia, w butelce została odrobina wody – może dokładnie tyle, ile potrzebują kwiaty, by przetrwać do 4 sierpnia.

MIĘDZY SZUMEM LIŚCI A ŚWIERGOTEM PTAKÓW

O Warszawie można opowiadać na wiele sposobów. Miasto, które podniosło się z gruzów. Miasto ludzi dzielnych, a także zbyt wielu ofiar i zbyt wielu ran. Miasto zdradzone przez sojuszników. Miasto chaotyczne i pozbawione prawdziwego centrum. Miasto nowoczesne i ambitne. Choć od lat źle zarządzane, to kochane przez tak wielu.

Jestem świeżo po lekturze książki „Drugie życie Czarnego Kota" (2026) Stanisława Łubieńskiego, który proponuje własne spojrzenie na miasto. Szkicuje Warszawę, która nie potrzebuje pomników, bo żyje w postaci przyrody, np. drzew – świadków ludzkiej historii. Są też ptaki, które, choć przylatują i odlatują, towarzyszą nam niemal nieustannie. Albo maleńkie owady czy rośliny, których na co dzień nawet nie zauważamy, a które muszą toczyć iście heroiczną walkę o przetrwanie w świecie betonu. Taka Warszawa jest melancholijna, ulotna i jednocześnie niepokojąco lekka. Zupełnie inna od tej codziennej – zakorkowanej, głośnej, brudnej i zagonionej.

Zastanawiam się, czy spojrzenie Łubieńskiego, które odbieram jako na swój sposób kojące i odświeżające, nie jest jednak niepełne, nazbyt niedomówione.

PARADOKS

Warszawa jako miasto pamięci nieoczywistej, prywatnej, nieheroicznej, często ogniskuje nas na detalach. Nie uważam, że to złe. Ale miasto z natury rzeczy jest tworem ludzkim. To ludzie i ich historia nadają mu sens. Mam wrażenie, że autor, który uważnie i z talentem wyłuskuje z miasta to, co zwykle nam umyka, jednocześnie ucieka od ciężaru ludzkich dziejów. Ani nie chce brać go na barki, ani nie chce obarczać nim czytelnika.

Tytułowy Czarny Kot to nazwa mało stylowego hotelu, znanego jako samowola budowlana w latach 90. XX w. Ten niegustowny budynek został rozebrany kilka lat temu, a miejsce po nim otrzymało drugie życie: obecnie króluje tam dziewanna, nawłoć i inne chwasty.

Czy jednak Warszawa, pozbawiona ciężaru swej historii, to wciąż nasze miasto? Czy gdyby ktoś w skupieniu „wszedł" w świat traw, ptaszków, robaczków i innych żyjątek skupionych wyłącznie na własnych cyklach życia, to nie umknęłaby mu jakaś ważna prawda na temat nas samych?

Jeśli pamięć ma być tylko prywatna, nieheroiczna, niepomnikowa, to czy w ogóle ma szansę przetrwać? Czyż natura pamięci zbiorowej nie jest par excellence kolektywna, a więc zanurzona także w konflikty społeczne?

TO NIE ŁĄKA

Czy Warszawa leży na stosie historii tak bolesnej, iż żadna zieleń jej nie przykryje? To zależy od nas. Od naszej pamięci o bohaterach.

Można, a nawet warto zachwycać się Warszawą nieheroiczną, prywatną, melancholijną. Można tropić jej ślady w przedmiotach, w zaułkach, w miejscach, które przetrwały przypadkiem. Ale prędzej czy później trzeba przyznać, że bez bohaterów nie ma pamięci, a bez pamięci nie ma miasta, które jest prawdziwie nasze. I nawet jeśli nie zawsze chcemy żyć w cieniu pomników, to jednak potrzebujemy kogoś, kto kiedyś zrobił coś, o czym warto pamiętać. Aby nasze prywatne ślady miały gdzie się zaczepić.

A „Drugie życie Czarnego Kota" warto przeczytać powoli, smakując detale i niuanse.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl c25b34d838

Wesprzyj dziennikarstwo śledcze – fundament misji telewizji wPolsce24

„Patrzymy władzy na ręce.
Tropimy afery.
Demaskujemy kłamstwa.
Ujawniamy niewygodne fakty.

Wojciech Biedroń
dziennikarz telewizji wPolsce24
laureat nagród SDP za reportaże śledcze

Oglądaj reportaże śledcze **w każdy poniedziałek o 20:05**

WSPIERAJ wPolsce24

wesprzyj.wpolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty:
DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl c25b34d838

SUBSKRYPCJA SIECI + wPolityce.pl Premium+

MOCNA PUBLICYSTYKA

1 zł
ZA PIERWSZY MIESIĄC

TWOJA SUBSKRYPCJA TO:

Najświeższe e-wydanie „Sieci" już w niedzielę o 18:00

Wszystkie teksty wPolityce.pl Premium+ zawsze pod ręką

Dostęp do archiwum tygodnika i biblioteki e-booków „Sieci Extra"

Cegiełka do budowy niezależnych, patriotycznych mediów

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

eprasa.pl c25b34d838